

TERRY PRATCHETT

Johnny i Bomba

Po bombardowaniu

Była dziewiąta zero zero, tak w całym Blackbury, jak i na High Street. Ciemności z rzadka tylko rozjaśniało światło pełni księżyca, który generalnie krył się za chmurami przygnanymi przez południowo-zachodni wiatr. Właśnie przeszła burza, która odświeżyła powietrze i zwiększyła własności poślizgowe bruku. Dlatego też policjant przemieszczał się wzdłuż High Street wolno i statecznie.

Gdziekolwiek, jeśli było się naprawdę blisko, można było zauważyć słabutkie przebłyski światła z zaciemnionych okien. Z wnętrza domów dobiegały przyciszone odgłosy wieczornego życia - tu ktoś ćwiczył na pianinie, w kółko katując gamy, tam rozmawiano, ówdzie ktoś się zaśmiał, słuchając radia.

Część wystaw sklepowych osłaniały worki z piaskiem, a umieszczony przed jednym ze sklepów plakat zachęcał, by "Kopać dla zwycięstwa", zupełnie jakby była najwyższa pora na wykopki.

Na horyzoncie, tam gdzie znajdowało się Siatę, nerwowe palce reflektorów próbowały z zapalą wymacać wśród chmur bombowce. Dotąd nie udało im się to ani razu.

Policjant skręcił za róg i jego miarowe kroki odbijały się echem od pogrążonych w ciszy budynków.

Kroki dotarły do kościoła metodystów i teoretycznie powinny skierować się w dół Paradise Street, tyle że od poprzedniej nocy Paradise Street już nie było.

Przy kościele parkowała ciężarówka. Zza niedokładnie zasuniętej brezentowej płachty w tyle wydobywała się cienka smuga światła.

Kroki ucichły, za to rozległo się donośne pukanie i głos:

- Tu nie wolno parkować, panowie. Mandat wynosi jeden kubek herbaty i zapomnimy o tym przykrym incydencie, co?

Brezent poruszył się i z samochodu wyskoczył żołnierz, przy okazji odsłaniając wnętrze ciężarówki skąpane w ciepłym blasku buzującego piecyka; siedziało tam kilku wojskowych, paląc papierosy i gawędząc.

- Dajcie no, chłopaki, kubek i kanapkę dla sierżanta - odezwał się dziarsko i uśmiechnął się do policjanta.

Z wnętrza wręczono mu aluminiowy kubek gorącej, czarnej herbaty oraz kanapkę grubością przypominającą cegłę.

- Zobowiązany. - Policjant przyjął kubek i kanapkę i oparł się o bok ciężarówki. - I jak idzie? Nie słyszałem wybuchu.

- To dwustupięćdziesiętofuntówka - wyjaśnił żołnierz. - Leży w piwnicy, musiała przebić strop. Nieźle oberwaliście ostatniej nocy. Chce pan ją obejrzeć, sierżancie?

- To bezpieczne?

- Oczywiście, że nie! - oznajmił radośnie żołnierz. - Dlatego tu jesteśmy, nie? Jak

pan chce, to proszę za mną. - Starannie dogasił papierosa i zatknął niedopałek za ucho.

- Myślałem, że będziecie jej bez przerwy pilnować - odezwał się policjant.

- Jest środek nocy i siąpi. A poza tym kto miałby ochotę ukraść niewypał ćwierćtonowej bomby lotniczej?

- Niby tak, ale...

Od strony rumowiska, które wczoraj jeszcze było Paradise Street, rozległ się odgłos zsuwających się cegieł.

- ...chyba ktoś ma taką ochotę - dokończył sierżant.

- Przecież rozstawiliśmy tablice ostrzegawcze?! A przerwę zrobiliśmy tylko na herbatę!

Pod ich nogami zachrząściły zaścielające ulicę odłamki cegieł.

- To bezpieczne, prawda? - upewnił się ponownie sierżant.

- Jak ktoś zwali na nią kupę cegieł, to nie będzie bezpieczne - zirytował się saper. - Na pewno nie będzie! Ej, ty!

Zza chmur wyrzął księżyc, oświetlając okolicę, a przy tej okazji czyjaś sylwetkę po drugiej stronie pozostałości po Paradise Street.

Sierżant zahamował z piskiem obcasów.

- No nie! - jęknął szeptem. - To pani Tachyon.

Saper także przyhamował i przyjrzał się dokładniej drobnej postaci ciągnącej przez rumowisko jakiś metalowy wózek.

- Kto?

- Tylko cicho i spokojnie - polecił policjant, oświetlając sobie twarz latarką i wykrzywiając się w parodii przyjaznego uśmiechu, co dało raczej upiorny efekt. - To pani, pani Tachyon? Tu sierżant Bourke. Trochę chłodno o tej porze na ulicy, prawda? Mamy miłą, ciepłą celę na posterunku i jak sądzę, mogę chyba obiecać duży kubek gorącego kakao, jeśli pani ze mną pójdzie. Co pani na to, pani Tachyon?

- Czytać nie potrafi czy co? - szepnął saper. - Odbiło jej? Jest przy tej ruinie z niewypałem!

- Tak... nie... ona jest po prostu inna... Trochę... szurnięta...- odszepnął policjant i dodał głośno: -Niech pani tam zostanie, zaraz po panią przyjdziemy! Lepiej, żeby się pani nie potknęła na tych śmieciach, prawda?

- Czy ona przypadkiem nie szabrowała tu czego? Plądrowanie zbombardowanych domów jest karane przez rozstrzelanie...

- Nikt tu nie będzie nikogo rozstrzeliwał! A już na pewno nie jej. Poza tym myją znamy. Zeszłą noc spędziła w celi - wyjaśnił sierżant.

- Za co?

- Za nic. Gdy noc jest chłodna, pozwalamy jej spać w wolnej celi. Dałem jej parę starych butów mojej mamy... przypatrz się pan jej: mogłaby być pańską babką. Bidactwo.

Pani Tachyon przyglądała się im podejrzliwie (co potęgowała zaawansowana krótkowzroczność), ale spokojnie stała i czekała. Najwyraźniej głos sierżanta miał na nią zbawiennie łagodzący wpływ. Gdy podeszli bliżej, saper ujrzał zasuszoną staruszkę, ubraną w coś, co wyglądało na wieczorową kreację, na którą naciągnęła kilka warstw diametralnie się od siebie różniącego odzienia. Na głowie miała wełnianą narciarkę z pomponem, a przed sobą pchała druczany, sklepowy wózek na kółkach. Wózek miał metalową tabliczkę.

- Tesco - odczytał saper. - Co to takiego?!

- Skąd mam wiedzieć, gdzie ona znajduje te wszystkie śmieci?!

Wózek pełen był czarnych worków, pomiędzy którymi znajdowały się stoiki.

- Wiem, gdzie to znalazła! - Saper ucieszył się na ich widok. - W fabryce przetworów po drugiej stronie ulicy!

- Pół miasta było tam dziś rano - ostudził go policjant. - Kilka stoików korniszonów to żaden szaber. Lepiej, żeby ludzie zjedli, niż miałyby się zepsuć.

- Pewnie, że lepiej, ale nie można ludzi do tego zachęcać. Za pozwoleniem, chciałbym obejrzyć te... Au! - Ledwie wyciągnął rękę w stronę wózka, gdy spomiędzy worków wyprysnęło coś podobnego do niewielkiego, za to wściekłego demona składającego się głównie ze ślepiów i pazurów i poorało mu boleśnie dłoń. - Cholera by cię! Sierżancie...

Sierżant zdążył się jednakże cofnąć na bezpieczną odległość.

- To Guilty! - wyjaśnił spokojnie. - Na pańskim miejscu bym się cofnął.

Pani Tachyon cmoknęła i oznajmiła:

- Thunderbirdy poleciały! Co, nie ma bananów? Tak ci się tylko wydaje, stara purchawo! - Po czym odwróciła się i oddaliła z godnością, ciągnąc za sobą wózek.

- Nie tam! - wrzasnął saper.

Pani Tachyon zignorowała go i wspięła się na stertę cegieł, wciąż z wózkiem. Sterta zachwiała się i z łoskotem zaczęła się osypywać. Jedna z cegieł trafiła w coś, co zadźwięczało metalicznie. Saper i policjant zamarli w pół ruchu. Księżyc na wszelki wypadek schował się w chmury. W ciemnościach coś zaczęło tykać. Tykanie było stłumione i nieco oddalone, ale w zupełnej ciszy słyszeli je wręcz idealnie.

Sierżant powoli i ostrożnie postawił uniesioną nogę na jezdni i szepnął:

- Ile czasu mija od tykania do wybuchu? Odpowiedział mu oddalający się tupot - saper ulotnił się z podziwu godną szybkością.

Sierżant natychmiast podążył w jego ślady.

Dotarł mniej więcej do połowy pozostałości po Paradise Street, nim świat za nim zrobił się gwałtownie rozrywkowy.

Na High Street w Blackbury była dziewiąta wieczór. W witrynie sklepu ze sprzętem audio-wideo ekrany dziewięciu telewizorów wypełniał ten sam obraz, którego nikt nie oglądał. Po pustym chodniku wiatr gnał gazetę, póki nie zaplątała się w ozdobny klomb. Wiatr się nie zniechęcił - znalazł pustą puszkę po piwie i potoczył ją dalej, ale i ta rozrywka

nie trwała długo - puszka wybrała pozostanie w rynsztoku.

Rada Miasta Blackbury nazywała High Street "rejonem pieszych" albo "obszarem udogodnień", choć nikt nie miał pojęcia, na czym to ostatnie miało polegać i o jakie tu konkretnie udogodnienia chodziło. Bo na pewno nie o ławeczki, których co prawda było sporo, ale zostały tak przemyślnie skonstruowane, że nie dało się na nich zbyt długo wysiedzieć. Może chodziło o ozdobne kwietniki, na których regularnie rosły opakowania po chrupkach i batonikach, a sezonowo także po lodach. W każdym razie nie chodziło o ozdobne drzewa, pięknie wyglądające na projektach, ale na skutek różnorodnych oszczędności i zmian koncepcyjnych nie istniejące w naturze.

I na pewno nie chodziło o lampy jarzeniowe, które sprawiały, że noc wydawała się zimna jak lód.

Gazeta ożyła ponownie- z kwietnika przeleciała do żółtego kosza na śmieci i owinęła się wokół niego. Kosz wyglądał jak gruby, obrzydliwy pies z otwartym pyskiem.

Coś wylądowało w pobliskiej alejce z głuchym łupnięciem i jęknięto:

- Tik-tak. Au! Gdzie ten szpital...

Ciekawostką w kwestii martwienia się, co Johnny Maxwell odkrył już dawno temu, jest to, że zawsze znajdzie się coś nowego, o co można się pomartwić.

Kirsty twierdziła, że dzieje się tak dlatego, iż jest urodzonym pesymistą, ale pewnie była zazdrosna, bo sama nigdy o nic się nie martwiła. Za to robiła się zła i robiła, co mogła, by z tym skończyć, cokolwiek by to było. Prawdę mówiąc, zazdrościł jej umiejętności decydowania o tym, co należy zrobić, jak i robienia tego, co trzeba, by przestało ją złościć. Aktualnie w zwykłe dni ratowała planetę (wieczorem), a w weekendy lisy (też wieczorem). A on starym zwyczajem się martwił. Zwykle tym samym, co zawsze: szkołą, pieniędzmi i czy można złapać AIDS, oglądając telewizję. Czasami jednak wyskakiwało jakieś zmartwienie takiego kalibru, że hurtem likwidowało pozostałe. Teraz był to jego własny umysł. - To nie dokładnie to samo, co być chorym - oznajmił Yo-less, który przegryzł się przez całą encyklopedię medyczną matki.

- To w ogóle nie to samo, co być chorym. Jak ci się przytrafiło dużo złych rzeczy, to zdrowo jest być w depresji - poprawił go Johnny. - To ma sens, nie? Jak interes trzeba zamknąć, ojciec oszczędł, a matka odpala jednego papierosa od drugiego i wszystkim naokoło opowiada z uśmiechem, że jeszcze nie jest tak źle, to dopiero jest choroba!

- Też racja - zgodził się Yo-less, który czytał też coś z psychologii.

- Moja babka sfiksowała, to też choroba, nie? - dodał Bigmac. - Ona... au!

- Przepraszam, nie patrzyłem, gdzie stawiam nogi - wyjaśnił Yo-less. - Ale ty też nie.

- To tylko sny - mruknął Johnny. - To żadne szaleństwo...

Choć musiał przyznać, że w ciągu dnia też zdarzało mu się śnić, i to sny tak wyraziste, że wypełniały oczy, uszy i umysł... Samoloty i bomby... I skamieniała mucha.

Zawsze koszmarom towarzyszyła mucha. Nieduża, taka w kawałku bursztynu.

Nawet nie była specjalnie przerażająca - po prostu stara: miała parę milionów lat. Tylko dlaczego była w tych koszmarach? To, że kiedyś robił projekt¹ o takiej musze, to jeszcze chyba nie powód, żeby mu się śniła, i to w dodatku w dzień.

A najgorsi są nauczyciele - zamiast zwyczajnie rzucić kredą w człowieka, gdy nie uważa, to się zaczynają martwić, wysyłać do domu kartki, a jego samego wysyłać do specjalisty. Ten specjalista okazał się zresztą nie taki straszny, no i przynajmniej dzięki wizycie Johnny nie był na matmie. Zawsze jakaś korzyść.

Na jednej z kartek pisało, że jest "zakłócony". Ciekawe sformułowanie. Naturalnie nie pokazał jej mamie; i tak miała dość zmartwień.

- Jak ci leci z dziadkiem? - zainteresował się Yo-less.

- Nieźle. Ostatnio zaczął się specjalizować w grzankach i w niespodziankowych niespodziankach.

- W czym?

- W puszkach bez nalepek, które za pół darmo sprzedają w supermarkecie. Kupuje je w przemysłowych ilościach i ma dobrą rękę. Wiesz, jak się otworzy, to trzeba potem zjeść...

Yo-less z lekka poszarzał i z pewnym trudem przełknął ślinę.

- Brzoskwinie i kotleciki nie są aż takie złe! - oburzył się Johnny.

W milczeniu wędrowali pogrążoną w wieczornym mroku ulicą.

Najgorsze jest to, myślał Johnny, że nie jesteśmy zbyt dobrzy, a najsmutniejsze to, że nie jesteśmy zbyt dobrzy nawet w byciu niezbyt dobrymi.

Na przykład Yo-less - jak się na niego popatrzyło, to miał możliwości. Był czarny. Technicznie rzecz biorąc, ale jednak. Tymczasem nigdy nie przekręcał wyrazów, nie był leniwy, a jedyną osobą, do której zwracał się "matka", była jego rodzicielka. Yo-less oczywiście twierdził, że powyższe zarzuty wynikają z rasowego stereotypu, ale prawda musiała być inna: Yo-less był mutantem. Czapkę baseballową zawsze wkładał daszkiem do przodu, a czasami nosił krawat. Mutant.

Albo Bigmac. Bigmac był dobry... na przykład w matematyce. To znaczy w pewnym sensie był dobry: doprowadzał nauczycieli do szału. Wystarczyło, że popatrzył na jakieś upiorne równanie, i stwierdzał, iż $x = 2,75$. I miał rację. Zawsze. Naturalnie nigdy nie wiedział dlaczego - po prostu tak było i koniec. A to nieodmiennie doprowadzało belfrów do szewskiej pasji, bo matematyka nie polega wcale na знaniu właściwych wyników, tylko na pokazywaniu, jak do nich dojść, nawet jeśli w samym liczeniu ktoś się kropnął. Poza tym Bigmac był skinem. Ostatnim w Blackbury (nie licząc Bazza i Skazzy, ale ich po pewnej wycieczce samochodowej² nie można było zaliczać do czegokolwiek). Miał też na kostkach dłoni napis "Love" i "Hat", ale jedynie długopisem, bo gdy szedł się wytatuować, to zemdlał.

¹ Co to takiego "projekt", wyjaśniono poglądowo w książce pt. Johnny i zmarli tegoż autora. REBIS 1997 (przyp. tłum.).

² Wycieczka została szczegółowo opisana w książce pt. Tylko ty możesz uratować ludzkość tegoż autora. REBIS 1997 (przyp. tłum.).

Aha: Bigmac próbował też bez powodzenia hodować tropikalne rybki.

Co się zaś tyczy Wobblera... Wobbler nawet nie był hackerem. Chciałby być, ale jakoś nikt nie chciał go za takiego uznać. Fakt: grzebał w komputerach i nielegalnie kopiował gry, a chciałby umieć pisać zadziwiające programy i być milionerem przed dwudziestką. Ale pewnie skończy się na tym, że będzie zadowolony, jeśli jego komputer nie będzie śmierdział przy każdym dotknięciu spalonym plastykiem.

A co do Johnny'ego...

...Jeśli się wariuje, to czy się o tym wie? A jeśli się nie wie, to skąd wiadomo, że się nie zwariowało?! - ostatnimi czasy Johnny'ego można było sprowadzić do tego typu pytań.

- To w sumie nie był taki zły film - ocenił Wobbler. Tak w ogóle bowiem wracali z małej sali Blackbury

Odeon, gdzie regularnie i z maniackim uporem oglądali wszystko, co mogło pokazywać promienie laserowe i tym podobne efekty.

- Nie można podróżować w czasie i czegoś nie na-mieszać - sprzeciwił się Yo-less.

- Przecież właśnie o to chodzi - zdziwił się Bigmac. - Ja bym tam wstąpił do policji czasu. Jakby taka była, ma się rozumieć. Wracasz i pytasz takiego: "Ty jesteś Adolf Hitler?", a jak ci mówi: "Achtung, naturalnie ja", to łup go ze strzelby kaliber dwadzieścia i po problemie.

- Tak, ślicznie. - Yo-less potrafił być cierpliwy. - A gdybyś tak przez przypadek odstrzelił własnego dziadka?

- Bym nie odstrzelił: ni krzty nie był podobny do Adolfa Hitlera.

- A poza tym nie jesteś takim dobrym strzelcem -dodał Wobbler. - Z klubu paintballowego cię wyrzucili, nie?

- Ale z zazdrości, że to nie oni wymyślili paintballowy granat ręczny. Dopiero ja im musiałem pokazać.

- Akurat na dwulitrowej puszcze farby olejnej? Nie było mniejszych?

- Nie bardzo miałem czas wybierać. Ta była pod ręką... W każdym razie robiła za granat, i to skutecznie.

- Oni mówili, że mogłeś choć otworzyć wieczko. Sean Stevens musiał mieć zszyty łeb...

- Musiał mi się nawinać pod rękę?

- Nie miałem na myśli faktycznego strzelania do twojego prawdziwego dziadka! - Yo-less stracił cierpliwość, toteż użył fali akustycznej, by zawrócić rozmowę na właściwe tory. - Chodziło mi o jakieś takie namieszanie w przeszłości, że ty się nigdy nie rodzisz albo że maszyna do podróży w czasie nigdy nie zostaje wynaleziona. Tak jak w tym filmie, co wysłali robota, żeby zabił matkę chłopaka, który miał dokopać robotom, jak dorośnie. Arnie tam grał.

- Dobry film! - ucieszył się Bigmac, waląc milczącą serię z nie istniejącego karabinu

maszynowego po wystawach sklepowych. - Termini-coś-tam się nazywał.

- Terminator dwa - poprawił go Wobbler.

- Skoro on się nigdy nie narodził, to skąd wiedzieli, że istnieje? - Yo-less niespodziewanie zadał pytanie sam sobie, po czym także samodzielnie udzielił na nie odpowiedzi: - To bez sensu.

- Też mi się ekspert trafił - parsknął Wobbler. - Skąd ci się to wzięło?

- Mam trzy półki kaset ze Star Trekiem.

- Zboczenie!

- Ścichapek!

- Trainspotter!

- Transporter, jak już! - poprawił go z godnością Yo-less. - Poza tym nie o to akurat chodzi. Chodzi o to, że jak się coś w przeszłości pozmienia, to może się skończyć tak, że nie będzie można wrócić i zostanie się tam, dokąd się trafiło. Albo ponieważ zmieniłeś przyszłość, to nie możesz wrócić, bo nigdy nie udałeś się w przeszłość. Albo jak nawet da się wrócić, to do innego czasu, dajmy na to równoległego, bo to, co zmieniłeś, spowodowało, że nie możesz wrócić tam, skąd przybyłeś, a tylko tam, gdzie cię jeszcze nie było... krótko mówiąc, jesteś zaklinowany w czasie. Spojrzeli na niego z podziwem.

- Żeby zrozumieć te całe podróże w czasie, trzeba być wariatem - podsumował po dobrej chwili Wobbler.

- Johnny, masz życiową okazję! - ucieszył się Big-mac.

- Bigmac! - W tonie Yo-lessa słychać było poważne ostrzeżenie.

- Spokojnie, lekarz mówi, że ja się tylko zbyt dużo martwię - uspokoił go Johnny.

- Co ci robili? - zainteresował się Bigmac. - Igły, wstrząsy i te rzeczy?

- Nie: nic z tych rzeczy - westchnął z pewną rezygnacją zapytany. - Tylko zadawali pytania.

- Jakie? Takie w stylu: "czy masz fioła"?

- Jakby wrócić naprawdę daleko - powiedział nagle Wobbler - do czasów dinozaurów na przykład, to nie groziłoby, że się zastrzeli własnego dziadka. Nawet bardzo starzy staruszkowie tyle nie żyją. Dinozaury są bezpieczne.

- Jasne! - ucieszył się Bigmac. - I można spokojnie do nich strzelać z plazmówki!

- Pewnie! - Tym razem Wobbler westchnął wymownie. - I to by wyjaśniało kolejną zagadkę nauki: dlaczego dinozaury wyginęły sześćdziesiąt pięć milionów lat temu? Bo Bigmac nie zdołał tam dotrzeć wcześniej.

- Przecież nie masz plazmówki - zauważył wyjątkowo rozsądnie Johnny.

- Jak Wobbler może mieć maszynę do podróży w czasie, to ja mogę mieć karabin plazmowy.

- Ano możesz, co mi tam...

- I miotacz rakiet!

- Nie przesadzaj - osadził go Yo-less. Maszyna do podróży w czasie byłaby czymś: można byłoby ułożyć sobie życie dokładnie tak, jak by się chciało, a jak coś by się nie udało, zawsze można byłoby wrócić i poprawić tak, żeby to nigdy nie nastąpiło. Johnny tak się skupił na tym pasjonującym zagadnieniu, że przestał zwracać uwagę na toczącą się obok rozmowę. A rozmowa, jak zwykle, potoczyła się własnym torem:

- Poza tym nikt nie udowodnił, że dinozaury faktycznie wyginęły! - obruszył się Bigmac.

- No pewnie: wciąż się gdzieś tu kręca, tak?

- Może wychodzą tylko w nocy albo się maskują, albo coś...

- Ceglasto wykończony stegozaur? I czerwony, piętrowy brontozaur z numerem dziewięć na czole?

- Niezły pomysł! Mogą udawać, że są autobusami, i ludzie spokojnie do nich wsiadają. Tylko nie będą mogli wysiąść...

- Do kitu pomysł. Podstawą są fałszywe nosy i brody. A potem, jak nikt się niczego nie spodziewa, to chaps, i na chodniku nie ma śladu po gościu, nie licząc butów. A inny facet, duży facet w płaszczu idzie dalej i mlaska...

Paradise Street, olśniło nagle Johnny'ego; ostatnio dużo myślał o Paradise Street. Zwłaszcza w nocy. Jakby się tak popytać ludzi, co sądzą o podróżach w czasie, to większości by się spodobało - nikt nie wiedział, co przytrafiło się dinozaurom, natomiast większość wiedziała, co się zdarzyło na Paradise Street.

I sporo z tych, co wiedzieli, chciałoby tam wrócić. Johnny też.

Coś syknęło.

Odruchowo cała czwórka się rozejrzała; między wypożyczalnią kaset a sklepem z ubraniami znajdował się wylot wąskiej alejki. Byli prawie na wprost niego, a to właśnie tam coś syczało. Tyle że teraz syk zamienił się w charkot.

Nie był to przyjemny dźwięk: trafiał przez uszy i mózg prosto do wspomnień datujących się z naprawdę dawnych czasów. Gdy wczesna małpa ostrożnie zlazła z drzewa i niezgrabnie próbowała "stać prosto", czyli zrobić to, co było takie modne wśród młodszych małp, był to ten rodzaj dźwięku, który bała się usłyszeć. Dźwięk ten wywoływał w mięśniach odruchową reakcję: wiać i wdrapać się na coś. I jak się da, to zrzucić przy okazji trochę orzechów. Najlepiej kokosowych.

- Coś jest w alejce - zauważył Wobbler, rozglądając się, czy nie znajdzie się w pobliżu jakieś poręczne drzewo.

- Wilkołak? - zaciekał się Bigmac.

- Dlaczego akurat wilkołak? - Wobbler przestał się rozglądać.

- Bo w takim filmie Zemsta przeklinającego wilkołaka... albo jakoś tak, ktoś usłyszał taki charkot i wszedł w taką alejkę, a w następnym ujęciu leżał na chodniku wśród całej masy płynnych efektów specjalnych.

Wobbler głośno przełknął ślinę i oznajmił stanowczo:

- Wilkołaków nie ma!

- Tak? To idź i powiedz im to. Zanim wymiana poglądów miała szansę się zaostrzyć, Johnny wszedł w alejkę.

Pierwsze, co zobaczył, to wywrócony sklepowy wózek, co samo w sobie nie było niczym dziwnym. Po ulicach Blackbury hasały sobie stada sklepowych wózków. Co prawda nigdy nie widział żadnego z nich w ruchu, ale podejrzewał, że kiedy tylko odwraca się do nich tyłem, zaczynają się toczyć.

Wokół wózka leżały wypchane czarne worki na śmieci, równie powypychane plastikowe torby, a tu i tam widać było słoiki. Jeden się stłukł i w okolicy śmierdziało octem. A spod worków wystawała para butów.

I kawałki chudych nóg.

To już było zdecydowanie dziwne.

Na szczycie pryzmy worków i toreb pojawił się niewielki, ale przerażający potwór i splunął w jego kierunku.

Potwór był biały, tylko gdzieś tam miał kępki brązowe i czarne. Poza tym był chudy jak śmierć i miał trzy i pół nogi. Za to tylko jedno ucho. Jego pysk był maską absolutnego i do tego zdeterminowanego zła. Miał żółte, nierówne i ostre zęby oraz oddech równie aromatyczny jak gaz pieprzowy.

Johnny znał go doskonale.

Podobnie jak właściwie każdy mieszkaniec Blackbury.

- Cześć, Guilty - odezwał się, profilaktycznie trzymając ręce przy sobie. Skoro był tu i wózek, i Guilty, to nogi... - Myślę, że coś się stało pani Tachyon - poinformował pozostałych.

Na ten sygnał w alejce zjawiły się jeszcze trzy osoby.

Scena oglądana z drugiej strony całkiem wyraźnie ujawniła panią Tachyon. Pomylić jej z workiem nie było trudno, ponieważ zazwyczaj wszystko, co miała, nosiła równocześnie. Teraz była to narciarka z pomponem, wieczorowa suknia różowej barwy, tuzin golfów, do tego z dziesięć par piłkarskich skarpet i sportowe buty.

- To krew? - spytał Wobbler.

- Tego... - bąknął Bigmac.

- Myślę, że żyje - oświadczył Johnny. - Jestem pewien, że jęknęła.

- No... wiem, jak się udziela pierwszej pomocy - odezwał się niepewnie Yo-less. - Ale tylko metodą usta-usta...

- Samobójca! - jęknął Bigmac.

Yo-less nie potrzebował uświadomienia - wyglądał jak reklama przerażenia. To, co wydawało się proste w jasno oświetlonej sali na manekinie pod okiem instruktora, zupełnie inaczej wyglądało w ciemnym zaułku, zwłaszcza biorąc pod uwagę poszkodowaną. Ten, kto

wymyślił pierwszą pomoc, na pewno nie znał pani Tachyon.

Nie mając wyjścia, Yo-less niechętnie przyklęknął i delikatnie obmacał leżącą. Z jednej z niezliczonych kieszeni coś wypadło - okazało się, że to ryba z frytkami zawinięta w gazetę.

- Zawsze je frytki - oznajmił Bigmac. - Mój brat twierdzi, że wygrzebuje je ze śmieci i jak w opakowaniu są jeszcze jakieś frytki, to je dojada... Fuj!

- Fuj... - bąknął słabo Yo-less, desperacko próbując znaleźć sposób udzielenia pierwszej pomocy bez dotykania leżącej.

W końcu Johnny'emu zrobiło się go żal. - Wiem, jak wykręcić 999 - oznajmił. Yo-less odetchnął ze słyszalną ulgą.

- Tak lepiej - przytaknął pospiesznie. - Mogła sobie coś złamać, a złamanych nie należy ruszać, bo można im zaszkodzić.

- Albo sobie - dodał Wobbler.

Pani Tachyon

Pani Tachyon była zawsze- przynajmniej odkąd Johnny sięgał pamięcią. Była etatową łachmaniarką koszową, choć właściwie należałoby ją nazwać łachmaniarką wózkową. Nie był to zresztą normalny wózek z supermarketu - był większy, sporządzony z grubszych drutów, twardy: każdego bolał tyłek, jak nim dostał, a dostał każdy, kto nie odskoczył w porę. Najprawdopodobniej pani Tachyon nie robiła tego złośliwie - najwyraźniej na planecie Tachyon nie było innych ludzi.

Na szczęście jedno kółko skrzypiało, a jeśli ktoś nie odskoczył, słysząc za plecami poskrzypywanie, następnym dlań ostrzeżeniem był nieustający monolog, jaki temu poskrzypywaniu towarzyszył. Pani Tachyon gadała bowiem cały czas, acz trudno się było zorientować, do kogo skierowany jest konkretny fragment wypowiedzi. Nawet gdy się ktoś zorientował, i tak praktyka wskazywała, że nie powinien żywić w tej kwestii pewności.

- ...powiedziałam, to ty tak mówisz, nie? Tak ci się tylko wydaje! Bo zawsze opowiadałeś niestworzone historie, powiedziałam. A, tak: powiedz Sidowi! Jesteś taki chudy, że jakbyś zamknął jedno oko, to wyglądałbyś jak igła! O, tak. Wyciągnęli mnie z tego!

Powiedz to chłopakom w mundurach! A to jest ulewa i proszę mi głupot nie opowiadać, ot co!

Równie często słychać było także niezrozumiałe mamrotanie, przerywane całkiem zrozumiałym wykrzyknikiem w stylu: "Mówiłam ci!" albo: "Tak ci się tylko wydaje!"

Popiskiwanie mogło się zacząć za plecami każdego, w każdej części miasta i o każdej porze dnia lub nocy - nikt nie był pewien pory ani miejsca. Podobnie jak nikt nie wiedział, co było w tych wszystkich torbach i workach. I prawdę mówiąc, nikt nie chciał się dowiedzieć.

Czasami znikła na całe tygodnie nie wiadomo gdzie. Gdy już wszyscy zaczynali się odprężać, na ulicach rozlegały się znajome odgłosy, a zbyt opieszłych w denerwująco znajomy sposób zaczynały boleć tyłki.

Pani Tachyon oprócz tego, że grzebała w śmieciach, zbierała też różne rzeczy w rynsztokach. W ten najprawdopodobniej sposób dorobiła się kota imieniem Guilty. Imię pasowało do wyglądu i do zachowania - on rzeczywiście był "winny". Futro miał jak osnowa dywanu, zęby niczym połamana piła, a kręgosłup dziwnie przypominał bumerang. Kiedy szedł (a zdarzało się to naprawdę rzadko, bo zdecydowanie wolał jeździć na wózku), prędzej czy później kończyło się to tym, że zaczynał chodzić w kółko. A kiedy biegł, zwykle coś goniąc, to ponieważ z przodu miał tylko półtorej łapy, zawsze kończyło się tym, że dwie kompletne tylne łapy zaczynały być szybsze od przednich, co nieodmiennie doprowadzało go do takiej furii, że próbował ugryźć się w ogon. Zazwyczaj skutecznie.

Nawet DSS, pies mieszaniec, będący własnością Pancernego Syda, przed którym czuły respekt policyjne owczarki alzackie, na widok zbliżającego się w dziwacznych podrygach Guilty'ego wiał, aż się kurzyło.

Ambulans odjechał, błyskając błękitnymi światłami.

Guilty obserwował Johnny'ego i wózek równocześnie, prawie dostając zęba z nienawiści.

- Sanitariusz mówił, że wyglądała, jakby ją coś uderzyło - odezwał się Wobbler, nie spuszczać wzroku z Guilty'ego: doświadczenie uczyło, że nie był to bezpieczny pomysł.

- I co zamierzamy z tym wszystkim zrobić? - spytał pozornie bez związku Johnny.

- Jak zostawimy, oskarżą nas o zaśmiecanie - poparł go Bigmac.

- Ale to nie nasze - zauważył Johnny.

- Nie gapcie się na mnie - obruszył się Bigmac. - W niektórych workach coś chlupie.

- No i jest jeszcze kot - dodał Johnny.

- Jego to powinniśmy od razu ukatrupić: w zeszłym tygodniu podrapał mi rękę - zaproponował Bigmac. - Poza tym to nie jest kot, tylko karykatura.

Johnny ostrożnie ustawił przewrócony wózek, czemu Guilty przyglądał się z sykiem.

- Lubi cię - ocenił Bigmac.

- Skąd wiesz?

- Bo nadal masz oczy.

- Rano można go dostarczyć do lecznicy - odezwał się Yo-less. - Jak znajdziemy gdzieś pancerne rękawice...

- A co z wózkiem? Do lecznicy nie przyjmą, a zostawić się nie da?

- No, to zwałmy go z dachu wieżowca. - Bigmac był niewyczerpaną składnicą pomysłów.

Skończyli ładowanie wózka, czemu towarzyszyło faktycznie sporo chlupotu, ale na szczęście wszystkie worki okazały się szczelne, mimo iż niektóre mocniej ściśnięte zaczynały się ruszać.

- Mój brat twierdzi, że ona dawno temu zabiła męża, a potem znikowała - stwierdził niespodziewanie Bigmac, przyglądając się załadowanemu wózkowi. - Ciało nigdy nie znaleziono...

Teraz wszyscy zaczęli się uważniej przyglądać wózkowi.

- Żaden nie jest wystarczająco duży, by pomieścić ciało - ocenił Yo-less, mający absolutny zakaz oglądania horrorów. - Ani wystarczająco ciężki.

- Całe nie - zgodził się Bigmac. Yo-less nagle się cofnął.

- A ja słyszałem, że wsadziła mu głowę w piekarnik - dodał Wobbler. - Ale się nababrało...

- Nababrało? - zdziwił się Yo-less. - W piekarniku?

- To była kuchenka mikrofalowa, a jak wsadzisz tam...

- Zamknij się! - Propozycja Yo-lesa była nie do odrzucenia.

- Też słyszałem, że ona jest naprawdę bogata - dodał Bigmac.

- Raczej śmierzące bogata - mruknął Wobbler.

- Chyba najlepiej będzie... jak wstawię to wszystko do garażu dziadka - zdecydował Johnny.

- A w końcu dlaczego my mamy się tym zajmować?! - ocknął się Yo-less. - Jest chyba jakaś opieka społeczna i służby porządkowe, nie?

- Właściwie garaż stoi pusty, a rano...

Cóż, rano to był kolejny, zupełnie nowy dzień.

- A jak już go ustawisz, to możesz sprawdzić, czy faktycznie są tam jakieś pieniądze - podpowiedział Bigmac.

Johnny spojrzał podejrzliwie na Guilty'ego, który odwzajemnił spojrzenie z uczuciem. Była nim nienawiść.

- Sam sobie możesz sprawdzić - zdecydował. - Lubię mieć wszystkie palce. Zresztą i tak mnie odprowadzicie: nie będę sam tego pchał po nocy.

Ponieważ nikt nie zaprotestował, pochód w składzie jeden plus cztery przy wtórce popiskiwania potoczył się w kierunku garażu dziadka Johnny'ego.

- Ciężki - ocenił Yo-less.

Z tyłu dobiegło zduszone parsknięcie.

- Mówią, że pan Tachyon był kawał chłopca...

- Zamknij się, Bigmac, jeśli łaska.

Johnny upewnił się tymczasem, że to wszystko on. Tak jak w loterii, tylko na odwrót; też wielki paluch z nieba trafia cię w ucho i wrzeszczy: "To ty - cha, cha, cha!"; gdy jednak następnego dnia się wstaje, to nie czeka na człowieka żadna wielka wygrana, tylko niespodzianka w stylu wyładowanego nie wiadomo czym wózka sklepowego i kota psychopaty.

- Masz - zaproponował mu niespodziewanie Wobbler. - Jeszcze ciepłe.

- Co?! Zebrałeś jej rybę z frytkami?!

- O co chodzi? - zdziwił się Wobbler. - Miało się zmarnować...

- Mogła na nie napluć. - Bigmac szybciej zrozumiał, co się nie podoba Johnny'emu.

- Nie mogła: nie były nawet rozpakowane. - Mimo wszystko Wobbler przestał szeleścić papierem.

- Połóż je na wózek - polecił zrezygnowany Johnny.

- Ciekawość, kto tu pakuje jedzenie w gazetę - mruknął Wobbler, wykonując polecenie celnym rzutem. - Bo Hongkong Henry na pewno nie. To skąd je wzięła?

Sir Johna zwykle budził o wpół do ósmej lokaj ze śniadaniem, drugi - z ubraniem, trzeci z karmą dla Adolfa i Stalina oraz czwarty, z zasady zapasowy.

Punktualnie o dziewiątej zjawiał się sekretarz z listą spotkań umówionych na dany dzień.

Tego dnia jednak Sir John przyjrzał się tacy ze śniadaniem z dziwnym wyrazem twarzy. Adolf i Stalin zignorowały tacę, jak zwykle pływając w niewielkim akwarium

stojącym na niewielkim stoliku.

- Pięć pastylek: każda inna, dwa smutne biszkopty z tektury i szklanka soku z pomarańcz pozbawionego smaku - ocenił Sir John. - Po co być najbogatszym człowiekiem na świecie... nawet jeśli jestem najbogatszy?

- Tak jest, Sir.

- Dobra. Wracając do rzeczy: po co być najbogatszym człowiekiem na świecie skoro na śniadanie ma się pigułki?... Zaczynam mieć tego wszystkiego serdecznie dość, słyszysz?... Powiedźcie Hicksonowi, żeby wyprowadził samochód.

- Który samochód, Sir?

- Bentleya, naturalnie.

- Którego bentleya, Sir?

- Och, tego, którego dawno nie używałem. Może wybrać. I proszę odszukać na mapie Blackbury, mamy tam, zdaje się, bar hamburgerowy, prawda?

- Eee... tak sędzę, ale lepiej zawołam sekretarza, Sir.

- A zawołaj, zawołaj.

Sekretarz zjawił się w lekkim nieładzie, za to piorunem.

- Mamy tam bar hamburgerowy, Sir John. Jego lokalizację wybrał pan osobiście, twierdząc, że wie pan, iż będzie odpowiednia. Ale na dziś ma pan umówione spotkanie z przewodniczącym...

- Odwołaj je. Odwołaj wszystkie dzisiejsze spotkania: jadę do Blackbury. Tylko ich nie uprzedzaj. Nazwijmy to... lotną inspekcją. Tajemnicą sukcesu w interesach jest zwracanie uwagi na detale. Gdy ludzie zaczną dostawać niedopieczone hamburgery albo spalone frytki, to zanim się człowiek zorientuje, cały interes szlag trafi.

- Eee... jeśli pan tak mówi, Sir John.

- Mówię. Będę gotów za dwadzieścia minut.

- Eee... przypadkiem nie da się tego odłożyć do jutra? Komitet prosił o...

- Nie da! To musi być dziś! Dzisiaj się to wszystko zaczęło: pani Tachyon, wózek, Johnny... To musi być dzisiaj, bo inaczej... - Sir John odsunął tacę ze śniadaniem i dodał z obrzydzeniem: - Bo inaczej będę musiał to jeść przez resztę życia.

Sekretarz niejedno już przeżył w służbie swego nie-ortodoksyjnego chlebodawcy, toteż pozostawił tę wypowiedź bez komentarza.

- Blackbury... - odezwał się po chwili. - To tam był pan ewakuowany podczas wojny, prawda? I tylko pan przeżył, gdy zbombardowano tam jakąś ulicę?

- Ja i dwie złote rybki, Adolf i Stalin - poprawił go Sir John. - Tam się właśnie wszystko zaczęło. No już, ja się ubieram, a ty przygotuj wszystko.

Sekretarz nie wyszedł natychmiast, jako że do jego obowiązków należało także zwracanie uwagi na dziwactwa Sir Johna, który ostatnio zaczął czytać stare gazety i książki, w których tytułach były takie słowa jak "czas" albo "fizyka". Czasami nawet pisywał

poirytowane listy do różnych utytułowanych naukowców. Gdy się jest najbogatszym człowiekiem na świecie, to trzeba się przyzwyczaić, że inni obserwują cię całkiem uważnie. I nie zawsze za twoje własne pieniądze.

- Adolf i Stalin. - Sir John nie mówił do nikogo konkretnie: bardziej zwracał się do całego świata. - Naturalnie, że te dwie to ich następcy, bo okazało się, że Adolf był samicą. A może to Stalin?

Sir John w zamyśleniu wyjrzał przez okno, za którym ogród rozciągał się aż do wzgórz, które ogrodnik sprowadził specjalnie w tym celu z drugiego końca kraju.

- Blackbury - mruknął Sir John. - Tam się to wszystko zaczęło. Od chłopca imieniem Johnny i od pani Tachyon. I od kota... jak sądzę. - Nagle odwrócił się i spytał zirytowany: - Jeszcze tu jesteś?

- Przepraszam, Sir John. - Sekretarz na wszelki wypadek zaczął się wycofywać tyłem. - Już mnie nie ma, Sir.

Drzwi zamknęły się z cichym stukiem i Sir John został sam.

- Tam się to wszystko zaczęło - powtórzył. - I tam się to wszystko skończy.

Johnny zawsze lubił te pierwsze chwile po obudzeniu, zanim jeszcze dzień zdążył naskoczyć na człowieka. Miło tak leżeć, myśląc o kwiatkach, chmurkach i kotkach...

Tylko ręka go dziwnie bolała.

To skutecznie rozwiało sielankowy nastrój i z upiorną wyrazistością przypomniało mu wydarzenia poprzedniego dnia. A raczej nocy.

W garażu stał wózek ze stertą worków na śmieci pełnych nie wiadomo czego. Na ścianie i na podłodze były też ślady po mleku pozostałe po tym, jak Guilty pokazał mu, co sądzi o ludziach próbujących mu dać nie spowodowany posiłek. Johnny był potem zmuszony wziąć największy plaster, jaki znalazł w apteczce.

Nie widząc sensu w dłuższym odwlekaniu nieuchronnego, wstał, ubrał się i zszedł na dół. Matka była w pracy, po ojcu ani śladu, a dziadek jak zwykle oglądał telewizję. Była sobota, ale to nie miało dla niego najmniejszego znaczenia.

Johnny otworzył drzwi do garażu i na wszelki wypadek się cofnął. Nic jednak nie zakłóciło ciszy i spokoju i nigdzie nie było widać wyliniałej kociej pokraki ani nieruchomej, ani też podrygującej wściekle w jego kierunku. Wózek stał sobie spokojnie pośrodku garażu, a Guilty zniknął.

Wyglądało to niczym scena z filmu grozy, gdy wiadomo, że gdzieś w pomieszczeniu czai się potwór...

Johnny wskoczył do środka, zamiast wejść - na wypadek gdyby na przykład Guilty czekał na suficie. Oglądanie tego parszywego kota było nieprzyjemne, ale niemożność dostrzeżenia go była zdecydowanie gorsza.

Nie kusząc niepotrzebnie losu, Johnny wyśliznął się z garażu i zamknął za sobą starannie drzwi. Prawdopodobnie powinien poinformować o wszystkim kogoś oficjalnego.

Wózek w końcu należał do pani Tachyon, choć wcześniej do Tesco, a więc przetrzymywanie go mogło zostać uznane za kradzież.

Zdażył wejść do domu, gdy zadzwonił telefon. Zazwyczaj świadczyły o tym dwa zjawiska: sygnał telefonu i okrzyk dziadka. Dziadek miał bowiem żelazną zasadę: nigdy nie odbierać telefonu, jeśli istniał choć cień szansy, że może to zrobić ktoś inny.

Tym razem dziadek nie miał okazji wydać z siebie głosu.

- Halo?

- Czy mógłbym rozmawiać z... - W słuchawce rozległ się głos Yo-lesa mówiącego wolno i z nienagannym akcentem, czyli tak, jak mówi się do obcokrajowców, przygłupów i rodziców.

- Możesz przestać, to ja.

- Aha - ucieszył się Yo-less. - Wiesz o pani Tachyon?

- Uciekła ze szpitala i szuka wózka?

- Nie, ale moja matka miała dyżur, gdy ją przywieźli. Podobno jest strasznie poobijana, pani Tachyon naturalnie, nie moja matka. Matka twierdzi, że ktoś ją nieźle pobił i że powinniśmy zawiadomić policję.

- Dlaczego?

- Bo mogliśmy coś wiedzieć... albo... no, ktoś mógł pomyśleć, że to my...

- My?! Przecież zadzwoniliśmy po karetkę!

- Ja to wiem, ale nie o mnie chodzi, nie? A poza tym masz jej rzeczy...

- Przecież nie mogliśmy ich zostawić na ulicy!

- To też wiem, ale nie w tym rzecz... był z nami Bigmac...

I to było to. Nie chodzi o to, że Bigmac z natury jest zły - generalnie nie skrzywdziłby muchy (chyba żeby go porządnie zdenerwowała). Bigmac miał jednak dwa problemy. Pierwszym były samochody, zwłaszcza duże, szybkie i z kluczami w stacyjkach. Drugi to fakt, że był skinheadem, w związku z czym odpowiednio się ubierał: na przykład miał tak duże buty, że praktycznie nie sposób go było przewrócić.

Sierżant Comely z miejscowego posterunku był na przykład święcie przekonany, że Bigmac jest sprawcą wszystkich nie wyjaśnionych przestępstw popełnionych w Blackbury, podczas gdy tak naprawdę był winien góra dziesięciu ich procent.

- ...i Wobbler - dodał Yo-less.

Wobbler z kolei przyznałby się do wszystkiego, jeśliby go wystarczająco przestraszyć. Jakby się ktoś naprawdę uparł, to w pół godziny rozwiązałby z jego udziałem wszystkie większe tajemnice świata, od Trójkąta Bermudzkiego po potwora z Loch Ness.

- To już sam pójde - zdecydował Johnny. - Tak będzie prościej.

- Dzięki. - W głosie Yo-lesa słychać było przede wszystkim ulgę.

Ledwie Johnny odłożył słuchawkę, telefon ponownie ożył.

- Halo? Halo? - rozległo się, zanim jeszcze zdążył przyłożyć słuchawkę do ucha.

- Tak... halo?

- To ty? - Głos był zdecydowanie damski i nie tyle nieprzyjemny, ile dociekliwy.

Ton sugerował jednoznacznie: jeżeli to nie ty, to jest to twoja wina. Johnny rozpoznał go natychmiast: jeśli jego właścicielka wybrała zły numer, miała potem pretensje, że telefon odebrał ktoś, z kim nie chciała rozmawiać.

- Tego... ja... cześć, Kirsty.

- Chciałeś powiedzieć: Kasandra.

- Aha... chciałem - zgodził się, postanawiając zanotować aktualne imię.

Kirsty zmieniała je równie często jak rzeczy i równie nieregularnie, choć ostatnimi czasy konsekwentnie: wszystkie zaczynały się na K.

- Słyszałeś o pani Tachyon?

- Myślę, że tak - odparł ostrożnie.

- Ostatniej nocy pobiła ją jakaś banda młodocianych. Wygląda podobno strasznie.

Halo? Jesteś tam?

- Jestem - wykrztusił słabo, czując, że brzuch ma pełen lodu.

- Nie uważasz, że to wstyd?

- Tego... uważam.

- Jeden z nich był czarny.

Johnny w milczeniu skinął głową. Yo-less wytłumaczył mu tę kwestię poglądowo: gdyby jeden z jego przodków dołączył do hord Attyli i razem z kilkuset tysiącami barbarzyńców wziął udział w zdobyciu Rzymu, bez wątpienia w kronikach historycznych zapisano by, że jeden z napastników był czarny. A że tym razem chodziło o konesera orkiestr dętych i zacieklego kolekcjonera etykiet zapalczanych, było zupełnie bez znaczenia.

- To... to byliśmy my. To znaczy myśmy jej nie pobili, myśmy ją znaleźli. Zadzwońm po karetkę, a Yo-less próbował... próbował znaleźć inny sposób udzielenia pierwszej pomocy...

- Zawiadomiliście policję?

- Nie...

- Ludzkie pojęcie przechodzi! Zginałbyś beze mnie, i to w biały dzień! Słuchaj, musisz zawiadomić policję; spotkamy się przed posterunkiem za pół godziny. Wiesz, jak się odczytuje czas na zegarku? Duża wskazówka na...

- Mam elektroniczny- przerwał jej. - I bądź łaskawa nie mówić mi, że ósemka to bałwanek, a czwórka to krzesółko.

- Skoro nalegasz... Posterunek jest dwa przystanki od twojego domu. Wiesz, jak dojechać?

- Głupie pytanie...

- Tylko pozornie. Do wykupienia biletu będziesz potrzebował pieniędzy: to okrągłe, metalowe, co ci się pałęta po kieszeniach. Cześć!

I zanim zdążył odzyskać mowę, odłożyła słuchawkę.

Kirs... znaczy się Kasandra taka już była - musiała próbować wszystkimi dyrygować. Była najbardziej zorganizowaną osobą, jaką znał. Prawdę mówiąc, była zbyt zorganizowana - miała tyle zorganizowania, że się przelewało na wszystkie strony i zagrażało innym.

A Johnny był jej przyjacielem.

W ogólnym znaczeniu tego słowa, ma się rozumieć! Tak właściwie to nawet nie wiedział, czy w tej sprawie ma jakikolwiek wybór. Kirs... znaczy się Kasandra w przyjaźniach nie była dobra i zdawała sobie

z tego sprawę. Wiedziała nawet, że powodem jest jakaś wada charakteru, naturalnie u innych.

Poza tym spotykała się z czarną niewdzięcznością - im bardziej starała się pomóc innym, wyjaśniając im, jak głupio postępują, tym mniej ją lubili. I to zupełnie bez powodu. Jedynym powodem, dla którego Johnny w ten sposób nie zareagował, była pełna świadomość własnej głupoty.

Zdarzało się jednakże (co prawda rzadko, ale się zdarzało), że kiedy oświecenie było właściwe, a Kirs... znaczy się Kasandra przypadkiem nikogo nie organizowała, była całkiem miłą dziewczyną. Johnny w takich wypadkach nieodmiennie dochodził do wniosku, że istnieją dwa rodzaje głupoty - normalna, taka jak jego, i wysoce specjalistyczna, którą ma się, tylko kiedy jest się za bardzo wypchanym rozmaitymi mądrościami.

Na wszelki wypadek zdecydował się poinformować dziadka, że wychodzi; jakby przypadkiem zabrakło prądu albo zepsuł się telewizor, dziadek zacząłby go szukać i gdyby znalazł, zacząłby desperować.

- Dziadku, wychodzę!

- Dobra. - Dziadek nawet nie oderwał wzroku od ekranu. - Zobacz no! Prosto w szambo!

W garażu nic ciekawego się nie działo, toteż Guilty wyczołgał się spod sterty czarnych worków i zajął zwykłą pozycję z przodu wózka, gdzie zawsze podróżował w nadziei, że uda się kogoś drapnąć. A jakby się bardzo dobrze złożyło, to może i ugryźć...

Koło drzwi przez chwilę tłukła się mucha, po czym nie mogąc się przebić przez szybkę, zrezygnowana poszła spać.

Worki się poruszyły.

Ruch przypominał poruszanie się żab w oliwie albo much w syropie: był powolny i stopniowy, a towarzyszył mu gumowy, skrzypiący odgłos, zupełnie jakby początkujący iluzjonista próbował wyjąć królika z balonów. Rozległy się także inne dźwięki, ale Guilty nie zwracał na nie uwagi - z doświadczenia wiedział, że dźwięków nie da się zaatakować, a poza tym zdążył się już do nich przyzwyczaić.

Dźwięki nie były zresztą głośne czy wyraźne. Mogły to być fragmenty muzyki albo strzępki rozmów - jak niedokładnie dostrojone radio grające dwa pokoje dalej albo ryk

bardzo odległego tłumu...

Johnny spotkał się z Kasandrą przed posterunkiem policji.

- Twoje szczęście, że miałam trochę wolnego czasu - powitała go jak zwykle czarująco. - Idziemy!

Za biurkiem siedział spokojnie sierżant Comely. Gdy weszli, przyjrzał im się obojętnie, zapisał coś w rozłożonej na biurku księdze i nagle uniósł wzrok, tym razem na pewno nie obojętny.

- Ty?!

- Hm... dzień dobry, panie sierżancie - powitał go Johnny.

- Co tym razem? Zobaczyłeś obcych?

- Przyszliśmy w związku z panią Tachyon - oświadczyła Kasandra.

- Tak?

- Dalej - poleciła Johnny'emu. - Opowiedz wszystko.

- Hm... no... No więc ja i Wobbler i Yo-less i Big-mac...

- Wobbler, Yo-less, Bigmac i ja - poprawiła go Kasandra.

Uwaga sierżanta skoncentrowała się na niej. - Cała wasze piątka? - spytał.

- Mnie tam nie było! Ja tylko poprawiałam jego gramatykę.

- Często ci się to trafia? - zainteresował się Comely, a nie mogąc się doczekać odpowiedzi, spytał Johnny'ego: - Często tak robi?

- Cały czas - poinformował go z rezygnacją zapytany.

- Słodka godzino! Dobrze, mów dalej. Ty, nie ona!

Kiedy jeszcze sierżant Comely był zwykłym policjantem, złożył wizytę w szkole Johnny'ego, żeby wszyscy mogli się przekonać, jaka policja jest miła. Podczas tej wizyty udało mu się skuć samego siebie własnymi kajdankami, była więc dla uczestników pamiętna. Był też członkiem Blackbury Morris Men i Johnny na własne oczy widział, jak z dzwoneczkami przy kolanach machał dwiema chusteczkami. Co prawda tylko raz go widział, ale jednak. Sierżant zresztą miał świadomość, że go widziano.

- No więc, przemieszczaliśmy się wzdłuż... - zaczął

Johnny.

- I bez dowcipów!

Dwadzieścia minut później oboje powoli schodzili ze stopni posterunku.

- Nie było tak źle - oceniła Kasandra. - Nie aresztowali cię ani nic... Naprawdę masz jej wózek?

- Naprawdę mam.

- Podobała mi się jego mina, jak wspomniałeś o Guiltym. Całkiem ładnie pobił.

- Co to jest powinowaty? Powiedział, że ona nie ma powinowatych.

- Krewny. Generalnie to samo.

- To ona nie ma nikogo? - zdziwił się Johnny.

- Zdarza się, i to częściej, niż można by sądzić.
- Owszem, ale przeważnie zostaje kuzyn w Australii, o którym się nie wie. Albo kuzynka.

- A zostaje?
- Owszem. Ja do zeszłego miesiąca też nie wiedziałem, że mam tam kuzynkę, więc to musi się naprawdę często zdarzać - ocenił po namyśle Johnny.

- Sytuacja pani Tachyon to poważne oskarżenie pod adresem społeczeństwa - oznajmiła niespodziewanie ni z gruszki, ni z pietruszki Kasandra.

- A dlaczego? - Bo jest zła.
- Chodzi ci o to, że nie ma krewnych! Wątpię, by rząd miał na to jakiś wpływ...
- Chodzi o to, że nie ma domu, że się włóczy i żyje z tego, co znajdzie.
Coś-należy-z-tym-zrobić!

- Cóż, sądzę że możemy ją odwiedzić - zaproponował Johnny niepewnie. - Leży w szpitalu Świętego Marka. To w sumie nie tak daleko.

- I co to da?
- Hmm... może ją podnieść na duchu. Trochę.
- Wiesz, że prawie każde zdanie zaczynasz od "hmm"?
- Hmm...
- Pójście do szpitala w niczym nie zmieni całkowitej obojętności i braku opieki, z czym spotykają się osoby bezdomne albo psychicznie chore!

- Prawdopodobnie nie, ale może będzie jej trochę weselej.
Kasandra przez dłuższą chwilę szła w milczeniu.
- To w sumie nic wielkiego... ale jak już musisz wiedzieć, to nie lubię szpitali - oświadczyła w końcu. - Są pełne chorych...

- Możemy jej przynieść coś, co lubi. I pewnie się ucieszy, że z Guiltym jest wszystko w porządku.

- Tam ohydnie śmierdzi. - Kasandra najwyraźniej go nie słuchała. - Tymi wszystkimi środkami dezynfekcyjnymi...

- Jak będziesz blisko pani Tachyon, gwarantuję, że ich nie poczujesz.
- Uparłeś się tam iść, bo wiesz, że nienawidzę szpitali, prawda?
- Po prostu... myślałem, że powinniśmy. A poza tym myślałem, że normalnie robisz takie rzeczy... w końcu masz tę nagrodę diuka Edynburga czy jak mu tam.

- Tak, ale to jest działanie, które ma jakiś cel.
- Możemy iść pod koniec pory odwiedzin, wtedy nie będziemy musieli długo siedzieć.
Wszyscy tak robią.

- Niech już będzie! - jęknęła Kasandra.
- I lepiej weźmy jej coś do jedzenia. Tak się należy.
- Winogrona?

Johnny spróbował sobie wyobrazić panią Tachyon jedzącą winogrona i wyobrażenia mu się skończyła.

- Zastanowię się co - bąknął.

Drzwi od garażu powoli poruszyły się. Najpierw w tę, potem z powrotem.

W garażu znajdowały się:

Betonowa podłoga. Stara, popękana i poplamiona benzyną i smarami. Przemierzały ją odciski ślady niedwuznacznie sugerujące, że nim beton zastygł, przespacerował się po nim czyjś pies. Z betonem tak jest zawsze. I wszędzie. Była też para ludzkich śladów, pełna brudu i kurzu. Krótko mówiąc, był to najzwyklejszy w świecie kawałek betonu.

Poza tym w garażu były jeszcze:

Stół, na którym stał do góry kołami rower w stanie wskazującym, że ktoś do perfekcji opanował sztukę rozbierania go na kawałki. Leżące w nieładzie wokół części świadczyły, że ów ktoś nie posiadał jednakowoż umiejętności składania roweru.

Kosiarka do trawy zaplątana w wąż ogrodowy. Taka statyczna kompozycja plastyczna występuje w każdym garażu i jest całkowicie pozbawiona znaczenia. Wózek sklepowy pełen plastikowych siatek i worków, z których największą uwagę przyciągało sześć czarnych, zwykle przeznaczonych na śmieci.

Niewielka piramidka słoików z marynatami, którą Johnny starannie ułożył ostatniej nocy.

Pozostałości po rybie z frytkami. Według Guilty'ego żarcie dla kotów było czymś, co przytrafiało się innym kotom. Przeważnie pechowym.

Para żółtych ślepiów przyglądająca się wszystkiemu uważnie z cienia pod stołem. I to było wszystko.

Worki Czasu

Prawdę mówiąc, Johnny też nie lubił szpitali. Głównie dlatego, że ci, których w nich odwiedzał, już z nich nie wychodzili. Poza tym jakkolwiek personel próbowałby rozweselić wnętrza (a to kwiatkami, a to obrazkami, a to inwencją własną), i tak żadne nie wyglądało przyjaźnie. W końcu nikt tu nie przebywał, dlatego że miał taką ochotę.

Na szczęście Kasandra była naprawdę dobra w znajdowaniu odpowiedzi, nawet jeśli musiała je wymuszać na innych, tak więc odszukanie pokoju, w którym leżała pani Tachyon, nie trwało długo.

- To ona, prawda? - spytała Kasandra, ledwie stanęli w drzwiach.

Prawie przy każdym łóżku ktoś siedział (albo większa liczba ktosiów), ale i tak nie sposób było nie poznać na pierwszy rzut oka, które zajmowała pani Tachyon. Była bowiem jedyną osobą, która oprócz szpitalnej koszuli miała na sobie jeszcze coś: wciśniętą na głowę narciarską czapkę z pomponem. Na niej zaś szpitalne słuchawki. Siedziała na łóżku, wpatrywała się intensywnie w ścianę i radośnie podrygiwała.

- Wygląda na zadowoloną - oceniła Kasandra. - Można się dowiedzieć, czego słucha?

- Trudno powiedzieć, bo słuchawki nie są podłączone - odparła z lekka zrezygnowana pielęgniarka. - Jesteście jej krewnymi?

- Nie - zaprzeczyła Kasandra. - Jesteśmy...

- To taki projekt - wpadł jej w słowo Johnny. - Jak pielienie ogródków starszym osobom i inne podobne... wie pani.

Pielęgniarka spojrzała na niego niepewnie, ale magiczne słowo "projekt" jak zwykle zadziało. Zamiast zagłębiać się w temat, pociągnęła nosem.

- Chyba czuję ocet...

Kasandra spojrzała na Johnny'ego, który uśmiechnął się niewinnie. A przynajmniej próbował.

- To nie od nas - oświadczył. - My mamy tylko winogrona.

Pielęgniarka nie do końca przekonana, że dobrze robi, odeszła w końcu, a oni przysunęli wolne krzesła do łóżka pani Tachyon, która cały czas konsekwentnie ich ignorowała.

Johnny nigdy w życiu z nią nie rozmawiał i nie bardzo wiedział, jak zacząć. Kasandra nie miała takich problemów - pochyliła się i odsunęła jedną ze słuchawek.

- Dzień dobry, pani Tachyon! - oświadczyła głośno i wyraźnie.

Pani Tachyon znieruchomiała i przyjrzała się podejrzliwie najpierw jej, potem Johnny'emu. Miała podbite oko, potargane siwe włosy, które wysunęły się spod narciarki, lecz było w niej coś przerażająco niepowstrzymywalnego.

- Doprawdy? Tak ci się tylko wydaje! - oznajmiła. - Niech pan zadzwoni jutro, panie

piekarz, to pogadamy o chrupkim pieczywie. Bidactwo, tak? Tak ci się tylko wydaje! Co: gorset?! Może im tam się to podoba, ale ja serdecznie dziękuję. Co, ni ma bananów? Mia-łam dom, ale teraz to sami czarni. Kapelusze.

- Dobrze się tu panią opiekują? - spytała Kasandra.

- Nie ma strachu! Tik-tak-bang! Chciałabym zobaczyć, jak próbują. Oto pudding. Pewnie, że pamiętam, kiedy tu były pola, ale kto by chciał mnie słuchać?

- Myślę, że jest nieco... zdezorientowana. - Kasandra spojrzała wymownie na Johnny'ego. - Nie rozumie słowa z tego, co do niej mówię.

- My też nie rozumiemy słowa z tego, co ona do nas mówi - zauważył Johnny, który cały czas czuł się zdezorientowany.

Pani Tachyon poprawiła słuchawki i ponownie zaczęła radośnie podrygiwać.

- Nie wierzę... - sapnęła Kasandra. - Przepraszam! - Po czym zdjęła pani Tachyon słuchawki i starannie je sprawdziła. - Pielęgniarka miała rację: są głuche jak pień!

Pani Tachyon nie przestała tym razem radośnie podrygiwać.

- I znowu się lęgnię co minutę! - zanuciła. A potem mrugnęła do Johnny'ego. Było to wyraźne, rozumne mrugnięcie z planety Tachyon do planety Johnny.

- Przynieśliśmy pani trochę winogron - ocknął się Johnny.

- Tak ci się tylko wydaje!

- Winogrona! - powtórzył zdecydowanie Johnny, otwierając torbę i podtykając jej owoce pod nos.

Wewnątrz znajdowała się ryba z frytkami zawinięta w pergamin. Oczy pani Tachyon rozszerzyły się w nagłym zrozumieniu, a koścista dłoń wystrzeliła spod kołdry z podziwu godną szybkością, złapała pakunek i zniknęła wraz z nim z powrotem.

- On i jego płaszcz - oświadczyła. - Pies je trącał.

- Nie ma o czym mówić. Trzymam pani wózek w bezpiecznym miejscu. Guilty też jest cały, choć wątpię, żeby coś zjadł, nie licząc frytek i mojej dłoni.

- To вина pana Chamberlaina - odparła pani Tachyon.

Nieśmiało zabręczał dzwonek.

- No proszę, koniec odwiedzin. - Kasandra prawie zerwała się z krzesła. - Jak ten czas leci. Miło było panią poznać, szkoda, że musimy już iść. Chodź, Johnny.

- Lady Szmira- odparła pani Tachyon i spytała Johnny'ego: - Co teraz słychać na ulicach?

- Hm... Zakaz parkowania? - zaryzykował, próbując myśleć tak jak ona.

- Tak ci się tylko wydaje! Te one to worki czasu. Umysł jest rowerem. Gdzie umysł pójdzie, to reszta też musi. Dziś tu, a jutro zniknięte! Cała sztuka to robienie! Co?

Johnny'ego zamurowało - zupełnie jakby w radiu zamiast zakłóceń usłyszał krótki, sensowny komunikat.

- Pan McPhee miesza cukier z piaskiem. - Pani Tachyon wróciła do normy, o ile

można to tak nazwać. - Tak ci się tylko wydaje!

- Po coś jej to przyniósł?! - syknęła Kasandra, ledwie znaleźli się na korytarzu. - Ona potrzebuje prawidłowej, zdrowej diety, a nie jakichś frytek! Dlaczego jej to dałeś?

- Bo ciepłe frytki to coś, co chciałby każdy przyzwyczajony do zimnych. A w dodatku nie jadła wczoraj kolacji. Wiesz, jest coś dziwnego...

- Ona jest dziwna.

- Nie lubisz jej, prawda?

- Owszem. Nie powiedziała ci nawet dziękuję.

- A myślałem, że jest biedną ofiarą represyjnego systemu i znieczulicy. Tak przynajmniej mówiłaś, jak tu jechaliśmy.

- I co z tego? Uprzejmość nic nie kosztuje. Chodź, mam serdecznie dość tego miejsca!

- Zaczekajcie... - rozległo się z tyłu.

- Znaleźli frytki! - jęknęła Kasandra. Powoli i ostrożnie oboje się odwrócili.

Osoba, która się do nich zbliżała, choć niewątpliwie płci żeńskiej, nie była pielęgniarką, chyba że szpital miał tajną zmianę chodzącą w cywilnych ciuchach. Kobieta była młoda, miała okulary, niezwykłą fryzurę i buty, które wywarłyby wrażenie nawet na Bigmacu. W ręku trzymała garść papierów.

- Czy... czy wy znacie panią... hm... Tachyon? O ile to jej nazwisko... - spytała.

- Chyba jej - przyznał Johnny. - W każdym razie wszyscy się tak do niej zwracają.

- To bardzo dziwne nazwisko - stwierdziła kobieta. - Prawdopodobnie zagraniczne.

- Właściwie to jej nie znamy - odezwała się Kasandra. - Odwiedziliśmy ją wyłącznie z powodów społecznych.

- Słodka godzino! - jęknęła kobieta i czym prędzej przeniosła spojrzenie z Kasandry na papiery. - Wiecie o niej coś? Cokolwiek?

- Na przykład? - Johnny zrobił się nagle ostrożny.

- Gdzie mieszka. Skąd pochodzi. Ile ma lat. Cokolwiek.

- Nie bardzo. Widuje się ją często, ale sama pani wie, jak to jest...

- Przecież musi gdzieś spać!

- Pewnie musi - zgodził się Johnny posłusznie.

- Nigdzie nie ma jej danych! - desperowała właścicielka imponujących butów. - Nigdzie w ogóle nie ma żadnych danych żadnego Tachyona.

Sądząc po jej głosie, powyższy stan rzeczy powinien być karalny.

- Pani jest z opieki społecznej - zrozumiała wreszcie Kasandra.

- Owszem. Nazywam się Partridge.

- Chyba widziałem, jak pani rozmawia z Bigmakiem - przypomniał sobie Johnny.

- Z kim? Kto to jest Bigmac?

- Hm... Simon... chyba Wrigley.

- A tak, Simon. - Pani Partridge nagle spochmurniała. - To ten, który chciał wiedzieć, ile samochodów musi ukraść, żeby dostać darmowe wakacje w Afryce.

- A pani mu powiedziała, że wysłałaby go tam natychmiast, gdyby kanibalizm wciąż był...

- Tak, tak. - Pani Partridge zaczęła się nagle spieszyć.

Kiedy mniej niż rok temu zaczynała pracować, była święcie przekonana, że powodem całego zła na świecie jest wielki interes i rząd. Teraz była pewna, że jest to w zasadzie wina Bigmaca.

- Zrobiła pani na nim wrażenie - poinformował ją Johnny. - Mówił, że...

- O pani Tachyon niczego nie wiecie? Miała wózek pełen śmieci, ale nikt nie wie, gdzie on jest.

- Faktycznie... - zaczęła Kasandra.

- My też nie wiemy - przerwał jej stanowczo Johnny.

- Byłoby dobrze, gdybyśmy go znaleźli. Może tam są jej papiery albo coś, co pozwoliłoby ją zidentyfikować... Oni zbierają najrozmaitsze rzeczy. Gdy byłam w Bolton, miałam do czynienia ze staruszką, która...

- Spóźnimy się na autobus - przerwała jej Kasandra. - Przykro nam, że nie możemy pomóc. Chodź, Johnny. - I praktycznie wyciągnęła go ze szpitala. - Przecież masz ten wózek! - oznajmiła oskarżycielsko, gdy znaleźli się przed budynkiem. - Sam mi powiedziałeś.

- Mam, ale nie widzę powodu, aby go jej zabrali albo w nim grzebali. Też byś nie chciała, żeby ktoś grzebał w twoich rzeczach.

- Moja mama twierdzi, że ona wyszła za lotnika w czasie drugiej wojny. Nie wrócił z któregoś lotu i zdziwiała.

- A mój dziadek mówi, że razem z kolegami przewracali jej wózek dla zabawy, kiedy był w moim wieku. Twierdzi, że w życiu nie słyszał, żeby ktoś kunsztowniej od niej kłął.

- Co? - Kasandrę nowina dosłownie zatrzymała w pół kroku. - Ile lat ma twój dziadek?

- Nie wiem. Pewnie z sześćdziesiąt pięć.

- A ile ma według ciebie pani Tachyon?

- Trudno powiedzieć przez te wszystkie zmarszczki... około sześćdziesiątki?

- I nie wydaje ci się to dziwne?

- Co?

- Coś ci się ostatnio pogorszyło! To, że jest młodsza od twojego dziadka!

- Co... aha... może on znał inną panią Tachyon?

- A wydaje ci się to prawdopodobne?

- Nie bardzo... Zaraz, uważasz, że ona ma sto lat?

- Naturalnie, że nie. Musi istnieć jakieś sensowne wytłumaczenie. Jaką twój dziadek

ma pamięć?

- Doskonałą w dziedzinie programów telewizyjnych. I dobrą do twarzy: wielokrotnie twierdzi, że ten aktor grał kilka lat temu, dajmy na to, policjanta w serialu, którego bohaterem był taki kudłaty. Tytułu i nazwiska nie da się z niego wyciągnąć. Próbowałem. A jak coś kupisz, to zawsze ci powie, że jak był młody, można to było kupić za sześciopensówkę i jeszcze dostać resztę.

- Tym się nie ma co przejmować: każdy dziadek tak ma - mruknęła nie wiadomo czemu mściwie Kasandra. - Zaglądałeś do tych worków?

- Nie... ale tam musi być coś dziwnego.

- Co masz na myśli?

- Hm... no, są te słoiki z marynatami...

- Ludzie przeważnie lubią takie rzeczy, nawet starzy.

- Może i lubią, nie o to chodzi. Tylko te marynaty są... no, są równocześnie stare i nowe. I miała rybę z frytkami zawiniętą w gazetę.

- I co z tego?

- Nikt teraz nie zawija ryby z frytkami w gazetę, a wyglądała na świeżą. Przyjrzałem się, bo dałem frytki kotu, i ta gazeta... - Nagle urwał, bo jak miał jej powiedzieć, że zna tę pierwszą stronę: znalazł ją na mikrofilmie w bibliotece, gdzie skopiowano mu ją jako pomoc do projektu.

Ta, którą wczoraj rozwinął, była owszem zatłuszczona i nieco przesiąknięta octem, ale bez dwóch zdań była też nowa... człowiek jakoś odruchowo wie, kiedy ma do czynienia z nową gazetą.

- No dobrze, chodźmy w takim razie je obejrzeć - zdecydowała nieco zaskoczona jego przedłużającym się milczeniem Kasandra. - To nikomu nie zaszkodzi.

Johnny poddał się - Kasandra już taka była: gdy zawodziło wszystko inne, próbowała być za wszelką cenę rozsądną.

Autostradą gnał wielki, czarny samochód poprzedzany przez parę motocyklistów. W ślad za nim jechało dwóch następnych i nieco mniejszy samochód pełen ponurych mężczyzn w garniturach, słuchających niewielkich radioodbiorników i nie ufających nikomu.

Na tylnym siedzeniu pierwszego samochodu siedział Sir John, opierając dłonie na srebrnej gałce laski, a podbródek na dłoniach. Przed jego nosem znajdowały się dwa ekrany, wyświetlając ciągły strumień danych dotyczących jego różnorodnych kompanii rozsypanych po całym świecie. Dane przesyłane były przez satelitę, który także stanowił jego własność. Pod ekranami znajdowały się jeszcze dwa faksy i trzy telefony. : Sir John przestał się w nie wpatrywać i wcisnął przycisk interkomu. Prawdę mówiąc, nie przepadał za Hicksonem (bo nie lubił facecików o byczych karkach), ale na razie był on jedyną osobą, z którą można porozmawiać.

- Wierzysz w możliwość podróży w czasie, Hickson?

- Trudno powiedzieć, Sir - odparł zaskoczony szofer, mimo wszystko nie odwracając głowy.

- To się daje zrobić.

- Skoro pan tak twierdzi, Sir.

- Czas został zmieniony.

- Tak, Sir.

- Naturalnie nic o tym nie wiesz, bo znajdujesz się w czasie, w który zmienił się poprzedni.

- To mam szczęście, Sir.

- Wiesz, że kiedy zmienia się czas, ma się dwie przyszłości biegnące równolegle?

- Musiałem przespać tę lekcję, Sir.

- Zupełnie jak nogawki w spodniach.

- Frapujące, Sir. I godne zastanowienia.

Sir John przyjrzał się karkowi Hicksona - naprawdę był byczy, czerwony i porastały go kępki krótkich włosów. Naturalnie nie najał kierowcy - miał ludzi, którzy mieli ludzi od takich spraw. A jemu jakoś nie przyszło do głowy, żeby najać szofera interesującego się czymkolwiek innym niż to, co się dzieje na drodze.

- Teraz skręć w lewo - polecił niespodziewanie nawet dla samego siebie Sir John.

- Jesteśmy wciąż trzydzieści kilometrów od Blackbury, Sir.

- Rób, co mówię!

Wóz zarzucił, hamując z piskiem opon i skręcając równocześnie, po czym pomknął zjazdem, zostawiając na asfalcie ślady spalonej gumy.

- Skręć w lewo!

- Będziemy jechali pod prąd, Sir!

- Jak nie mają sprawnych hamulców, to nie powinni się pchać na ulicę! Widzisz, mają hamulce. Teraz w prawo!

- To droga dla rowerów! Stracę robotę!

- Hickson, może dotrze do ciebie, że to ja cię zatrudniam, więc tylko ja mogę cię wylać. Ale skoro potrzebujesz motywacji... chcę zgubić cały ten ogon, który zwykle za mną jeździ. Jeśli sami dojedziemy do Blackbury, to osobiście dam ci ćwierć miliona funtów. I to nie jest żart.

Hickson na wszelki wypadek zerknął we wsteczne lusterko, po czym wyszczerzył się radośnie.

- Trzeba było od razu tak mówić, Sir. Proszę się czegoś złapać.

I ruszył przez krzaki, skręcając na ścieżkę rowerową.

Prawie równocześnie rozdzwoniły się wszystkie telefony.

Sir John przyglądał im się przez chwilę, po czym naciśnięciem przycisku otworzył boczną szybę i po kolei wyrzucił wszystkie trzy.

Zaraz potem zrobił to samo z faksami.

A po krótkiej chwili także z obu monitorami.

Słyszając, jak eksplodują gdzieś z tyłu przy zetknięciu z ziemią, poczuł się znacznie lepiej.

Mężczyźni w Czerni

Ciąg dalszy dyskusji o pani Tachyon nastąpił w autobusie jadącym w kierunku domu Johnny'ego.

- Nie ma sensu niepotrzebnie się ekscytować - perorowała Kasandra. - Jeśli od lat zajmuje się zbieraniem śmieci, to istnieje cała masa sensownych wyjaśnień, bez potrzeby uciekania się do czegoś wydumanego czy nieprawdopodobnego.

- A co jest sensownym wyjaśnieniem? - spytał uprzejmie Johnny, wciąż pogrążony w zagadce gazety.

- Może być obcym.

- I to jest sensowne?

- Albo może być Atlantką... czy Atlantydką... no, mieszkanką Atlantydy. Wiesz, to ten kontynent, który zatonął tysiące lat temu. Jego mieszkańcy byli podobno długowieczni.

- A pod wodą umieli oddychać?

- Nie udawaj głupka. Odpłynęli, zanim Atlantyda zatonąła. Potem zbudowali Stonehenge i piramidy i inne podobne. Byli naukowo strasznie rozwinięci.

Johnny przyglądał się jej z otwartymi ustami. Takich rewelacji człowiek spodziewałby się od Bigmaca, a nie od kogoś, kto w wieku czternastu lat dostaje świadectwa z wyróżnieniem.

- Nie... wiedziałem... - wykrztusił.

- Bo rząd takie sprawy wycisza.

- Aha.

Tak, Kasandra z pewnością wiedziała o sprawach, które rząd próbował wyciszyć - właśnie dlatego że rząd i że wyciszał. Zawsze miała skłonności do tajemnic i dziwnych ciekawostek. Gdy ostatniej zimy pojawiły się w centrum miasta wielkie ślady stóp na śniegu, próbowały to wyjaśnić dwie teorie. Kir... znaczy się Kasandry twierdząca, że to Bigfoot, i Johnny'ego, że to połączenie Bigmaca i pary wielkich gumowych stóp z Joke Emporium na Penny Street. Teoria Kir... znaczy się Kasandry miała takie zaplecze naukowe w postaci książek, artykułów i kaset, że Johnny dałby się nawet przekonać, gdyby nie drobiazg: widział mianowicie, jak Bigmac zostawia sporne ślady na rzeczonym śniegu.

Teraz dla odmiany spróbował sobie wyobrazić dwumetrowych Atlantydwów w greckich togach, odpływających od tonącego kontynentu na złotych statkach. Na pokładzie jednego z nich pani Tachyon zaciekle pchała swój wózek. Poczuł, że zaczyna mu brakować wyobraźni...

Na szczęście był to stan przejściowy.

W następnej bowiem chwili ujrzał inny obraz: hordeę Attyli gnającą przez step, a w samym środku linii jeźdźców - pani Tachyon okrakiem na wózku...

Od dalszych wykwitów wyobraźni uratował go (chwilowo przynajmniej) głos Kasandry:

- Jak zobaczysz UFO albo yeti, albo coś takiego, to składają ci wizytę Mężczyźni w Czerni. Jeżdżą wielkimi, czarnymi samochodami i grożą ludziom, którzy widzieli dziwne rzeczy. Twierdzą, że pracują dla rządu, ale tak naprawdę pracują dla tajnego stowarzyszenia, które wszystkim rządzi.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Każdy to wie. To powszechnie znany fakt. Prawdę mówiąc, czekałam na coś takiego od czasu tego tajemniczego deszczu ryb we wrześniu.

- Chodzi ci o to, jak gaz wybuchł pod sklepem z tropikalnymi rybkami?

- Powiedzieli, że to był gaz - poprawiła go ponuro. - Tak naprawdę to nie wiadomo.

- Co?! Pewnie, że to był gaz. Perukę sprzedawcy znaleziono zaplątaną w druty telefoniczne na High Street, a wszyscy mieli gupiki w rynnach, więc co to miało być, jak nie wybuch gazu?

- Te dwie sprawy mogą być przypadkowo połączone - przyznała z dużą niechęcią.

- I wciąż uważasz, że te koła w zbożu w zeszłym roku to nie Bigmac, chociaż przysięgał, że to jego sprawka?

- Może kilka z nich to faktycznie dzieło Bigmaca, ale powiedz mi, mądrało, kto dawno temu zrobił pierwsze?

- Bazza i Skazz. Wyczytali o nich w jakiejś gazecie i zdecydowali, że też powinniśmy mieć parę takich.

- Nie próbujesz mi chyba wmówić, że zrobili wszystkie, co?

Johnny westchnął.

Życie samo w sobie było wystarczająco skomplikowane, ale ludziom to nie wystarczało - musieli je jeszcze bardziej powikłać. Na przykład: miał i tak dość zmartwień, zanim przeczytał gdzieś o spontanicznych samozapłonach. Siedzi sobie ktoś spokojnie w fotelu i zajmuje się własnymi sprawami, a w następnej chwili łup! - i po człowieku zostaje para dymiących butów i kupka popiołu. Przez kilka tygodni na wszelki wypadek trzymał w pokoju wiadro z wodą, ale na szczęście nie był zmuszony go użyć.

Albo takie programy o obcych porywających ludzi i robiących im badania w latających talerzach. Jak człowiekowi coś w mózgu poprzestawiają, tak żeby o nich zapomniał, i do tego znają podróże w czasie i odstawiają przebadanego dokładnie tam, skąd go wzięli, to skąd ktokolwiek będzie wiedział, co mu się przytrafiło. To było całkiem poważne zagrożenie.

A Kasandra uważała, że takie sprawy są interesujące jak nie wiadomo co. Dla Johnny'ego były tylko dodatkowym i całkiem zbędnym zmartwieniem.

- Kasandra...

- Tak?

- Wolałbym, żebyś wróciła do Kirsty.
- Upiorne imię! Dobrze dla jakiegoś garkotłuka.
- ...Nie miałem nic przeciwko Kimberly...
- Też coś! Dopiero potem się zorientowałam, że pasuje do uczennicy fryzjerskiej.
- ...choć Klymenystra to było przegięcie...
- A kiedy to było?
- Ze dwa tygodnie temu.
- Pewnie się wtedy czułam trochę gotycko.

Zanim Johnny zdążył zapytać, na czym to konkretnie polega, autobus zatrzymał się na jego przystanku i oboje wysiedli.

Garaże usytuowane na tyłach domów, wokół okrągłego podjazdu, właściwie nie były zbyt często używane. Przynajmniej do parkowania samochodów. Większość sąsiadów parkowała na ulicy, dzięki czemu mogli do woli oddawać się ulubionemu zajęciu, czyli kłótniom, kto komu znowu zajął miejsce.

- Nawet nie zajrzałeś do żadnego worka? - spytała Kasandra, czekając, aż wygrzebie z kieszeni klucz do garażu.

- Wolałem nie ryzykować. Jakby w nich były, dajmy na to, stare skarpetki albo coś?
- Johnny znalazł klucz i ostrożnie uchylił drzwi.

Wózek stał tam, gdzie go zostawił. I wyglądał dziwnie, choć trudno było dokładnie określić dlaczego. Najprościej rzecz biorąc, pomimo iż tkwił spokojnie pośrodku garażu, sprawiał wrażenie, jakby poruszał się równocześnie bardzo szybko. Coś jak klatka wycięta z filmu.

Kasandra - dawniej Kirsty - rozejrzała się i spytała rzeczowo:

- Trochę tu dużo gratów... Dlaczego ten rower stoi do góry nogami?
- Bo wczoraj przebiłem oponę i nie zdążyłem go jeszcze naprawić.

Kasandra wzięła słoik z piramidki, otarła nieco przybrudzoną nalepkę i przeczytała:

- "Blackbury Preserves Ltd. Nagrodzone Złotym Medalem musztardowe korniszony. Sześć głównych nagród: Grand Prix de Foire Internationale des Conichons, Nancy 1933, Festival of Piekieś, Manchester 1929, Danzing PókelInfest 1928, Supreme Prize, Michigan State Fair 1933, Złoty Medal Madras 1931, Bonza Feed Award, Sydney 1932. Zrobione z najlepszych składników".

Pod spodem był rysunek jakiegoś zwariowanego dzieciaka w podskoku i dopisek:

Wysoko skacze mały John, blackburski korniszon ugryzł go.

Kasandra przeczytała wierszyk i omal jej nie zatkało.

- Co to ma być, na litość boską?!

- Reklama - poinformował ją uprzejmie Johnny. - A tak w ogóle to wytwór starej fabryki marynat, którą zbombardowano podczas wojny. W tym samym nalocie co Paradise Street. Jeśli ci to nic nie mówi, to w Blackbury nie robi się marynat od ponad pięćdziesięciu

lat.

- No nie! Nie chcesz powiedzieć, że nigdzie w całym mieście? Toż to ludzkie pojęcie przechodzi!

- Nie musisz się wysilać. To po prostu dziwne, nic więcej.

Kasandra potrząsnęła słoikiem, po czym wzięła następny, z którego najwyraźniej ktoś zdążył już podjąć.

- Wyglądają na spożywcze - oceniła. - Musiały być dobrze przechowywane.

- I dlatego ciągle są chrupkie i świeże? Próbowałem dziś rano i za nic w świecie nie uwierzę, że to był półwiekowy ogórek. A co powiesz na to? - I rozłożył wyjętą z kieszeni gazetę, w którą oryginalnie zawinięta była ryba z frytkami pani Tachyon. - Na pierwszy rzut oka stara gazeta - dodał wyjaśniająco. - I faktycznie, nie jest wczorajsza, ale nie stara. Piszą tu o drugiej wojnie, ale nie wygląda staro... nie czuje się tego w dotyku ani nie pachnie jak stary papier. Jest...

- Wiem. To reprint starej gazety. Można taką dostać na przykład z dnia, w którym się urodziłeś. Ojciec dał mi taką, żebym...

- Zawinęła w nią rybę z frytkami?

- Muszę przyznać, że to naprawdę dziwne. - Przyjrzała mu się uważnie, jakby go pierwszy raz w życiu widziała. - Całe lata czekałam na coś takiego! A ty nie?

- Na co takiego? Na wózek pani Tachyon?

- Spróbuj się skupić, dobrze?

- Mogę spróbować, ale za wyniki nie ręczę...

- Nigdy cię nie zastanawiało, co by się stało, gdyby w ogródku wylądował latający talerz? Albo gdybyś znalazł jakiś magiczny przedmiot pozwalający podróżować w czasie? Albo jaskinię z magiem śpiącym od tysiąca lat?

- Prawdę mówiąc, raz znalazłem jaskinię z...

- Czytałam wiele książek o takich wydarzeniach i w każdej są tabuny jakichś bezdennie głupich gówniarzy, których interesuje tylko "przygoda". - Słowo to zabrzmiało w jej ustach niczym obelga. - Żaden z nich nie traktował tego jako poważnej okazji życiowej i żaden nigdy nie był do niczego przygotowany. Ja jestem!

Wyobraźnia podsunęła Johnny'emu kolejny obraz: gdyby kosmici porwali Kasandrę, to wkrótce zaczęliby jej słuchać, nie mając innego wyjścia. A po naprawdę niedługim czasie powstałoby galaktyczne imperium pełne zaostrzonych ołówków, w którym każdy mieszkaniec nosiłby kieszonkową latarkę, na wszelki wypadek. To była wersja średnio pesymistyczna.

Wersja bardzo pesymistyczna była taka, że zrobiliby około miliona robotów-kopii Kasandry i rozesłaliby po wszechświecie, aby wszystkim mówiły, że nie należy tak głupio postępować, i wymuszałyby sensowne postępowanie. Albo też kosmici by ją od ręki utrupili - to była wersja optymistyczna. I nierealna.

- A to, co się dzieje, jest oczywiście wysoce dziwne - kontynuowała dziewczyna. - Być może nawet mistyczne. Najprawdopodobniej to jakiś rodzaj maszyny do podróży w czasie.

No i sprawa była jasna: Kasandra znalazła wyjaśnienie. Żadnych niepewności, przypuszczeń czy rozterek.

- Ty tak nie uważasz? - spytała po chwili zaskoczona jego milczeniem.

- Czasowy wózek sklepowy?

- Może nie najszcześniejsze rozwiązanie, ale znasz inne, pasujące do faktów? Nie licząc naturalnie tego, że porwali ją kosmici i przywieźli tu z prędkością światła, co dla jakichś powodów robią nagminnie. Jakby to było coś innego, na pewno byś już to wymyślił.

- Spojrzała na zegarek i dodała sarkastycznie: - No i co? Nie musisz się zabijać z pośpiechu.

- Hmm...

- No?

- No więc... maszyna do podróży w czasie ma błyskające światełka...

- Dlaczego?

- No bo ma.

- A po co?

Johnny postanowił się nie poddawać.

- Do błyskania.

- Doprawdy? A kto tak twierdzi? Kto w ogóle wie, jak ma wyglądać maszyna do podróży w czasie? - spytała tonem wyższości (nawet w porównaniu z normalnie używanym tonem). - A może w dodatku mi powiesz, że jest na prąd?

- Yo-less uważa, że nie mogą istnieć takie maszyny, bo wszyscy ciągle zmienialiby przyszłość.

- No, to jaka istnieje alternatywa? Jakim cudem zjawiała się tu i teraz z tą świeżutką, starą gazetą i spożywczymi, chrupiącymi, nawet pięćdziesięcioletnimi ogórkami?

- No dobrze. Ja tylko nie chcę na gorąco wyciągać poważnych wniosków. - Choć przecież cały czas tak robił i doskonale sobie z tego zdawał sprawę. W sposobie argumentacji Kasandry było coś takiego, co automatycznie skłaniało go do zajęcia przeciwnego stanowiska. - Chodzi mi o to, że... naprawdę myślisz, że wystarczy złapać za rączkę czy za torbę i zaraz nie wiem co... można się przywitać z Normanem Zdobywcą. - I dla potwierdzenia wagi własnych słów piasnął dłonią w czarny worek.

Świat błysnął.

Pod stopami wciąż czuł betonową podłogę, ale wokół niego nie było ścian. To znaczy były, ale nie do końca - miały wysokość jednej cegły. Kładący kolejny rząd cegieł mężczyzna powoli podniósł głowę.

- A niech mnie... jak się tu dostałeś? Hej, ten beton jest ciągle... Fred! Wracaj!

Siedzący dotąd spokojnie obok niego spaniel warknął nagle i podbiegł ku

Johnny'emu, odbił się i skoczył mu na piersi, popychając go na wózek. Znowu coś rozbłysło czerwono-błękitnie i Johnny miał nieodparte wrażenie, że coś go najpierw rozpląszczyło, a potem przywróciło do trójwymiarowości.

Ściany były na swoim miejscu, podobnie jak stojący pośrodku garażu wózek i Kasandra przyglądająca mu się podejrzliwie. Jemu, nie wózkowi, naturalnie.

- Zniknąłeś na chwilę- oświadczyła oskarżycielsko. - Co się stało?

- Nie... nie wiem... skąd mam wiedzieć?

- Zrób krok w moją stronę. Tylko wolno i ostrożnie.

Wykonał polecenie; z lekkim osłupieniem stwierdził, że stoi w niewielkim zagłębieniu, i spojrzał w dół.

- Te odciski w betonie... były tu... zawsze... - bąknął.

Kasandra bez słowa przyklęknęła i dokładnie obejrzała najpierw odciski w betonie ślady, potem podeszwy jego butów. Pomijając brud, pasowały idealnie.

- Widzisz? - oznajmiła z tryumfem, gdy w wyniku jej perswazji zdjął but. - To twoje własne ślady!

Johnny przyjrzał się dowodom z mieszanymi uczuciami. Nie ulegało wątpliwości, że Kasandra ma rację, a równocześnie że ślady podeszew znajdują się w betonowej posadzce naprawdę od dawna.

- A tak w ogóle gdzie byłeś? - spytała, oddając mu but.

- W przeszłości... tak przynajmniej mi się wydaje. Widziałem tego, kto budował ten garaż, i psa.

- Psa! - Ton jej głosu sugerował, że gdyby to ona trafiła w przeszłość, zobaczyłaby coś znacznie ciekawszego. - No cóż, dobre i to na początek. - Lekko pchnęła wózek. Okazało się, że stał w czterech niewielkich zagłębieniach w betonie. Sądząc ze stanu zabrudzenia i zaoliwienia, one też były tu od dawna. - To nie jest zwykły wózek sklepowy! - oznajmiła.

- Nie - zgodził się Johnny, zakładając but. - To wózek sklepowy z Tesco, z jednym piszczącym kółkiem.

- I wciąż jest włączony. - Kasandra była uprzejma go zignorować. - To jest, chciałam powiedzieć: działa.

- A to była podróż w czasie? - w głosie Johnny'ego słychać było rozczarowanie. - Myślałem, że będzie ciekawiej: bitwy, potwory i takie tam. Jeśli jedyne, co możemy zrobić, to... Nie dotykaj tego!!!

Kasandra właśnie pomacała worek.

Świat rozbłysnął.

Kasandra rozejrzała się.

Garaż wyglądał tak samo. No, prawie tak samo.

- Kto ci naprawił rower?

Johnny odwrócił się - rower stał oparty o ścianę i był nie tylko złożony, ale w dodatku

kompletny.

- Jakbyś miał zamiar się dziwić, to mam wysoce rozwinięty zmysł obserwacyjny. Musimy być w przyszłości, skoro już go złożyłeś.

Johnny nie był tego taki pewien: dotąd rozwalił dwie dętki i zgubił część zaworu, próbując wymienić przebite koło. Żywił poważne wątpliwości, czy jakakolwiek maszyna do podróży w czasie jest w stanie znaleźć się w tak odległej przyszłości jak ta, w której posiada sztukę naprawiania roweru.

- Rozejrzemy się - zdecydowała Kasandra. - Jeszcze nie wiem, od czego to zależy, gdzie się znajdujemy, ale skoro jesteśmy w przyszłości, trzeba się zorientować, które konie wygraą które gonitwy, i w kilku innych równie istotnych sprawach.

- Dlaczego?

- Żeby po powrocie móc na nie postawić i wygrać, ma się rozumieć.

- Nie wiem, jak się stawia.

- Spokojnie: problemy należy rozwiązywać pojedynczo i po kolei.

Johnny wyrzał przez brudne okno - pogoda była taka jak zwykle, a w powietrzu nie unosiły się żadne latające samochody czy inne przejawy przyszłości. Ale z drugiej strony pod stołem nie było Guilty'ego.

- Dziadek abonuje gazetę o wyścigach - przypomniał sobie.

- No, to chodźmy sprawdzić.

- Gdzie? Do mojego domu?!

- Przecież tam mieszka twój dziadek, prawda?

- A jak spotkamy mnie?

- Zawsze łatwo nawiązywałeś znajomości. Niechętnie poprowadził ją wpierw w stronę drzwi, a potem ku domowi. Ścieżki ogrodowe wysypane były jakąś pokruszoną szarą substancją, zadziwiająco podobną do pokruszonego betonu. Tylne drzwi zaś miały ekscytująco futurystyczną barwę wypłowiałego błękitu poznaczonych abstrakcyjnym wzorkiem po złuszczonej farbie. Były zamknięte, ale jego starożytny klucz ciągle do nich pasował.

Zaraz za drzwiami na podłodze leżał prostokąt pełen stojących na sztorc brązowych włosków, toteż odruchowo wytarł weń nogi i spojrzał na wiszące na ścianie urządzenie do pomiaru czasu. Wskazywało dziesięć po trzeciej.

Przyszłość w dziwnie zaskakujący sposób przypominała teraźniejszość.

- Jeśli znajdziemy gazetę, będziemy wiedzieli, który dziś jest - odezwała się Kasandra.

- Na pewno nie. Dziadek trzyma je, aż znajdzie czas, by je przeczytać, co trwa ze dwa miesiące. A tak w ogóle wszystko wygląda normalnie. Coś mi ta przyszłość nie bardzo jest przyszłościowa.

- Masz tu gdzieś kalendarz?

- W pokoju na górze. Tylko mam nadzieję, że jestem w szkole...

Kalendarz w elektrycznym zegarze twierdził, że jest trzeci października.

- To przedwczoraj, jeśli wierzyć zegarowi - podsumował Johnny. - Nie zawsze chodzi jak trzeba.

- Ty tu śpisz? - Kasandra miała wyraz twarzy niczym wegetarianin w fabryce parówek.

- Nie tylko śpię: to mój pokój.

- A ta sterta zdjęć i kserówek? - spytała, koncentrując uwagę naturalnie na biurku, najbardziej zaśmieconym elemencie pomieszczenia.

- To są pomoce do projektu z historii. Mówiłem ci o tym: zajmujemy się drugą wojną, no to ja zajmuję się Blackbury.

Spróbował wejść między nią a biurko, ale była to próba z góry skazana na fiasko. Kasandra była zbyt dobra w dostrzeganiu rzeczy, których miała nie widzieć.

- Hej, przecież to ty? - zdziwiła się, łapiąc sepiową fotografię. - Kiedy nosiłeś mundur i miałeś taką głupią fryzurę?

- To nie ja tylko dziadek, jak był trochę starszy ode mnie - warknął, bezskutecznie próbując odebrać zdjęcie, tak aby nie zniszczyć go przy okazji. - Próbowałem go wyciągnąć na wspominki wojenne, ale kazał mi się zamknąć. Jak na dziadka, wyjątkowo nieuprzejmie.

- Jesteś tak tutejszy, że aż trudno sobie wyobrazić. Przecież tu nic się nie dzieje...

- Raz się działo. - Johnny wyjął z kieszeni gazetę pani Tachyon i wskazał palcem. - 21 maja 1941 roku siedem minut po jedenastej w nocy Blackbury zostało zbombardowane. Nazwano to Blackbury Blitz. A to jest gazeta z następnego dnia. Zobacz! - Przetrzęsnał papiery na biurku i pokazał jej kserokopię. - Widzisz? Ta sama strona odbita w miejskiej bibliotece. Ale ta jest prawdziwa i w dodatku nowa!

- Jeśli ona jest... z przeszłości... to dlaczego ubiera się tak dziwnie? Dlaczego nosi tenisówki?

Johnny spojrzał na nią zaskoczony i zły: nie miała prawa obojętnie traktować Paradise Street!

- Dziewiętnaście osób zginęło w jedną noc! - powiedział z naciskiem. - Nie było żadnego ostrzeżenia! Były to jedyne bomby, jakie spadły na Blackbury przez całą wojnę. Cała ulica zniknęła, przeżyły tylko dwie złote rybki w akwarium, które podmuch wyrzucił na drzewo. Z wodą i z rybkami! Wszyscy na tej ulicy zostali zabici!

Kasandra odruchowo wzięła jeden z leżących na biurku cienkopisów, ale nie mogła niczego napisać - był wyschnięty. Johnny był średnio szczęśliwym właścicielem imponującej kolekcji zużytych cienkopisów i nie piszących piór kulkowych. A ona miała doprowadzający do szału zwyczaj niezwracania na niego uwagi, gdy był czymś podekscytowany.

- Wiesz, że ciągle masz tapetę w Thomasa the Tank Engine?

- Co? A mam. I co z tego?

- Jak się ma siedem lat, to normalne, że ma się animowaną lokomotywę na tapecie. Jak się ma dziewiętnaście lat i znowu się ją ma, to zupełnie inna sprawa. Ale jak ma się trzynaście i ciągle się ma taką tapetę, to jest po prostu żalosne. Jakbym ci tak od czasu do czasu nie pomagała, to z niczego byś sobie sprawy nie zdawał.

- Dziadek położył ją kilka lat temu. Gdy bywałem u nich w czasie wakacji, to był mój pokój, a filmy dla dzieci nie są ulubioną pozycją telewizyjną dziadka. Musiał akurat oglądać parę odcinków z tym gadającym parowozem.

Niespodziewanie trzasnęły frontowe drzwi.

- Dziadek? - syknęła Kasandra.

- Dziadek robi zakupy zawsze w czwartek - odszepnął Johnny. - A mama o tej porze jest w pracy.

- Kto jeszcze ma klucz?

- Ja.

Ktoś zaczął wchodzić po schodach.

- Przecież nie mogę spotkać siebie! - zdenerwował się Johnny. - Pamiętałbym coś takiego! Yo-less twierdzi, że jakby się spotkało samego siebie, to świat by się skończył alboby nastąpiło coś równie niemiłego. To byśmy oboje pamiętali!

Kasandra złapała nocną lampkę i przyjrzała jej się rzeczowo.

- No nie: misie! Kiedy ty wreszcie wydorosłejesz? Żeby mieć nocną lampkę w misie...

- Zamknij się zamknij się zamknij się wreszcie! Co chcesz zrobić?

- Nic nie czujesz. Nauczyłam się tego na zajęciach samoobrony.

Klamka drgnęła i zaczęła się przekręcać... Na dole zadzwonił telefon.

Klamka wróciła do poprzedniej pozycji, a kroki na schodach były coraz cichsze.

Po chwili dał się słyszeć oddalony głos:

- A, cześć, Wobbler.

Kasandra spojrzała na niego i uniosła pytająco brwi.

- Wobbler zadzwonił, żeby się umówić na jutro do kina. Właśnie sobie przypomniałem.

- Długo rozmawialiście?

- Chyba nie... ale potem poszedłem zrobić sobie kanapkę.

- Do kuchni? - upewniła się.

- A gdzie?

- Wolę wiedzieć: z tobą nigdy nic nie wiadomo - burknęła, uchylając ostrożnie drzwi.
- Idziemy, droga wolna.

Oboje na paluszkach zeszli na dół.

Bez problemu dotarli do drzwi, gdy Johnny dostrzegł na wieszaku swoją kurtkę. Tę, którą miał właśnie na sobie. Stał, wytrzeszczając oczy.

- Rusz się! - syknęła rozpaczliwie Kasandra. Drzwi do kuchni zaczęły się otwierać...

Johnny już miał jej powiedzieć, że przypomniał sobie właśnie, iż przedwczoraj, gdy zrobił kanapkę, poszedł sprawdzić, ile mu zostało pieniędzy, ale nie wydobył z siebie głosu. Desperacko nie chciał się z sobą spotkać. Jeśli świat by się przez to skończył, to później wszyscy by mieli do niego straszne pretensje...

I nagle świat rozbłysł mu przed oczyma.

Z bocznej drogi, tuż przed tablicą z napisem BLACKBURY (ozdobioną szlaczkiem), wytoczył się dostojnie czarny samochód.

- Prawie jesteśmy, Sir.

- Doskonale. Jaki czas mamy?

- Ee... kwadrans po jedenastej, Sir.

- Nie o to mi chodziło! Jeśli czas to para spodni, to w której nogawce jesteśmy?

Hicksonowi przyszło do głowy, że całkiem trudno zarobić ćwierć miliona.

- Coś mi się wydaje, że dziś nie tylko nogi w nogawkach się poplączą - dobiegło go z tylnego siedzenia.

- Tak, Sir. Jak tylko zobaczymy jakieś spodnie, to proszę mi powiedzieć, w którą nogawkę mam wjechać.

Prawdę wymiotło

Johnny i Kasandra wciąż stali przy drzwiach wyjściowych. Drzwi do kuchni były zamknięte, a na wieszaku nie było kurtki. Za to na stoliku leżał "The Blackbury Shopper", dostarczany w piątek. Gazeta z zasady leżała na stoliku, dopóki ktoś się nie zlitował i nie wyrzucił jej do kosza.

- Znowu przenieśliśmy się w czasie - oceniła spokojnie Kasandra. - Sądzę, że do czasu, z którego zaczęliśmy. Być może...

- Widziałem tył swojej głowy! - szepnął Johnny. - I to bez lustra! Od czasów Inkwizycji nikomu się to nie udało! Jak ty możesz być taka spokojna?!

- A jaka mam być? Od zdenerwowania nic się nie poprawia, tylko wszystko się sypie. Tak na marginesie: tutaj tapeta jest jeszcze gorsza, jakby żywcem przeniesiona z hinduskiej restauracji. - Po tym miażdżącym komentarzu otworzyła drzwi i natychmiast je zamknęła. - Mówiłam ci, że jak ktoś się za bardzo zaczyna interesować różnymi tajemnicami, to pojawiają się zaraz Mężczyźni w Czerni? Mówiłam!

- Mówiłaś. I co?

- Wyjrzyj przez otwór na listy. Johnny westchnął, przykucnął i wyjrzał.

Do krawężnika podjeżdżał wielki, czarny samochód.

Całkowicie czarny: opony, karoseria, szyby, wszystko było czarniejsze niż mafijne okulary. Chromowane ozdoby tu i ówdzie jedynie pogłębiały czerń całości. Pojazd zatrzymał się prawie bezszelestnie.

- Tto przypadek - wykrztusił.

- Jasne. Często tacy goście zjawiają się u twojego dziadka?

Johnny nie reagował na prowokację - dziadek nie miewał gości, nie licząc sąsiada, który co wtorek zjawiał się po dwa kupony zakładów. Dziadek nie lubił życia towarzyskiego i Kasandra dobrze o tym wiedziała.

Drzwi samochodu trzasnęły cicho - na chodniku stanął szofer w czarnym uniformie. Johnny odskoczył, słysząc cichy, głęboki dźwięk. Taki dźwięk wydawały jedynie drzwiczki solidnych i niesamowicie kosztownych samochodów.

Kilka sekund później ktoś zaczął się dobijać do drzwi.

- W nogi! - poleciła szeptem Kasandra.

- Gdzie?

- Tylne drzwi!

- Przecież nic złego nie zrobiliśmy! - A skąd wiesz?

W milczeniu dotarli do kuchennego wyjścia. Dziewczyna uchyliła drzwi i pognęła ku garażowi, praktycznie ciągnąc za sobą Johnny'ego. Jej napad aktywności bynajmniej się nie skończył, gdy wpadli do garażu, w którym grzecznie czekał wózek.

- Bądź gotów otworzyć drzwi wjazdowe i nie zatrzymuj się żeby nie wiem co.
- Dlaczego?
- Otwieraj drzwi!

Johnny wykonał polecenie, wiedząc z doświadczenia, że gdy Kirsty jest w takim nastroju, wszystko jest lepsze od dyskusji.

Podjazd był pusty, jeśli nie liczyć kogoś pucującego samochód.

W następnej chwili ledwie zdążył uskoczyć, słysząc za plecami pisk i łoskot - tuż za nim znalazł się wózek, pchany z determinacją przez Kasandrę. Rzuciło nim na wyjeździe, ale się nie wywrócił, i wszyscy znaleźli się w alejce prowadzącej do następnej ulicy.

- Nie oglądałeś tego programu o kraksie latającego talerza i o tym, jak ci faceci w czerni zjawili się, żeby wszystko zatuszować?

- Nie!
- A widzisz!
- Widzę, że nie rozumiem: jak zatuszowali, to jakim cudem w telewizji był o tym program?

Zza narożnika powoli zaczął się wysuwać samochód.

- Nie będę traciła czasu, odpowiadając na głupie pytania! Pomóż mi!

Pchnęła wózek z całych sił. Wózkiem zakolebało, bo piszczące kółko musiało naturalnie trafiać na każdą nierówność chodnika, ale pojechał, gdyż droga lekko opadała.

Samochód powoli wyjechał zza narożnika, jakby kierowca nie znał zbyt dobrze okolicy.

Johnny złapał za rączkę wózka, który toczył się po chodniku zwariowanym slalomem, ale nabierał coraz większej prędkości.

- Spróbuj go wyhamować! - A co robię?!

Johnny zerknął do tyłu: czarna limuzyna jechała za nimi.

Nie zastanawiając się, wskoczył na wózek.

- Co ty wyprawiasz?! - Kirsty była zbyt przerażona, by pamiętać, że ostatnio nazywa się Kasandra.

- Wsiadaj! - złapał ją za rękę i wciągnął na górę z drugiej strony.

Wózek zwiększył prędkość.

- Naprawdę uważasz, że to wehikuł czasu? - spytał na wszelki wypadek.

- Musi być! Albo oboje mamy halucynacje.

- Widziałas ten film, w którym samochód zaczął podróżować w czasie po osiągnięciu stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę?

Oboje spojrzeli w dół. Piszczwały i wyły wszystkie kółka i coś się w dole dymiło. Jak na komendę spojrzeli za siebie - czarny samochód wyraźnie ich doganiał. A przed nimi, w dole, było skrzyżowanie ze światłami, właściwie z obwodnicą, po której sunął nie kończący się sznur ciężarówek.

- Mamy czerwone światło! - jęknęła Kirsty. - Nie chcę umierać: jeszcze nie byłam nawet na uniwersytecie!

Sto metrów przed nimi szesnastokołowe tiry gnały obwodnicą, przewożąc miliony angielskich żyletek do Włoch i miliony włoskich żyletek do Anglii.

Nie było cienia wątpliwości, że wózek zderzy się z którąś z ciężarówek.

Powietrze zamigotało.

Nie było już przed nimi żadnych ciężarówek. To znaczy były, ale z boku, i hamowały, gdyż to oni mieli zielone światło.

Wózek, piszcząc i wyjąc kółkami, przeleciał przez skrzyżowanie. Johnny uniósł głowę i przed oczyma przemknęły mu zaskoczone twarze kierowców. A potem spojrzał w tył.

Czarny samochód zniknął.

Była to przecież jedyna droga prowadząca ze wzgórza. Gdziekolwiek więc by pojechał, nie dotarł tam żadnym normalnym sposobem.

- Gdzie ten wóz? - zdziwiła się Kirsty. - I co się stało ze światłami? Znowu przenieśliśmy się w czasie?!

- Masz kurtkę! A miałaś na sobie płaszcz! Coś się zmieniło!

Przyjrzała się sobie i z powrotem jemu. Przy drodze znajdowało się Centrum Handlowe imienia Neila Armstronga.

- Powinniśmy bez problemu wjechać na parking! - krzyknął Johnny.

Czarny bentley z niespodziewanym szarpnięciem stanął przy krawężniku.

- Zniknęli! - wykrztusił kurczowo wczepiony w kierownicę Hickson. - To nie... to nie była czasem ta podróż w czasie? No, bo oni po prostu zniknęli!

- Sądzę, że przeszli z jednego teraz do innego teraz - odparł łagodnie Sir John.

- Z jednej nogawki... w drugą, tak? - spytał słabym głosem szofer.

- Można tak powiedzieć... Z jednego 1996 roku w inny 1996 rok.

Hickson puścił kierownicę i odwrócił się.

- Mówi pan poważnie, Sir? Widziałem takiego jednego naukowca w telewizji i... wie pan: tego przemądrzałego na wózku inwalidzkim... mówił o innych wszechświatach, równych, zdaje się, i...

- Równoległych - poprawił go Sir John. - Taki naukowiec wie, jak właściwie nazwać różne dziwne zjawiska, a normalnym ludziom, takim jak ty czy ja, łatwiej jest myśleć o spodniach.

- To co teraz zrobimy, Sir?

- Chyba najprościej będzie poczekać, aż wrócą do naszego teraz.

- A... a ile to potrwa?

- Podejrzewam, że dwie sekundy...

Tymczasem w barze hamburgerowym właśnie spalono dowcip.

- Ja chcę... eee... hamburgera z cebulą w plasterkach i frytkami - zamówił Bigmac.

- Ja poproszę z dodatkową surówką i frytkami - dodał Yo-less.

Wobbler przyjrzał się uważnie dziewczynie w kartonowej czapeczce.

- A ja chcę ze wszystkim - wypalił. - Bo chcę zostać muzułmaninem!

Bigmac i Yo-less spojrzeli po sobie z politowaniem.

- Buddystą - powiedział po chwili zrezygnowany Yo-less. - Chcę ze wszystkim, bo zostaję buddystą! To buddyści chcą być jednym ze wszystkim. Spaliłeś dowcip, Wobbler! Powtarzałeś sobie całą drogę dobrze, a i tak udało ci się go spalić.

- Buddyści nie zamawialiby hamburgera - odezwała się dziewczyna. - Oni zawsze biorą jumbo bean burgera albo frytki i surówkę.

Wszyscy trzej gapili się na nią w niemym podziwie.

- To się nazywa wegetarianizm - dobiła ich. - Mogę mieć tekturowy kapelusz, ale nie mam trocin zamiast mózgu, jak niektórzy. Chcesz ze wszystkim, to z frytkami też?

- Eee... tak- wykrztusił Wobbler, do którego adresowane było pytanie.

- Dobra. Miłego dnia.

Po otrzymaniu zamówionych dań wyszli na szeroki wewnętrzny deptak centrum handlowego.

- Robimy to co sobotę - odezwał się nieco niewyraźnie Bigmac.

- Robimy - przyznał Wobbler.

- I niezależnie od dowcipu regularnie go palisz.

- Cóż... tak wychodzi. Ale przynajmniej przez chwilę mamy co robić.

To prawda, że poza tym w centrum nie było nic ciekawego do roboty. Czasami zdarzały się ciekawe pokazy albo promocje, albo inne atrakcje. Przed ostatnią gwiazdką na przykład była wystawa lalek z wielu krajów z reniferami. Lalki nawet poruszały się w takt muzyki, choć w gwałtownie urywany sposób. Zabawa przez chwilę była dobra, gdy Bigmac znalazł sterownik tego wszystkiego i przyspieszył ruch czterokrotnie: norweskiej lalce odpadła głowa i przez okno sklepu z ciastkami (drugie piętro) wyleciała na ulicę. Tandeta!

Tego dnia przy dużej dozie dobrej woli za atrakcję można było uznać jedynie sprzedawców plastikowych okien i nieszczęśnika reklamującego przechodniom pewien rodzaj sztucznego puree ziemniaczanego.

Chłopcy siedli przy ozdobnej sadzawce, dogryzając hamburgera i obserwując, ilu strażników kręci się po okolicy. Miejsce przebywania Bigmaca zawsze dawało się określić na podstawie obserwacji ruchu strażników. Kilku mianowicie oberwało fragmentami norweskiej głowy, gdy ta rozleciała się na chodniku, i od tej pory żywili do niego nierozsądną urazę. Nieuzasadnioną, bo przecież to nie Bigmac przymocował rzeczoną głowę do reszty korpusu byle jak. Zresztą z tego, co było oficjalnie wiadomo, Bigmac nigdy nie był winny niczemu innemu jak błędne podejście do własności cudzych samochodów. Natomiast miał zadziwiający talent do sprawiania wrażenia, jakby właśnie obmyślał jakieś wyjątkowo głupie przestępstwo - najczęściej popełniane za pomocą farby w sprayu. Wrażenie to

wzmacniała maskująca kurtka, która w dżungli może by go chronić, za to w otoczeniu takim jak supermarket czy sklep z kartkami działała dokładnie odwrotnie.

- Johnny może jest trochę stuknięty, ale jak jest w pobliżu, zawsze coś się dzieje - zauważył Wobbler.

- Owszem - zgodził się Yo-less. - Ale on teraz za dużo przestaje z tą całą Kimberly czy Kirsty, czy jak jej tam dzisiaj jest. Jak ją widzę, to mi ciarki przechodzą: zawsze się na mnie tak gapi, jakbym niewłaściwie odpowiedział na jakieś pytanie.

- Jej brat mi mówił - dodał wyraźniej, bo przełknął, Bigmac - że wszyscy się spodziewają, że ona w przyszłym roku pójdzie na uniwersytet.

- Żeby być dziwnym, nie trzeba być głupim. - Yo-less wzruszył ramionami. - Jak się ma czym myśleć, to przeważnie jest się jeszcze dziwniejszym. Ktoś inteligentny zawsze będzie sobie szukał jakiegoś zajęcia. I stąd biorą się problemy.

- Johnny jest dziwny - stwierdził Bigmac. - Zadziwiające, co mu się robi w głowie... może on jest trochę tego... szurnięty.

- Zadziwiające jest to, co się dzieje wokół jego głowy. - Wobbler też przełknął. - On jest...

Gdzieś niedaleko coś łomotnęło i rozległy się krzyki przerażenia.

Zaraz potem kupujący rozprysnęli się na boki, a z korytarza wypadł dziko piszczący wózek sklepowy. Z przodu zwisało zaplamione sztucznymi ziemniakami plastikowe okno, a obu stron wózka kurczowo trzymali się Johnny i Kirsty. Johnny pomachał im, przelatując obok.

- To wózek pani Tachyon, nie? - spytał niepewnie Yo-less.

- A kogo to obchodzi? - Bigmac odłożył nie dojedzonego hamburgera na obmurowanie sadzawki i pognął za wózkiem.

Wobbler zaopiekował się jego hamburgerem i pognął za nim.

Yo-less niczego nie odkładał ani niczym się nie opiekował, ale też pobiegł.

- Ktoś nas goni! - oznajmił, dysząc, Johnny, gdy wspólnym wysiłkiem zatrzymano wyścigowy wózek.

- Się nie dziwie - skomentował Bigmac. - Kto?

- Jacyś tacy w dużym, czarnym samochodzie. Tyle że... zniknęli...

- Aha - mruknął Yo-less. - Niewidzialny, duży, czarny samochód.

- Ja tam je zawsze widzę - sprzeciwił się Bigmac.

- Będziecie tu stać cały dzień? - zirytowała się Kirsty. - Pewnie ma jakąś specjalną tarczę siłową albo coś. Idziemy!

Wózek nie był specjalnie ciężki, choć swoje ważył, ale wymagał uważnego sterowania. Pomimo, a może właśnie dlatego że wszyscy próbowali pomóc, poruszał się ruchem węża epileptyka.

- Jak wyjedziemy tymi drzwiami, to będziemy na High Street. - Johnny wskazał

wyjście na końcu korytarza, którym się poruszali. - Tam jest deptak, a wjazdy przegrodzono betonowymi donicami i innymi przeszkodami.

- Ech, żebym tak miał ze sobą działko laserowe - westchnął rozmarzony Bigmac.

- Przecież nie masz działka laserowego - zauważył przytomnie Yo-less.

- Właśnie dlatego chciałem mieć.

- Au! - Wobbler nagle odskoczył od wózka. - Ugryzł mnie!

- Worek na śmieci?! - Kirsty przez chwilę nie mogła wyjść z podziwu.

Spod worków wysunął się łeb zadowolonego z siebie kota, który syknął na Johnnny'ego.

Wskutek całego zamieszania wózek stanął.

Zaczęli się ku niemu zbliżać strażnicy.

Pięcioro nastolatków dyskutujących przy wózku sklepowym może by uszło ich uwagi. Ale był wśród nich Bigmac i - jak zauważyłby Yo-less - jeden z pięciorga był czarny. Wszystko to razem zdecydowanie zwracało uwagę.

- Ten wózek może być maszyną do podróży w czasie- wyjaśnił Johnnny. - A ten samochód... Kirsty uważa, że ktoś ją śledzi. To znaczy go... to znaczy nas.

- A jak się go uruchamia? - zainteresował się Bigmac.

- Wehikuł czasu... - mruknął Yo-less. - Wehikuł to bez dwóch zdań jest...

- A gdzie się podział ten niewidzialny samochód? - zainteresował się Wobbler.

- Przez te drzwi nie przejedziemy - oznajmiła rzeczowo Kirsty. - Stoją przy nich dwaj strażnicy.

Johnnny w nagłym natchnieniu przyjrzał się czarnym workom, po czym złapał najbliższy i rozwiązał.

Przez chwilę czuł na dłoni chłód pełnego szeptów powietrza...

Centrum handlowe zniknęło.

Zniknęło wokół nich, zniknęło przed nimi.

I zniknęło spod nich.

Wylądowali w trawie jakiś metr niżej, niż stali, a na nich wylądował wózek, wysypując worki i kota. Guilty skorzystał z okazji, by dobrać się do ucha Bigmaca.

Zapadła cisza, nie licząc naturalnie klnącego Bigmaca.

Johnnny otworzył oczy.

Leżeli na łagodnym stoku wzgórza zwieńczonego niskimi krzewami.

- Jakbym zapytał, co się stało - głos Yo-lesa dobiegał gdzieś spod Bigmaca - to co byście powiedzieli?

- Że sądzę, że mogliśmy przenieść się w czasie - odparł ostrożnie Johnnny.

- Czujesz się, jakby cię prąd kopnął? - spytał Wobbler, trzymając się za szczękę. - Albo jakby cię zęby bolały?

- A można wiedzieć, w którą stronę? - indagował Yo-less, wciąż nie podejmując

próby wydostania się spod Bigmaca. - Mówimy o dinozaurach czy o zbuntowanych robotach? Wolałbym wiedzieć, zanim otworzę oczy.

Kirsty jęknęła.

- A nie chciałam, żeby to się tak skończyło - oznajmiła, siadając. - Powinnam wiedzieć, że to się może skończyć tylko taką odmianą przygody. Sama z czterema przemądrzałymi chłopakami. Całe szczęście, że nie mamy ze sobą psa. Czy ktoś ma choć blade pojęcie, gdzie jesteśmy?

- Aha, trawa - ucieszył się Yo-less. - To znaczy, że nie ma dinozaurów. Podobno trawa pojawiła się po nich. Tak przynajmniej pokazywali na filmie.

Johnny wstał, podszedł do skraju niewielkiego zagłębienia, w którym się znaleźli, i ostrożnie (bo dziwnie bolała go głowa) się rozejrzał.

- Nie może być! - Głos Kirsty ociekał wręcz zjadliwością. - Dzięki twojej spostrzegawczości wiemy, że jesteśmy gdzieś w ostatnich sześćdziesięciu milionach lat.

- Uczciwi podróżnicy w czasie mają właściwe zegary elektroniczne - utyskiwał Wobbler. - Nie było trawy, powiadasz? To co one jadły, te dinozaury?

- Elektroniczne zegary mają tylko amerykańscy podróżni w czasie - oświadczył Bigmac, robiąc miejsce Yo-lessowi. - Widziałem film o jednym takim, co u nas wynalazł wehikuł czasu za królowej Wiktorii, i tam były tylko światełka. A one jadły inne dinozaury, nie?

- Nie mów o nich dinozaury, bo to jest gatunkowizm - poinstruował go Yo-less. - Co się tak na mnie gapisz? Jak ktoś mógł wymyślić taką bzdurę jak seksizm, to ja mogę gatunkowizm.

- To jak mam o nich mówić? - spytał słabo Big-mac.

- Możesz o nich mówić: osobniki przedbenzynowe. Kirsty słuchała tej wymiany poglądów z otwartymi ustami.

- Wy tak zawsze? - spytała, dochodząc do siebie. - Na pewno zawsze. Zauważyłam już wcześniej, że zamiast zajmować się faktami, zaczynacie opowiadać brednie. Gdzie jesteśmy? I kiedy?

- W Blackbury - poinformował ją Johnny, siadając obok. - Jest wpół do czwartej dwudziestego pierwszego maja.

- Doprawdy? A skąd jesteś taki pewien? - spytała podejrzenie spokojnie.

- Bo zapytałem gościa, który tu przechodził z psem.

- A powiedział ci, którego roku jest ten dwudziesty pierwszy maja?

- Nie musiał - odparł, patrząc jej w oczy. - Wiem, który to rok.

Bez dalszej dyskusji wygramolili się z zagłębienia i rozejrzeli.

Porośnięte niewysokimi krzaczkami zbocze rozciągało się dość daleko. U jego podnóża znajdowały się ogródki działkowe, dalej rzeka, a za nią Blackbury.

Bez dwóch zdań było to Blackbury. Widać było znajomy komin fabryki kaloszy, ale

oprócz niego kilka wysokich, całkowicie nieznanych kominów. Mężczyzna z psem stał w pewnej odległości i obserwował ich. Żaden nie wyglądał jurajsko, choć pies wydawał się nieco podejrzany.

- Co...? - wykrztusił Wobbler. - Zaraz, co się dzieje? Co wyście zrobili?

- Przecież Johnny ci powiedział: przenieśliśmy się w czasie. - Kirsty popatrzyła na niego niecierpliwie. - Głuchota nie jest uboczną reakcją na podróżę w czasie.

- Myślałem, że tylko tak się wygłupicie. - Wobbler, przerażony, spojrzał na Johnny'ego. - Bo to są jakieś wygłupy, prawda?

- Są - przyznał Johnny. Wobbler wyraźnie się uspokoił.

- To są wygłupy z podróżami w czasie - dodał Johnny. Wobbler wyglądał na podwójnie przestraszonego.

- To faktycznie wygląda jak Blackbury - stwierdziła Kirsty. - Tylko mniejsze. My jesteśmy w miejscu, w którym ma być centrum handlowe.

- A jak wrócimy? - zainteresował się Yo-less.

- To się po prostu wydarza... tak myślę - odparł niezbyt pewnie Johnny.

- To są halucynacje. - Wobbler tak łatwo się nie pozbywał nadziei. - Pewnie przez ten smród z worków. Za chwilę się obudzimy, będą nas głowy bolały i wszystko będzie w porządku.

- To się po prostu wydarza? - powtórzył Yo-less tonem wyraźnie wskazującym, że coś bardzo paskudnego chodzi mu po głowie. - To jak wróciliście?

- Coś błysnęło i byliśmy z powrotem - poinformowała go Kirsty.

- I byliście tam, gdzie zaczęliście?

- Oczywiście, że nie. Wraca się w to samo miejsce, tylko jeśli się nie ruszasz. W przeciwnym razie wracasz do tego samego czasu, ale w miejsce, w którym jesteś, tylko że ono jest takie, jakie będzie wtedy.

Przez dłuższą chwilę przegryzali się nie tyle przez informację, ile przez sposób jej podania.

- Chodzi ci o to, że jak przejdiesz, weźmy, dwa metry, to wrócisz w miejsce leżące o te dwa metry od tego, z którego cię przeniosło? - spytał w końcu Bigmac.

- Tak.

- Nawet jeśli tymczasem coś tam wybudowano? - spytał Yo-less.

- Tak... nie... nie wiem.

- A co się stanie - Yo-less mówił bardzo wolno - jeśli wokół będzie dużo betonu?

Wszyscy spojrzeli na Kirsty. Kirsty spojrzała na Johnny'ego.

- Nie wiem - przyznał. - Prawdopodobnie się... jakoś połączycie.

Bigmac z trudem przełknął ślinę.

A Wobbler zaczął jęczeć. Czasami, zwłaszcza kiedy chodzi o coś strasznego, szare komórki Wobblera pracują z zadziwiającą szybkością.

- Nie chcę skończyć jako płaskorzeźba! Albo jako ręce wystające z betonowej ściany!!

- Wątpię, żeby to się miało tak skończyć. - Yo-less wciąż miał coś paskudnego na myśli.

Wobbler tego nie słyszał, więc z powrotem się uspokoił.

Choć nie do końca.

- To co się stanie? - spytał.

- Wydaje mi się, że wszystkie atomy twojego ciała i wszystkie atomy ściany będą próbowały znaleźć się w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Doprowadzi to do gwałtownego zderzenia ich wszystkich ze sobą i...

- I co? - spytała Kirsty.

- ...i... eee... bang i papa - dokończył Yo-less. - Z fizyką nuklearną nie da się dyskutować, przykro mi.

- Czyli moje ręce nie będą wystawały ze ściany? - Szare komórki Wobblera wróciły do zwykłego tempa.

- Nie - odparł Yo-less.

- Na pewno nie z bliskiej ściany - odparł Bigmac z uśmiechem.

- Przestań go straszyć. - Yo-less ciągle był poważny. - To się może przytrafić każdemu z nas. Lądując, opadliśmy, nie? To teraz odpowiedzcie sobie na pytanie, czy jak wrócilibyśmy teraz, to znajdziemy się do połowy w betonowej podłodze, wywołując wybuch atomowy, czy nie?

- Czy eksplozję, to nie wiem, zamieszanie na pewno - ocenił Johnny. - Jak się upuści puszkę po coli, to jaki raban się podnosi, a pięć osób i wózek...

- Gdzie pognał Wobbler? - przerwała mu Kirsty. Wobbler był już malejącą sylwetką, zmierzającą w kierunku ogródków działkowych i coś krzyczącą.

- Co on mówi? - spytała Kirsty.

- On mówi: "Lecę do domu!" - wyjaśnił Johnny.

- Aha... tylko jeśli tu, gdzie jesteśmy, ma być centrum handlowe, a tam, gdzie on jest, ma być Curry's, to jego domu może też w ogóle nie być tam, gdzie był... to znaczy jest... - zauważył Bigmac.

- A skąd będziemy wiedzieli, że mamy wrócić? - spytał Yo-less.

- Przez sekundę świat mruga - wyjaśnił mu Johnny. - A potem... zap. Ekhm... a co będzie, jak on wróci w miejsce, w którym jest, dajmy na to, lodówka? To równie złe jak betonowa ściana?

- Niewiele wiem o atoniach lodówek - stwierdził Yo-less. - Mogą faktycznie nie być takie złe jak atomy betonu, ale myślę, że wokół miejsca, gdzie by była lodówka, nie byłoby potrzeba nowej tapety... bo nie byłoby jej na czym położyć...

- Atomowy Wobbler! Nieźle brzmi - ocenił Bigmac.

- Nie ma co czekać: bierzemy wózek i idziemy za nim - zdecydował Johnny.
- Wózka nie będziemy potrzebować - sprzeciwiła się Kirsty. - Można go tu zostawić.
- Lepiej zabrać. Należy do pani Tachyon.
- Jednego nie rozumiem - odezwał się Yo-less, gdy przepychali wózek przez pole.
- Szczęściarz - burknął Johnny. - Ja nie rozumiem milionów rzeczy.
- Co?... A czego konkretnie nie rozumiesz?
- Telewizji, algebry, jakim cudem obdarte ze skóry parówki trzymają się kupy, Chińczyków. Mam wymieniać dalej?

- Starczy- uznał nieco przytłoczony asortymentem Yo-less. - Wracając do wózka: on nie ma żadnych urządzeń ani żadnej maszyneryi do podróży w czasie.

- Może coś jest w tych workach - zasugerował Johnny.
- Pewnie: Worki Czasu! Nie da się wsadzić czasu do worka!
- Może pani Tachyon o tym nie wie. Zawsze zbierała różne dziwne rzeczy.
- Przecież nie można zebrać czasu - jęknęła Kirsty. - To różne rzeczy zbiera się w czasie.

- Moja babka zbiera sznurki - odezwał się Bigmac tonem kogoś, kto nie ma pojęcia, o co chodzi, ale też chce się przydać.

- Tak? Przynajmniej ma zajęcie. Nie da się zebrać jakiejś półgodziny i dowiązać jej do dziesięciu minut, które masz w zapasie! - zirytowała się Kirsty. - Nie uczą was fizyki w szkole czy co? W ogóle co to takiego te atomy lodówki?

- Najmniejsze możliwe cząstki lodówki - wyjaśnił Yo-less.

Johnny tymczasem zaczął się buntowniczo zastanawiać. Może jednak daje się zbierać czas. No bo przecież mówi się: czas ucieka, przecieka między palcami, mija, marnuje się. Skoro można z nim robić tyle dziwnych rzeczy, to dlaczego nie oszczędzać czy zbierać?! Pewnie, to tylko takie określenia, wszystko zależy od punktu widzenia, ale należy wziąć pod uwagę, że pani Tachyon ma nawet nie skrzywiony pogląd na świat, ale skrzywiony jak korkociąg.

Rozwiązał worek i coś mu z sykiem dmuchnęło przez palce...

- Nie możesz mieć najmniejszej możliwej cząstki lodówki! - Kirsty odzyskała dar wymowy. - Są tylko atomy żelaza i innych pierwiastków!

- No to molekuła lodówki - zgodził się Yo-less. - Po atomie ze wszystkiego, co jest niezbędne, by zrobić lodówkę.

- Nie ma czegoś takiego! No dobrze: można wziąć po atomie ze wszystkiego, co jest potrzebne do wykonania lodówki, ale to i tak nie będzie żadna molekuła lodówki, bo... Co ja za bzdury opowiadam! Przez was zaczynam myśleć tak jak wy!

Reszta wszechświata twierdziła, że czas nie jest przedmiotem, tylko sposobem, w jaki Natura się zabezpieczyła, aby wszystko nie działo się natychmiast, rozumował Johnny. Pani Tachyon skomentowałaby owo twierdzenie zwięźle: "To ci się tylko tak wydaje..." i

robiłaby po swojemu.

Dotarli wreszcie do ogródków działkowych, przez które prowadziła ścieżka. Ogródki wyglądały zwyczajnie, a przypadkowo napotkane osoby - głównie w starszym wieku - wyglądały zupełnie jak działkowicze.

Tyle że na widok wózka kolejno przestawali kopać, grabić czy podlewać, a zaczynali w milczeniu obserwować, jak to zwykle na działkach bywa.

- To przez tę kurtkę Yo-lesa tak się na nas gapią - syknęła Kirsty. - Purpurowo-zielono-żółta. Oczy boją. I jest z plastyku, tak? A plastik jest od niedawna. Naturalnie to może być T-shirt Bigmaca: mało kto paraduje z napisem "Ciężki wariat" na sobie.

Działkowicze akurat obrabiali fasolę i ziemniaki.

Johnny jako jedyny z obecnych wiedział, że zbiorą wyłącznie odłamki. Bo tej nocy działki obok Paradise Street zostaną zbombardowane...

- Nie widzę obwodnicy! - oświadczył nagle Big-mac. - Ani wieży telewizyjnej.

- Za to jest sporo zapasowych kominów fabrycznych - dodał Yo-less. - I w ogóle nie ma ruchu ulicznego. Gdzie się podziały wszystkie samochody?!

Johnny resztką zdrowego rozsądku zapanował nad sobą, by nie powiedzieć, że poszły do wojska: w maju 1941 roku większość pojazdów faktycznie była w armii.

Przez rzekę prowadził wąski kamienny most. Gdy znaleźli się w połowie drogi, Johnny się obejrzał: para bardziej upartych działkowców ciągle im się przyglądała. Wzgórek, z którego zeszli, miał nieco szarawy odcień, jaki zwykle przybierają pola leżące w pobliżu miast, jakby wiedziały, że jedynie kwestią czasu jest, kiedy znajdą się pod betonem.

- Pamiętam, kiedy wszystko to były budynki-mruknął do siebie.

- Co mówisz?

- Nic ważnego.

- Trochę poznaję. - Bigmac był wyjątkowo poważny. - To River Street, a na rogu to sklep starego Patela, nie?

Ale napis na oknie informował: PAL WOODBINES J. Wilkinson (właśc.).

- Woodbines? - zdziwił się Bigmac.

- To jakiś gatunek papierosów, przecież pisze -parsknęła Kirsty.

Obok przejechał samochód. Był czarny, ale nie tak jak tamten na wzgórzu; był pochłapany błotem i miał plamy rdzy na dodatek. Wyglądał, jakby ktoś, zamierzając zrobić naprawdę duży model, mniej więcej w połowie zmienił zdanie, ale już było trochę za późno.

Kierowca prowadzący owo dziwadło aż odwrócił głowę, tak intensywnie im się przyglądał.

O ludziach na ulicy trudno było coś powiedzieć poza tym, że przeważały płaszcze w stu odcieniach nudy.

- Nie powinniśmy tak stać - stwierdziła Kirsty. - Ludzie się nam przyglądają.

Chodźmy po gazetę, wtedy będziemy wiedzieli, kiedy jesteśmy. Ale tu przygnębiająco!

- Może być depresja - zasugerował nieśmiało Johnny. - Mój dziadek mówił, że wtedy nie było wesoło.

- Nie ma telewizji, wszyscy chodzą w niemodnych ciuchach, nie ma uczciwych samochodów - podsumował Bigmac. - Nic dziwnego, że wszyscy są w depresji.

- Bigmac, bądź uprzejmy patrzeć pod nogi. Każdy drobiazg, który tu zrobimy, może mieć poważne skutki w przyszłości - oznajmiła Kirsty. - To dotyczy wszystkich. Jasne?

Bigmac na straży wózka został na chodniku, a pozostali weszli do narożnego sklepu.

Wewnątrz było ciemno i pachniało pastą do podłogi.

Johnny był raz ze szkolną wycieczką w muzeum, w którym część ekspozycji stanowiła rekonstrukcja ulicy i sklepów z okresu przedwojennego, czyli z dawnych dni. Było to całkiem interesujące, choć wszyscy usilnie się starali, żeby tego nie okazać, bo jak człowiek przestanie się pilnować, to nauczyciele wcisną mu następny kawałek wykształcenia. Jeden ze sklepów wyglądał zupełnie tak jak ten, w którym się znaleźli, jeśli nie liczyć kota śpiącego na worku psich biszkoptów. I zapachu. Dominowała w nim pasta do podłogi, ale można było rozróżnić także parafinę, gotowanie i pajęczyny. Niewysoka niewiasta w okularach przyjrzała im się uważnie.

- Co mogę dla was zrobić, kochani? - spytała i patrząc na Yo-lessa, dodała: - Sambo jest z wami, tak?

Dawne dni

Guilty wygramolił się na worki i miauknął zadowolony.

Bigmac zignorował go, obserwując ruch drogowy, którego właściwie nie było. Jakieś dwie kobiety spotkały się na środku ulicy i gadały sobie w najlepsze, nie zwracając uwagi na resztę świata, choć jedna od czasu do czasu oglądała się na Bigmaca.

Na wszelki wypadek skrzyżował ręce na piersiach, przysłaniając nadruk na koszulce: "Heavy Mental".

A potem dokładnie przed nim stanął samochód. Kierowca wysiadł, obrzucił Bigmaca przelotnym spojrzeniem i odszedł, skręcając za narożnik.

Bigmac przyjrzał się samochodowi. Dotąd podobne widział tylko w telewizji, przeważnie w sznurowatych melodramatach, w których jeden samochód, dwie kobiety i trzy tuziny kapeluszy przemieszczają się w tę i z powrotem po tym samym kawałku ulicy, próbując wmówić widzom, że to wszystko nie dzieje się współcześnie.

W stacyjce tkwiły kluczyki.

Generalnie Bigmac nie był przestępcą; przeważnie był w pobliżu, gdy przestępstwa się wydarzały. Było tak przez głupotę. Głupotę innych, głównie objawiającą się w projektowaniu samochodów, które w dziesięć sekund potrafiły wyciągnąć sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, i sprzedawaniu ich jeszcze głupszym ludziom, których interesowały jedynie takie błahostki jak to, ile wóz pali i jakiego koloru są siedzenia. Jakby ktoś po to wymyślił samochód.

W stacyjce wciąż tkwiły kluczyki.

Bigmac uważał, że wyświadcza innym przysługę, sprawdzając, co praktycznie potrafią ich samochody. Poza tym nigdy żadnego nie ukradł, bo zawsze miał zamiar odstawić każdy egzemplarz tam, skąd go wzięł. Co prawda rzadko mu się to udawało, ale przecież miał dobre chęci. Ludzie powinni być dumni, wiedząc, że ich samochody potrafią na obwodnicy wyciągnąć sporo ponad setkę, zamiast narzekać.

Kluczyki ciągle tkwiły w stacyjce.

Zaczynało to wyglądać na prowokację. Istniały przecież miliony miejsc, w których normalny człowiek umieściłby kluczyki do samochodu, od własnej kieszeni zaczynając. Ale nie - ten musiał je złośliwie zostawić w stacyjce.

Takie stare samochody prawdopodobnie i tak nie są w stanie rozwinąć żadnej uczciwej prędkości...

Kluczyki uporczywie tkwiły w stacyjce, połyskując zapraszająco.

Bigmac przestąpił z nogi na nogę.

Zdawał sobie sprawę, że są na świecie ludzie uważający za niewłaściwe przejażdżki samochodami, które nie należą do nich, ale to wszystko zależy od punktu widzenia...

...a kluczyki spokojnie tkwiły w stacyjce.

Johnny i Kirsty równocześnie wciągnęli powietrze, co brzmiało niczym start concorde'a, tylko na odwrót.

Johnny miał wrażenie, że pokój nagle się zrobił strasznie duży, a na jego środku sam jak palec tkwi Yo-less.

- Owszem, jestem z nimi - powiedział nagle wyjątkowo spokojnie Yo-less.

Kobiecina wyglądała na szczerze zaskoczoną.

- Dobry Boże, mówisz po angielsku! - ucieszyła się nie wiadomo czemu. - I do tego poprawnie!

- Nauczyłem się od dziadka - odparł podejrzenie uprzejmie Yo-less. - Zjadał jedynie wykształconych misjonarzy.

Umysł Johnny'ego zwykle pracował tak wolno, że aż mu było wstyd. Czasami jednak zdobywał się na niebagatelną szybkość.

- On jest księciem - oznajmił.

- Książę Sega - przedstawił się Yo-less.

- Z Nintendo - dodał Johnny.

- I chce kupić gazetę - dodała Kirsty, która w pewnych kwestiach w ogóle nie miała wyobraźni.

Johnny sięgnął do kieszeni i znieruchomiał.

- Tylko nie mamy pieniędzy - oświadczył.

- Mam co najmniej dwa... - zaczęła Kirsty.

- Nie mamy pieniędzy! - przerwał jej stanowczo Johnny i dodał ciszej: - Tu obowiązują szylingi i nie obowiązuje dziesiętny, nieuku!

- Dziesiętny? - Kobieta wyglądała jak ktoś, kto ma nadzieję, że gdy się odpowiednio skupi, wszystko dookoła nabierze sensu.

Johnny spojrzał na ladę. Było już popołudnie, ale kilka gazet jeszcze leżało. Między innymi "The Times", i to nawet z widoczną datą.

21 maja 1941 r.

- Och, gazetę możecie dostać za darmo. - Sprzedawczyni w końcu się poddała. - Nie sądzę, abym jeszcze jakąś dziś sprzedała.

- Dziękujemy bardzo. - Johnny czym prędzej złapał gazetę i praktycznie wygonił pozostałych za drzwi.

- Sambo - stwierdził z goryczą Yo-less, gdy znaleźli się na ulicy.

- Co? - zdziwiła się Kirsty, najwyraźniej zdecydowana zignorować uwagę Johnny'ego co do braków w swym wykształceniu. - A, to. Nie zwracaj na takie drobiazgi uwagi. Daj mi wreszcie tę gazetę!

- Mój dziadek przyjechał tu w 1952 roku - oznajmił Yo-less pustym głosem. - Mówił, że dzieciaki były przekonane, że jakby się porządnie umył, to by przestał być czarny.

- Rozumiem, że jesteś poirytowany, ale tak to wyglądało. - Kirsty zabrała się do czytania. - Od tego czasu, jak sam wiesz, wiele się zmieniło.

- To, co się zmieniło, to jeszcze się nie wydarzyło. Nie jestem głupi, czytałem stare książki. Jesteśmy w czasach głupich czarnuchów i chwały Imperium. Nazwała mnie Sambo!

- A jak miała cię nazwać? - Kirsty wciąż była pochłonięta gazetą. - Tak została wychowana, nie chciała cię obrazić. W tych czasach tak to wyglądało. Przecież nie możecie się spodziewać, że zmienimy swoją własną historię.

Johnny nagle poczuł się, jakby nadepnął na minę. Sambo było złe, ale "możecie" i "zmienimy" było gorsze - nie było nawet personalnie adresowane. Nigdy też nie widział Yo-lesa w tak bojowym nastroju. I pomyśleć, że po kimś takim jak Kirsty można by się spodziewać czegoś sensownego.

- Cóż, upiornie się cieszę, że tu jesteś - głos Yo-lesa był pełen sarkazmu. - Przynajmniej ktoś może mi to wszystko wytłumaczyć.

- Nie ma sprawy, ale nie musisz sobie tym zaprzętać głowy - stwierdziła, nawet nie podnosząc oczu. - To nie jest aż takie ważne.

Kirsty miała talent do oświeclania siebie zapalką drogi w wytwórni fajerwerków.

Yo-less wziął głęboki oddech.

- Ona nie chciała cię obrazić - powtórzył Johnny, klepiąc Yo-lesa w ramię. - Wiesz: tak ją wychowano.

Yo-less bez słowa wypuścił powietrze.

- Wiecie, że jesteśmy w stanie wojny? - poinformowała ich niczego nieświadoma Kirsty. - Wylądowaliśmy w samym środku drugiej wojny światowej. To tu wtedy było strasznie popularne.

Johnny w milczeniu skinął głową.

21 maja 1941 roku.

Niewiele osób pamiętało tę datę. Właściwie tylko Johnny i bibliotekarka, która pomagała mu odszukać w archiwum stare gazety. I kilku starych mieszkańców Blackbury. To było za dawnych dni, co dla większości było równoznaczne z historią starożytną.

A tymczasem on znalazł się tu i teraz.

Podobnie jak Paradise Street.

Tyle że ona przestała istnieć tego wieczoru.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoił się Yo-less.

Prawdę mówiąc, Johnny też o niczym nie wiedział, dopóki nie przeczytał w starych gazetach. Zupełnie jakby to się nie liczyło: owszem, wydarzyło się, ale nie było właściwą częścią wojny. To prawda - działy się wtedy znacznie gorsze rzeczy, i to w bardzo wielu miejscach. I dziewiętnastu zabitych to wcale nie było wiele.

Ale to się zdarzyło w jego mieście.

Za kilka godzin zamkną sklepy, działkowicze pójdą do domów, a miasto pograży się

w ciemnościach ze względu na zaciemnienie. I wkrótce potem położy się spać.

A kilka godzin później spadną bomby. To było tej nocy.

Wobbler biegł, gwiżdżąc przy tym oraz trzęsąc się i charcząc. Twierdził zawsze, że jego otyłość nie jest jego winą, tylko genów - miał ich za dużo.

Najwięcej energii musiał poświęcić na falowanie i złapanie oddechu, w każdym razie próbował biec. Próbował też myśleć, lecz skoro całą energię zabierał mu wysiłek fizyczny, na psychiczny praktycznie nie było go stać.

Był przekonany, że nie było żadnej podróży w czasie, tylko próbowali go nastraszyć. Przeważnie skutecznie. Tym razem się nie da: wróci do domu, usiądzie i wszystko będzie w porządku...

A, tu jest jego dom.

Jakiś, przynajmniej.

Wszystko tu było... mniejsze. Drzewa na ulicach miały nie ten wymiar, samochody były jakieś takie dziwne, domy wyglądały na... nowsze. Ale to była Gregory Road. Szedł nią miliony razy i teraz, tak jak zawsze, dotarł mniej więcej do połowy i skręcił do...

...do...

Jakiś mężczyzna przycinał żywopłot. Miał białą koszulę, krawat i pulower w zygaki. I palił fajkę. Widząc Wobblera, przerwał i wyjął fajkę z ust.

- O co chodzi, synu?

- Ja... eee... szukam Seeley Crescent - odparł ledwie słyszalnym głosem Wobbler.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Cóż, jestem radca Edward Seeley, ale o Seeley Crescent nigdy nie słyszałem. Mildred, słyszałaś może o Seeley Crescent? - Pytanie adresowane było do kobiety pielącej grządki w pewnym oddaleniu.

- W rogu rośnie duży kasztan... - zaczął Wobbler.

- Mamy kasztan - uśmiechnął się pan Seeley, wskazując na coś, co wyglądało jak patyk z trzema listkami. - Choć nie nazwałbym go dużym. Jakbyś wrócił za pięćdziesiąt lat, to kto wie?

Wobbler wybałuszył oczy wpierw na kasztan, potem na niego.

Ogród był duży, a za nim rozciągało się pole. Nagle dotarło doń, że jest ono wystarczająco szerokie, by zrobić tam drogę, gdyby... ktoś... kiedyś... chciał tam zbudować drogę...

- Wrócę - szepnął.

- Dobrze się czujesz, młodzieńcze? - spytała pani Seeley.

Wobbler z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że nie jest przerażony. Panika mu się najwyraźniej skończyła. Czuł się zupełnie jak we śnie; może to brzmiało głupio, jak się człowiek obudził, ale gdy spał - było jak najbardziej normalne.

Zupełnie jak start rakiety: człowiek się boi, dopóki się nie znajdzie na orbicie w

stanie nieważkości, a potem patrzy na wszystko, jakby przestało być realne.

Uczucie było zadziwiające: większą część dotychczasowego życia Wobbler spędził, bojąc się czegoś, no, przynajmniej obawiając się. Zawsze była cała masa rzeczy, które powinien zrobić, i mnóstwo takich, których nie powinien robić. A teraz przestało to mieć znaczenie. Przecież jeszcze się nawet nie urodził (w pewnym sensie, ma się rozumieć), a więc absolutnie nie mógł być czemukolwiek winien.

- Doskonale - zapewnił znacznie bardziej normalnym głosem. - Dziękuję za informację. Chyba... wrócę do miasta.

Odchodząc, czuł na sobie ich wzrok, ale nie przyspieszył kroku.

To było jego miasto - wystarczająco wiele drobiazgów mówiło mu to na każdym kroku, choć równocześnie przynajmniej tyle samo było... dziwnych. Rosło na przykład znacznie więcej drzew, a stało znacznie mniej domów. Było więcej kominów, a mniej samochodów. I znacznie mniej kolorów. I ogólnie miasto wyglądało dość ponuro - był na przykład pewien, że nikt tutaj nie ma nawet pojęcia, co to takiego pizza...

- Eee, panie - rozległ się nieco chrapliwy głos. Wyrwany z zamyślenia Wobbler rozejrzał się. Przy krawężniku siedział chłopak.

Na pewno był to chłopak, choć wyglądał dziwnie: spodnie niby krótkie, ale sięgały mu prawie do kolan, okrągłe okulary, jakich używali wyłącznie starsi, i do tego jedno szkło miał przesłonięte papierem pakowym, włosy obcięto mu chyba sekatorem, poza tym ciekło mu z nosa i miał odstające uszy.

No i nikt nigdy nie mówił do Wobblera "panie", naturalnie nie licząc nauczycieli, gdy byli wyjątkowo sarkastycznie nastawieni.

- Tak? - powiedział na wszelki wypadek.

- Którędy do Londynu? - Obok pytającego leżała tekturowa walizka przewiązana sznurkiem.

Wobbler zastanowił się przez chwilę.

- Tędy - wskazał za siebie. - Pojęcia nie mam, czemu nie ma drogowskazów.

- Nasz Roń mówi, że je zdjęli, żeby Szwaby nie wiedzieli, gdzie są - odparł chłopak. Wziął jeden z rzędu leżących przed nim kamyków i z zadziwiającą celnością wrzucił go do puszki stojącej po przeciwnej stronie ulicy.

- Jakie Szwaby?

Jedno oko przyjrzało mu się podejrzliwie zza brudnej soczewki.

- Niemcy - wyjaśnił mimo wszystko chłopak. - Tylko ja bym chciał, żeby przyszli i wysadzili panią Density. No, może nie całkiem, ale trochę.

- Dlaczego? Walczymy z Niemcami? - zdziwił się Wobbler.

- Amerykanin czy jak? Nasz tata mówi, że Amerykanie też powinni walczyć, tylko że czekają, żeby zobaczyć, kto wygrywa.

- Eee... - Wobbler zdecydował, że chwilowo może się opłacać zostać Amerykaninem.

- Zgadłeś: jestem Amerykaninem.

- Oo! A powiedz pan coś po amerykańsku!

- Eee... Republikanin, Microsoft, Spiderman. Się ma.

Demonstracja umiejętności lingwistycznych usatysfakcjonowała rozmówcę. Wrzucił kolejny kamyk do puszek i oświadczył z goryczą:

- Nasza mama mówi, że mam zostać u pani Density. Atu jest okropnie. I jedzenie mają do kitu! I muszę pić mleko! Nie, żeby miał coś do porządnego mleka w domu, ale tutaj mają mleko, które leci z końskiego tyłka! Wyobrażasz pan sobie?! Sam widziałem: zabrali nas na farmę pełną błota i gównien i widziałem. A wiesz pan, skąd się biorą jajka? Okropność! A ona jeszcze mnie zmusza, żeby o siódmej chodzić do łóżka. Mam dość ewakuacji i wracam do domu! Nasz Roń mówi, że jak się schodzi do metra, kiedy syreny wyją, to się robi wesoło. Nasz Roń mówi, że szkołę trafili i nie trzeba chodzić się uczyć.

Kolejny kamyk trafił w puszkę, tym razem z zewnątrz, przewracając ją przy okazji. Wobbler zauważył, że chłopiec bardziej mówi do siebie niż do niego.

- No - ciągnął tymczasem siedzący - chciałbym zobaczyć, jakby tu trafili szkołę, co by się wyrabiało. Się naśmiewają, bo jesteśmy z Londynu. A ten cały Atterbury to gwizdnął mój kawałek szrapnela! Nasz Ron mi go dał. Nasz Ron to policaj, to ma okazję pozbierać dla mnie dobre kawałki. Tu to za nic się nie znajdzie szrapnela. No!

- Co to jest szrapnel? - zainteresował się Wobbler.

- Coś pan, głupi czy jak?! To kawałek bomby! Nasz Roń mówi, że Alf Harvey ma ich całą kolekcję i nawet ma kawałek heinkla! Nasz Roń mówi, że Alf Harvey znalazł prawdziwy, nazistowski pierścień, i to jeszcze z palcem w środku. - Chłopak rozmarzył się i posmutniał, zdając sobie sprawę, że niesprawiedliwość odcięła go od skarbów. - No! Nasz Roń mówi, że inni chłopcy z naszej ulicy już dawno wrócili do domów, no to zdecydowałem, że też wracam. Mam już swoje lata! No!

Wobbler nigdy specjalnie nie zawracał sobie głowy historią. Generalnie uznawał ją za coś niemiłego, co z zasady przytrafia się innym. Dość mętnie przypominał sobie jakiś film dokumentalny, w którym ludzie wyglądali tak jak tu i byli tak biedni, że film był czarno-biały. Były tam dzieciaki z tabliczkami na szyjach, czekające na jakimś dworcu, a wszyscy dorośli nosili kapelusze...

Zaraz... ewakuowani, tak ich nazywano. Dzieciaki wysyłane z dużych miast, żeby ich nie zbombardowali... Niemcy, zdaje się.

- Który rok jest teraz? - spytał, przytomniejąc. Chłopak przyjrzał mu się zdecydowanie podejrzliwie i wstał, podciągając portki.

- Pan jesteś szpieg - oznajmił stanowczo. - Pan nic o niczym nie wiesz. I żaden z pana Amerykanin: widziałem ich na zdjęciach. Jakbyś pan był Amerykanin, to byś pan miał broń, a nie masz. No!

- Nie bądź tępą: nie wszyscy Amerykanie noszą broń - obruszył się Wobbler. - Sporo

w ogóle nie ma broni... no, część nie ma... W każdym razie na pewno niektórzy...

- Nasz Roń mówi, że w gazetach coś pisało o niemieckich spadochroniarzach przebranych za zakonnicę. - Chłopak się cofnął. - Mnie się widzi, że jakbyś miał duży spadochron, to byś mógł być takim spadochroniarzem.

- Tak? A wyglądam na zakonnicę? A poza tym jestem Anglikiem.

- Tak? To kto jest premierem? Wobbler wytrzeszczył oczy.

- Chyba tego w szkole nie przerabialiśmy... - wykrztusił.

- Żeby wiedzieć o Winstonie Churchillu, nie trzeba chodzić do szkoły - parsknął pogardliwie jego rozmówca.

- Nie dam się zrobić w głupka! - oburzył się Wobbler. - Akurat to wiem na pewno, że nie mieliśmy nigdy czarnego premiera!

- Ty faktycznie nic nie wiesz - ocenił chłopak, łapiąc walizkę i rezygnując z uprzejmości. - I jesteś gruby!

- Nie muszę tu stać i cię słuchać - uświadomił sobie Wobbler i ruszył przed siebie.

- Szpieg, szpieg, szpieg!

- Och, zamknij się!

- I się trzęsiesz. Widziałem w kinie Goeringa. Jesteś do niego podobny. I ubrany też jesteś jakoś dziwnie. Szpieg i tyle!

Wobbler westchnął - był do czegoś takiego przyzwyczajony, choć ostatnio zdarzało się to znacznie rzadziej. Powód był prosty - poprzednio był tylko gruby, teraz był gruby i duży.

- A ty jesteś głupi - odciął się. - Różnica polega na tym, że ja mogę schudnąć.

Na rozmówcy złośliwość nie zrobiła najmniejszego wrażenia.

- Szpieg, szpieg, szpieg!

Wobbler spróbował maszerować szybciej.

- Zaraz powiem pani Density, a ona zadzwoni po naszego Rona, żeby przyjechał i cię aresztował! - wrzasnął chłopak, skacząc w ślad za nim.

Zdeterminowany Wobbler spróbował maszerować jeszcze szybciej.

- On ma broń, nasz Roń.

Z przeciwka powoli nadjechał mężczyzna na rowerze.

- On jest szpiegiem! - poinformował go chłopak. - Aresztuję go dla naszego Rona.

Mężczyzna uśmiechnął się do Wobblera i popedałował dalej.

- Nasz Roń mówi, że wy, szpiedzy, wysyłacie wiadomości Morse'iem. Przesyłacie je, mrugając latarkami do U-Bootów!

- Jesteśmy trzydzieści kilometrów od morza! - jęknął Wobbler. - Zaczniij myśleć!

- Możesz stanąć na czymś wysokim. Szpieg! Szpieg! Szpieg!

Obserwując dwa pióropusze pary wydobywające się spod maski, Bigmac zastanawiał się, co za kwadratowy idiota zbudował samochód bez wspomagania kierownicy,

zsynchronizowanych biegów, i zamontował w nim w dodatku hamulce uruchamiane sznurkiem?! Prawdę mówiąc, wyświadczył światu uprzejmość, rozbijając wóz o pamiątkowe poidła Aldermana Bowlera. To, że owo poidło dla koni nie stało na drodze, ale na kwietniku oddzielonym od ulicy chodnikiem, było detalem technicznym.

A te pióropusze pary nie były znów takie brzydkie - w każdym była miniaturowa tęcza...

- No tak- odezwał się czyjś głos, otwierając drzwi. - I co my tu mamy?

Głos otwierający drzwi jakoś wybitnie Bigmacowi pasował.

- Chyba się rąbnąłem w głowę - oznajmił Bigmac. Masywna dłoń ujęła go za ramię i delikatnie, acz stanowczo, wyciągnęła z samochodu. Przed oczyma Bigmaca pojawiły się dwa okrągłe oblicza, praktycznie mające na czołach wypisane: "policjant". Poza tym można jeszcze było na nich dużo wypisać: były to naprawdę szerokie twarze.

- To wóz doktora Robertsa - oznajmiły oblicza -a ty, bratku, masz kłopoty. Jak się nazywasz?

- Simon Wrigley - wymamrotał Bigmac. - Pani Partridge wie wszystko o mnie...

- To miło z jej strony. A kim ona jest?

Bigmac zamrugał gwałtownie i oba oblicza cudownie zlały się w jedno.

Na dobrą sprawę lubił panią Partridge. Była wredna, a to było coś. Poprzednia dwójka pracowników opieki nie traktowała go poważnie, a pani Partridge nie ukrywała, że gdyby to od niej zależało, Bigmac zostałby uduszony zaraz po urodzeniu. Takiego kogoś można było szanować. Po rozmowie z kimś takim człowiek się nie czuł jak jakiś bezużyteczny świrus.

Coś mu błysnęło w pamięci.

- Kiedy teraz jest? - spytał, łapiąc się za głowę.

- Możemy zacząć od tego, że mi powiesz, gdzie mieszkasz... - Policjant przerwał i pochylił się: coś w Bigmacu nie dawało mu spokoju. - O co ci chodzi z tym: "kiedy teraz jest"?

- Który rok?

Policjant miał raczej skonkretyzowane wyobrażenie, co powinno spotkać złodziei samochodów, ale oni zwykle wiedzieli, który to rok.

- Tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy - rzekł odruchowo i nagle wyprostował się podejrzliwie. - Kto jest kapitanem angielskiej drużyny krykietowej?

Bigmac wytrzeszczył oczy.

- Czego? - zdziwił się szczerze. - A skąd mam wiedzieć? - Kto wygrał Boat Race w zeszłym roku?

- Jaki znowu wyścig łodzi? Policjant przyjrzał mu się nieżyczliwie.

- A co masz na pasku?

Bigmac przełknął ślinę i spojrzał w dół.

- Nie rąbnąłem go! Zresztą to tylko tranzystor.
- A co to za drut biegnie do twojego ucha?
- Jak to co? Zwykła słuchawka od...

Dłoń policjanta ciężko wylądowała na ramieniu Bigmaca, co sugerowało, że tak szybko nie zmieni swej lokalizacji.

- Idziesz ze mną, Fritz - oświadczył zdecydowanie policjant. - Nie urodziłem się wczoraj, spryciarzu.

Umysł Bigmaca w końcu wrócił do normy, podobnie zresztą jak wzrok, dzięki czemu za umundurowanym stróżem prawa dostrzegł spory tłum gapiów; rozumiał, że jest sam, i to naprawdę daleko od domu.

- Ja też się wczoraj nie urodziłem - mruknął. - To coś zmienia?

Johnny, Kirsty i Yo-less siedzieli w niewielkim ogródku, który jak sądził Johnny, znajdował się na miejscu wysepki na krzyżówce z obwodnicą. Na razie była to tylko ławka i geranium.

- Dziś w nocy zbombardują Paradise Street - poinformował pozostałych.
- Gdzie to jest? - zainteresował się Yo-less.
- Tutaj. Tam gdzie była... będzie hala sportowa.
- Nigdy o tym nie słyszałem.

- To teraz słyszysz. Zostanie zbombardowana. A wiecie, co w tym jest najśmieszniejsze?

- Co w tym w ogóle może być śmiesznego? - spytała Kirsty.

- A to, że zbombardowano ją przez pomyłkę! Niemcy chcieli zbombardować magazyny w Siatę, ale się zgubili i pogoda ich wygłupiła. Zobaczyli tutejszą boczną koleją, zbombardowali ją i odlecieli do siebie. A wszyscy tu spokojnie spali, bo syrena alarmowa nie zadziałała na czas!

- Już pamiętam, mówiłeś mi o tym. Adolf i Stalin na drzewie - przypomniała sobie Kirsty. - To faktycznie smutne, ale się nie podniecaj: to historia, a takie rzeczy się zdarzają.

- Może zaczęłabyś słuchać, jak się do ciebie grzecznie mówi! - zdenerwował się Johnny. - To się jeszcze nie wydarzyło! To ma się wydarzyć tej nocy!

Cała trójka zapatrzyła się w geranium.

- Dlaczego jeszcze nie wróciliśmy? - Kirsty przerwała milczenie, dyskretnie zmieniając temat. - Jesteśmy tu całe wieki.

- A skąd mam wiedzieć? Może im dalej się dociera, tym dłużej trzeba pobyc - domniemywał Johnny.

- I jakoś tak dziwnie się złożyło, że trafiliśmy akurat gdzieś, gdzie wiesz, co nastąpi - zauważył Yo-less. - Jak na mój gust, to trochę zbyt naciągany przypadek.

Johnny'ego także to martwiło. Wszystko było niby realne, ale istniała możliwość, że zwariował i wciągnął w to szaleństwo pozostałych.

- Żeby nie było nieporozumień: nie chcę tu zostać - dodał Yo-less. - Robienie za małego, głupiego Sambo to nie jest mój patent na spędzanie wolnego czasu.

Johnny wstał i złapał za wózek.

- Zamierzam obejrzeć sobie Paradise Street - oświadczył.

- To naprawdę zły pomysł - sprzeciwiła się Kirsty. - Tyle razy ci mówiłam, że wszystko, co zrobisz, może zmienić przyszłość.

- Przecież chcę tylko sobie obejrzeć!

- Tak? Jak cię znam, to trudno mi jakoś w to uwierzyć.

- Ona ma rację - poparł dziewczynę Yo-less. - Z czasem nie powinno się kombinować. Czytałem taką książkę, gdzie facet wrócił w przeszłość i rozdeptał... tego, no... dinozaura, przez co zmienił całą przyszłość.

- Dinozaura? - upewniła się Kirsty.

- Chyba dinozaura... mieli przecież jakieś mniejsze egzemplarze, nie?

- Aha... albo to był może bardzo duży facet - podsunęła.

Johnny pchnął wózek, który potoczył się aż na chodnik po przeciwnej stronie drogi.

- I co zamierzasz zrobić? - spytała po chwili Kirsty. - Będziesz pukał od drzwi do drzwi i informował, że dziś w nocy ulica zostanie zbombardowana?

- Dlaczego nie?

- Dlatego, że szybko cię zamkną - ocenił Yo-less. - Po mojemu góra po trzecich drzwiach.

- Właśnie. I skończy się tak jak z tym rozdeptanym dinozaurem - dodała Kirsty.

- To mógł być jakiś owad... jak się głębiej nad tym zastanawiam, to musiał być jakiś owad - sprostował Yo-less. - Cokolwiek to było, nic nie możesz zrobić. Przecież to już się stało, bo inaczej skąd byśmy o tym wiedzieli?! Z historią nie ma żartów, lepiej z nią nie kombinować.

Wózek zatrzymał się tak gwałtownie, że prawie wpadli na Johnny'ego.

- Dlaczego wszyscy muszą opowiadać takie bzdury? - Johnny był wyraźnie poirytowany. - To tak, jakby się przyglądać beczynnemu, jak ktoś wpada pod samochód, bo tak przecież miało się stać, prawda? Wszystko, co robimy, ma wpływ na przyszłość. Zawsze. I przez cały czas. Więc powinniśmy robić to, co jest właściwe i słuszne.

- Może masz rację, ale przestań wrzeszczeć - skwitowała Kirsty. - Ludzie na nas patrzą!

Johnny bez słowa chwycił wózek.

Zjechali na kocie łby - zdążyli już minąć centrum, toteż nawierzchnia była gorsza. A potem znaleźli się na Paradise Street.

Nie była to specjalnie okazała ulica. Ani długa. Po każdej stronie stało jedynie po dziesięć domków, a i tak niektóre miały drzwi i okna zabite deskami. Na przeciwległym końcu uliczki znajdowały się dwuskrzydłowe, drewniane wrota wytwórni marynat. Niegdyś

pomalowano je na zielono, ale czas i pogoda zmieniły barwę na szaromchową. Ktoś kredą wyrysował na nich dwa słupki i gromada chłopaków w sięgających kolan spodenkach uganiała się przed nimi za piłką.

Johnny obserwował w milczeniu ich zwody i podania, które ucieszyłyby serce niejednego trenera w jego czasach.

Mniej więcej w połowie ulicy jakiś młodzian reperował motocykl. Akurat sięgnął po któryś z kluczy rozłożonych na krawężniku, na kawałku worka, gdy piłka wyrwała się z zamieszania, wpadła między narzędzia i prawie wyróciła motor.

- Spokojniej, diabluki! - poradził młodzian, odrzucając piłkę.

- Nigdy nic nie mówiłeś o dzieciach. - Głos Kirsty był tak cichy, że ledwie go było słychać.

Johnny wzruszył ramionami.

- To wszystko będzie zbombardowane? - spytał Yo-less.

- W gazecie nie było zbyt wiele szczegółów - powiedział cicho. - Wtedy się ich nie podawało, żeby wróg nie przeczytał. To miało coś wspólnego z tym, co nazywali "wysiłkiem wojennym". No, wiecie: żeby przeciwnik nie wiedział dokładnie, gdzie i jak mocno nas trafił. Było tam zdjęcie jakiejś starszej babki z u-niesionym kciukiem i podpisem: "Blackbury wytrzyma, panie Hitler!", i prawie nic o samym nalocie.

O tym pisali dopiero parę lat później.

- Chcesz powiedzieć, że rząd to wszystko wyciszył? - ucieszyła się Kirsty.

- Sensowne posunięcie - stwierdził Yo-less. - Głupio byłoby powiedzieć przeciwnikowi, że spudłował

I ma spróbować raz jeszcze.

Piłka z łomotem trafiła w bramę fabryki. Ciekawe, że nie dawało się zauważyć żadnego podziału na zespoły wśród graczy. Wyglądało na to, że każdy gra na każdego.

- Wciąż nie wiem, co moglibyśmy zrobić - powiedziała tym razem z pewnym zaniepokojeniem Kirsty.

- Proszę? - zdziwił się Johnny. - Dopiero co mówiłaś, że nie powinniśmy nic robić.

- Jak się zobaczy... ludzi, to wszystko zaczyna inaczej wyglądać, prawda?

- Ano tak.

- Jakbyśmy komuś powiedzieli, to nic nie da?

- Zaczną pytać, skąd to wiemy, a potem pewnie zastrzelą nas jako szpiegów - poinformował ją ponuro Yo-less. - W tych czasach z zasady rozstrzeliwano szpiegów.

Heavy Mental

Mężczyzna w mundurze barwy khaki oglądał ze wszystkich stron tranzystorowe radio Bigmaca, czemu ten ostatni przyglądał się nerwowo.

W pomieszczeniu znajdowali się jeszcze: sierżant policji i żołnierz z pistoletem pilnujący drzwi. Z policją Bigmac nieraz miał do czynienia, ale denerwował go żołnierz - niby pistolet miał w kaburze, nigdy jednak nic nie wiadomo. Ten, co oglądał radio, wyglądał na zmęczonego, choć miał dziwnie myślącą minę. Bigmac do specjalnie lotnych myślicieli nie należał, ale i tak w końcu do niego dotarło, że znalazł się w sytuacji, w której ostrożność jest niezbędna.

- Zaczniemy jeszcze raz - zaproponował siedzący, który przedstawił się jako kapitan Harris. - Nazywasz się...?

Bigmac zawahał się. Miał ochotę powiedzieć, żeby zadzwonił po panią Partridge, to mu wszystko wyjaśni, a tak w ogóle to nie jego wina, że jest społecznie dysfunkcyjny. Coś jednak w wyrazie twarzy pytającego sugerowało, że mogłoby to być nader niefortunne posunięcie.

- Simon Wrigley.

- I mówisz, że masz czternaście lat i mieszkasz... - kapitan Harris zajrzał do notatek - w bloku N'Clementa, który jest gdzieś tu w pobliżu.

- Można go stąd łatwo zobaczyć - spróbował mu pomóc Bigmac - albo można by było, gdyby tu był.

Kapitan i sierżant wymienili spojrzenia.

- A nie ma go? - spytał kapitan.

- Właśnie - przytaknął Bigmac. - Nie wiem dlaczego.

- Powiedz mi jeszcze raz, co to takiego "Heavy Mental"?

- To neopunkowa kapela grająca thrash.

- Czyli zespół muzyczny?

- Eee... no tak.

- I moglibyśmy usłyszeć ich w radiu, tak?

- Ja bym tam się nie spodziewał - zmartwił go Bigmac. - Ich ostatni singel miał tytuł Ukręć ci łeb i na-pluję do dziury.

- Ukręć ci łeb... - powtórzył notujący zawzięcie policjant.

- ...i napluję do dziury- pomógł mu Bigmac.

- Ten twój zegarek z numerami ma tu takie małe guziki - odezwał się kapitan. - Co się stanie, jak je nacisnę?

Sierżant spróbował się niepostrzeżenie odsunąć.

- Ten z lewej zapali żaróweczkę, żeby można było po ciemku się zorientować, która

godzina.

- Doprawdy? A po cóż chciałoby się komuś to robić?

- No... jak się ktoś w środku nocy obudzi i chce wiedzieć, która godzina? - zasugerował po głębszym namyśle Bigmac.

- Aha... a ten drugi?

- A, po to, żeby wiedzieć, jaki czas jest w innym kraju.

Wszyscy obecni nagle się ożywili.

- W jakim kraju? - spytał kapitan.

- Zaciął się na Singapurze - poinformował go nieco zaskoczony Bigmac.

Kapitan ostrożnie odłożył zegarek, a sierżant jeszcze ostrożniej wypisał jakąś karteczkę i przywiązał ją do zegarka. A potem kapitan zainteresował się kurtką Bigmaca.

- Z czego ona jest wykonana? - spytał uprzejmie.

- Pojęcia nie mam. Z jakiegoś plastyku pewnie... sprzedają je na targu.

Kapitan szarpnął przyodziewką w tę i w tamtą.

- Jak to jest wykonane? - mruknął sam do siebie.

- To akurat wiem - ucieszył się Bigmac. - Łatwe: miesza się ze sobą jakieś chemikalia i dostaje się plastyk.

- W maskujących kolorach - dokończył oficer. Bigmac przełknął ślinę: był pewien, że znalazł się w poważnych kłopotach, choć niedokładnie wiedział dlaczego.

- To żeby fajnie wyglądać - wyjaśnił.

- Rozumiem... fajnie... - Z wyrazu twarzy kapitana nie sposób było wyczytać, czy faktycznie rozumie, czy udaje. Uniósł kurtkę i wskazał na dwa wyrazy byle jak wypisane pisakiem na plecach. - Co to dokładnie są "Skins z Blackbury"?

- Eee... To ja... Bazza n... no i Skazz... eee... skinheadzi... to... rodzaj gangu...

- Gangu - powtórzył w zamyśleniu oficer.

- Eee... tak.

- Skinheadzi?

- Eee... to przez fryzurę - dodał Bigmac.

- Wygląda jak normalna wojskowa, świeżo po obcięciu - zdziwił się sierżant.

- A to - kapitan wskazał na swastyki wymalowane po obu stronach napisu - to oznaki gangu, też, żeby wyglądać... fajnie?

- Eee... no... to od Hitlera i tych jego tam... - wydusił Bigmac, a widząc, że wszyscy obecni przyglądają mu się jakoś dziwnie, dodał pospiesznie: - To tylko dla ozdoby.

Kapitan odłożył kurtkę jeszcze wolniej niż poprzednio zegarek.

- Nie ma się czym podniecać, serio - dodał Bigmac. - Tam, skąd jestem, takie oznaki czy medale można na targu kupić bez żadnego problemu. Jak poszukać, to bagnety czy kordziki też się znajdują...

- Wystarczy! - Kapitan wstał. - Teraz posłuchaj uważnie: ułatwisz sobie i mnie wiele,

jak powiesz prawdę. Chcę twoje nazwisko, nazwiska kontaktów i całą resztę. Z dowództwa wysłali specjalną sekcję śledczą, a oni nie są tacy cierpliwi jak ja. Zrozumiałeś? - I najspokojniej w świecie zaczął pakować rzeczy Bigmaca, już z przypiętymi karteczkami, do worka.

- Hej, to moje...

- Sierżancie, proszę go zamknąć.

- Nie możecie mnie zamknąć za jakiś stary wrak...

- Ale możemy za szpiegostwo - przerwał mu kapitan Harris. - I zamkniemy. - Po czym wyszedł z pokoju.

- Szpieg? - zdumiał się Bigmac. - Ja?

- Jesteś jednym z tych... no, z Hitlerjugend? - spytał towarzyskim tonem sierżant. - Widziałem was w kronice z tymi pochodniami. Zupełnie jak zboczeni harcerze. Nieprzyjemna ta organizacja.

- Dla nikogo nie szpiegowałem! - wrzasnął Bigmac. - Ja nie wiem, jak się szpieguje! Ja nawet nie lubię Niemców! Mojego brata wyrzucili z Monachium za rozwalenie głowy ich kibicowi, mimo że to tamten pierwszy rozebrał ławkę i zaczął się bić w środku meczu.

Ten niepodważalny dowód antyniemieckich przekonań jakoś dziwnie nie wywarł na sierżancie najmniejszego wrażenia.

- Możesz zostać rozstrzelany - dodał sierżant. - Wiesz, za zdradę.

Drzwi wciąż były otwarte, a na korytarzu jedynie ktoś rozmawiał przez telefon, i to gdzieś dalej.

Bigmac atletą z pewnością nie był. Gdyby organizowano Olimpiadę Zwolnień Lekarskich, bez trudu zakwalifikowałby się do reprezentacji narodowej Wielkiej Brytanii. W konkurencjach takich jak: Przegryzanie Liny na Czczo, Rzut Kotem czy Sprint Astmatyków miałby spore szansę. A w Trójskoku do Lekarza byłby faworytem.

Tym razem jednak musiał zadziałać instynkt samozachowawczy - wparł buty w podłogę i wystartował z krzesła niczym rakieta. Bez trudu przeskoczył biurko i minął sierżanta. Strach dodał mu skrzydeł i koordynacji, o którą sam siebie nigdy by nie podejrzewał.

Wylądował niejako w biegu, pochylił głowę i runął do szarży. Głowy często używał, toteż była wyjątkowo twarda. Przekonał się o tym żołnierz stojący przy drzwiach, gdy trafiła go nieco nad kłamrą od pasa.

Bigmac usłyszał jedynie zduszony jęk i łomot i wypadł na korytarz. Znowu coś łupnęło i rozległ się dźwięk, jaki wydaje wyłączony telefon spadający z pewnej wysokości na podłogę. Ktoś krzyknął:

- Stać, bo strzelam!

Ale Bigmac nie reagował na prowokację, mając nadzieję, że para prawie nowych doc martensów model 1990, kupionych prawie legalnie przez brata od kierowcy ciężarówki,

który miał ich pełną pakę, okaże się lepsza do uników i biegu od policyjnych buciorów.

Ten, co krzyczał, że będzie strzelać, strzelił.

Coś dźwięknęło przed Bigmakiem, ale skręcił, przemknął pod rozpostartymi ramionami innego policjanta i wypadł na podwórko, gdzie kolejny policjant stał obok czegoś, co wyglądało na jurajski rower, wykonane bowiem było ani chybi z zespawanych rynien.

Bigmac w dwóch skokach dopadł pradziadka rowerów, wskoczył na siodełko i łapiąc kierownicę, wparł stopy w pedały.

- Ej, co ty wyprą...

Głos policjanta ścichł gdzieś z tyłu.

Rower z piskiem opon skręcił w ulicę biegnącą za posterunkiem. Była brukowana kocimi łbami, rower miał porządne, skórzane siodełko, a Bigmac miał naprawdę cienkie spodnie.

- Nic dziwnego, że wszyscy tu są w depresji! - jęknął Bigmac, próbując jazdy na stojąco.

- Szpieg! Szpieg! Szpieg!

- Zamknij się wreszcie! Miałeś uciekać do Londynu!

- Ale nie teraz - odszczeknął się dzieciak, podciągając portki. - Lepsze jest łapanie szpiegów tutaj.

Byli z powrotem w centrum miasta, a chłopak z podziwu godnym uporem ciągnął się za Wobblerem, pokazując go każdemu przechodniowi i reklamując jako szpiega. Na szczęście nikt nie miał zamiaru go aresztować, choć sporo osób dziwnie na niego spoglądało.

- Mój brat Roń jest policjantem! - oznajmił dumnie chłopak. - Przyjedzie z Londynu i cię zastrzeli, szpiegu.

- Poszedł! Sio!

- A figę!

Po przeciwnej stromej ulicy, od której odbijała Paradise Street, stał niewielki kościółek, a raczej kaplica nonkonformistów. Przynajmniej tak twierdził Yo-less. Kaplica była zdecydowanie zamknięta, a para świerków rosnących przy drzwiach sprawiała wrażenie, jakby z chęcią wzięły prysznic, by pozbyć się popiołu z igliwia.

Cała trójka przysiadła na stopniach, spoglądając na ulicę, na której jakaś kobiecina pracowicie szorowała stopnie i próg swego domu.

- Ta kaplica została trafiona? - spytała Kirsty.

- Chciałaś powiedzieć: "zostanie". Chyba nie. - Szkoda.

- Ciągłe stoi w 1996 - wtrącił się Yo-less - tylko jest wykorzystywana do zadań społecznych. Wiecie: zajęcia z aerobiku i takie tam. Wiem, bo co środę chodzę na kurs tańca Morrisa. Będę chodził, znaczy się.

- Ty?! - zdziwiła się Kirsty. - Ty się uczysz tańców Morrisa? Z chusteczkami,

dzwoneczkami i resztą? Ty?

- Ja, a bo co? - spytał chłodno Yo-less. - Coś ci się nie podoba?

- Cóż... no... no, naturalnie że nie... tylko... no... jest to trochę... trochę nietypowe zainteresowanie, jak na kogoś... o twoim... twoim, no...

Yo-less popławił się chwilę w jej dukaniu.

- Wzroście? - odpowiedział takim tonem, że Kirsty odjęło mowę.

- Tak - warknęła po chwili.

Po sąsiedzku wyszła następna kobieta i zabrała się do szorowania własnego progu.

- I co będziemy robić? - Kirsty wróciła do bezpieczniejszego tematu.

- Właśnie myślę - odparł Yo-less.

Gdzieś w oddali rozdzwonił się dzwon. Najwyraźniej mu się to podobało, bo dzwonił długo i namiętnie.

- Ja też myślę - dodał Johnny. - I właśnie mi wyszło, że od dawna nie widzieliśmy Bigmaca.

- To dobrze, jakoś mi go nie brak - skwitowała to Kirsty.

- Chodzi mi o to, że on może mieć kłopoty - wyjaśnił cierpliwie Johnny.

- Co znaczy: "może"? - zdziwił się Yo-less. - On ma kłopoty.

- Wobblera też nie widzieliśmy - dodał Johnny.

- Pewnie gdzieś się schował.

Kolejna kobieta, tym razem po przeciwnej stronie ulicy, przystąpiła do współzawodnictwa w szorowaniu. Kirsty wyprostowała się.

- Dlaczego się zachowujemy jak niedojdy? - spytała. - Powinniśmy coś wymyślić! To nie jest aż takie trudne: możemy... możemy...

- Zadzwoń do wuja Adolfa i powiedz mu, żeby się dzisiaj nie wygłupiał z nalotami - parsknął Yo-less pogardliwie. - Co prawda nie pamiętam akurat jego numeru, ale berlińska informacja telefoniczna powinna znać go na pamięć.

Johnny zniechęcony wpatrywał się w wózek - nie spodziewał się, że podróże w czasie są takie trudne. Myślał o wszystkich tych zmarnowanych lekcjach, na których człowiekowi głupstwa opowiadają, zamiast powiedzieć, dajmy na to, co zrobić, jak ktoś na pół szalony zostawi ci wózek pełen czasu. Szkoła nigdy nie uczyła niczego przydatnego w życiu. Pewnie nie było, jak podejrzewał, prostego przewodnika, co zrobić w niespodziewanych sytuacjach, na przykład gdyby wyszło na to, że jest się sąsiadem Presleya...

Spojrzał wzdłuż Paradise Street i dosłownie czuł, jak obok przelatuje czas. Yo-less i Kirsty jakoś wyblakli - wiedział, że są obok, ale tak, jak czuje się coś we śnie. Znacznie realniejsze było wrażenie, że niektórzy nieletni piłkarze poszli już spać, zapadł zmierzch, a od południowego zachodu nadciągały chmury, przykrywając pogrążone w mroku miasto. W ciemności nadleciały bombowce i w dół poszybowwały bomby, zmieniając w ogień domy, działki, ludzi, bramę ze słupkami i świeżo wyszorowane progi...

Kapitan Harris obrócił w palcach zegarek Bigmaca.

- Zadziwiające: tu pisze Made in Japan.

- Ale przebiegłość - przyznał sierżant. Kapitan obejrzał z kolei radio.

- Też japońskie. Tu z tyłu też pisze Made in Japan. Dlaczego? I dlaczego z tyłu?

- Zmyślny naród - przyznał sierżant. - Pewnie przez ten ryż, tak przynajmniej uważa mój tata. Był tam u nich.

Kapitan Harris wsunął jedną ze słuchawek w ucho i włączył radio. Usłyszał jedynie szum, który mniej więcej gdzieś za czterdzieści osiem lat miał zostać zastąpiony przez Radio Blackbury.

- Działa... - mruknął. - Chociaż prawdę mówiąc, ciekawe, co konkretnie robi...

Przestawił przełącznik fal i znieruchomiał.

- To Home Sentice! - oświadczył zaskoczony. - I to czyściutko aż podziw.

- Tył możemy zdjąć od ręki - zaofiarował się sierżant.

- Nie. To musi trafić do ministerstwa; tam mają specjalistów. Ciekawe, gdzie jest antena... i jak oni tam zmieścili te wszystkie lampy...

- Małe stopy.

- Przepraszam, co?

- Tak tata mówił: ich kobiety mają malutkie stopy. Może ręce też. Tak sobie tylko pomyślałem... - Sierżant, nie słysząc sprzeciwu, zagłębił się w techniczne spekulacje. - A małe ręce są dobre do robienia małych rzeczy, no nie? Takich jak zagłowce w butelkach...

Kapitan wyłączył radio i umieścił je w pudełku, do którego włożono wszystkie tajemnicze znaleziska.

- Widziałem, jak się je robi - ciągnął sierżant. - Bierze się butelkę, potem cienki sznurek albo mocną nitkę...

- Najlepszy aktor, jakiego w życiu widziałem - ocenił kapitan Harris. - Prawie by człowiek uwierzył, że to tylko głupi chłopak... ale ten sprzęt... nie mogę uwierzyć. Jest jakiś... dziwny.

- Wszyscy nasi ludzie go szukają. A inspektor wezwał na pomoc wojsko z West Underton. Złapiemy go, nie ma obawy.

Kapitan starannie zakleił pudełko papierową taśmą z klejem i oznajmił:

- Chcę, żeby tego dokładnie pilnowano!

- Będziemy uważać, zresztą nikt go stąd nie wyniesie.

- To nie może leżeć na wierzchu. Chcę, żeby te rzeczy znalazły się w naprawdę bezpiecznym miejscu!

- Cóż... mamy pustą celę... no, prawie pustą, ale zaraz mogę się tym zająć...

- Bezpieczniejsze miejsce! Sierżant podrapał się za uchem.

- Mamy jeszcze szafkę rzeczy znalezionych - mruknął - ale jest pełna tych rzeczy...

- Szafkę?! Sejfu tu nie ma?

- Nie.

- A co by było, gdyby tak ktoś znalazł w rynsztoku klejnoty koronne?

- Umieścilibyśmy je w szafce rzeczy znalezionych. A potem zadzwonili do króla, jeżeli jego nazwisko by się na nich znajdowało, ma się rozumieć. Szafka ma solidne drzwi, a do zamka pasuje tylko jeden klucz i ja go mam.

- Dobrze, w takim razie proszę ją opróżnić, zawartość przenieść do celi i włożyć do szafki to pudełko. No i starannie ją zamknąć, naturalnie.

- Inspektorowi się to nie spodoba. Zaginione rzeczy są ważne.

- Proszę mu powiedzieć, że możemy współpracować na przyjaznej zasadzie, tak jak dotąd, albo jeśli woli, to może za dwie minuty mieć telefon od nadinspektora, który na pewno nie będzie przyjacielski. - Kapitan Harris położył dłoń na słuchawce telefonu. - No, to jak będzie?

- Pan nie żartuje, sir? - Sierżant wyglądał na zaniepokojonego.

- Ani trochę.

- A to w pudełku nie wybuchnie... albo coś?

- Nie jestem pewien, ale nie sądzę.

Dziesięć minut później sierżant z naręczem stanowiącym dotąd zawartość szafki i oficjalną miną dotarł do ławki stojącej przy celach i ostrożnie złożył na niej ów ciężar. Następnie wydobył z kieszeni klucze otworzył celę i odsunął drzwi.

- Dobrze się czujesz, bidactwo?

- Tak ci się tylko wydaje! A mówiąc o niebieskich ołówkach, to od razu widać, że to chłopak, prawda, panie Shadwell?

- Prawda - przytaknął pośpiesznie sierżant, wchodząc do środka.

Na pryczy siedziała stara kobieta, tak niska, że stopy miała kilka cali nad podłogą. Na kolanach miała kota, który na widok sierżanta miauknął w sposób jednoznacznie wskazujący, że jakakolwiek próba usunięcia go stamtąd skończy się dla intruza podrapaniem. A może i pogryzieniem...

Sierżant już dość dawno przestał się zastanawiać, jak kot dostaje się do celi; zdarzało się to za każdym razem, gdy nocowała w niej jego właścicielka. Przez okno się nie dało, bo kraty były zbyt blisko, nawet dla takiego pokurcza. Przez drzwi na pewno nie wchodził, bo tego pilnował sierżant, a mimo to co rano zastawał zwierzaka w celi, w której wieczorem zamykał jego panią.

- Śniadanie smakowało? Pani Tachyon zignorowała go.

- Doskonale - ucieszył się sierżant. - To chodź ze mną. Na zewnątrz jest całkiem ładny dzień.

- Teleportuj mnie, Scotty - odezwała się pani Tachyon, wstając i posłusznie maszerując za smętnie potrząsającym głową sierżantem.

Dotarli na podwórze, gdzie pod kawałkiem brezentu parkował wózek pełen worków.

Brezent położył osobiście sierżant poprzedniego wieczoru, osobiście więc go teraz zdjął. Pani Tachyon obejrzała wózek podejrzliwie i spytała rzeczowo:

- Nikt niczego nie gwizdnął?

Sierżant był przyzwyczajony do zaskakujących przebiegów zdrowego rozsądku w powodzi jej zwariowanych wypowiedzi, toteż odparł spokojnie:

- Nikt go nawet nie ruszał.

- Punkty wygrywają nagrody. Pudło! Sierżant sięgnął pod wózek i wyjął parę butów.

- Należały do mojej mamy - oświadczył. - Chciała je wyrzucić, ale skóra nie jest jeszcze tak całkiem zła...

Pani Tachyon wprawnym gestem wyrwała mu je i błyskawicznie zamaskowała w stercie worków wypełniających wózek.

- To mały krok dla ludzkości - oznajmiła.

- A tak - zgodził się sierżant. - Nieduże szósteczki.

- Ach, Bisto. Życie jest wielkie, jeśli nie osłabniesz, ale naturalnie teraz ustawili tu most.

Sierżant przyjrzał się z namysłem wózkowi.

- Pojęcia nie mam, skąd ty te śmieci bierzesz - powiedział. - Z czego są te worki? Wyglądają jak guma albo co...

- Obbly Obbly Ob! - oświadczyła pani Tachyon. - Mówiłam im, ale nikt nie chce słuchać czajnika.

Sierżant westchnął i wyjął z kieszeni sześciopensówkę.

- Kup sobie kubek herbaty i kanapkę.

- Pudło! - Pani Tachyon naturalnie wzięła monetę. - To ci się tylko tak wydaje!

- Drobiazg, nie musisz dziękować - bąknął, wracając na posterunek.

Był przyzwyczajony do pani Tachyon, podobnie jak większość mieszkańców Blackbury. W zimne noce często słyszało się brzęk rozbijanych butelek na mleko. Technicznie było to przestępstwo, praktycznie oznaczało po prostu, że pani Tachyon szuka ciepłego miejsca na nocleg.

Nie działo się tak jednak każdej zimnej nocy. I to właśnie było w całej tej sprawie najważniejsze. Ostatnia zima była naprawdę mroźna i już się zaczęli na posterunku niepokoić, czy kobiecina gdzieś nie zamarzła, tyle czasu jej nie było. Brzęk rozbijanej butelki na stopniach był przyjęty prawie z ulgą. Pani Tachyon, podobnie jak jej kot, poruszała się swoimi ścieżkami i nikt nie wiedział ani skąd się wzięła, ani też gdzie znikwała...

"Teleportuj mnie, Sszotty"? - to się dopiero nazywa uczciwe wariactwo!

A jeszcze dziwniejsze, że gdy jej człowiek coś dał, to się potem czuł tak, jakby to ona oddała mu przysługę.

Rozmyślenia sierżanta przerwało znajome popiskiwanie za plecami, które nagle umilkło.

Odwrócił się, ale po wózku i po pani Tachyon nie został nawet ślad.

Johnny czuł bliskość tego, co się tu wydarzy. To nie był jakiś inny kraj pełen dziwnych nazwisk i obcych ludzi z wąsami, wykrzykujących jakieś niezrozumiałe slogany. To zdarzyło się tu, gdzie żyli normalni, zwykli ludzie grający w totalizatora piłkarskiego i czasami chodzący po pasach, a nie gdzie popadnie.

Na to wszystko spadną bomby, zamieniając świat w ogień i śmierć.

A tak się stanie, bo - jak to ujął Yo-less - to już się stało. Tak będzie i nie ma sposobu, by to powstrzymać, ponieważ gdyby znalazł jakiś skuteczny sposób, to w ogóle nie wiedziałby, że coś takiego się stało. No bo i skąd?

Może pani Tachyon zbierała czas. Johnny czuł, choć nie był w stanie tego wyrazić słowami, że czas nie jest tylko czymś w kalendarzach czy na zegarkach. Czas żyje w ludzkich głowach. A jeśli to oznaczało, że trzeba odpowiednio myśleć, by móc właściwie korzystać z czasu, to nic dziwnego, że pani Tachyon dla wszystkich była skończoną wariatką. Każdy by był.

- Dobrze się czujesz? - dobiegło z oddali.

Ruiny stały się na powrót domami, światło wyparło mrok, a piłka ponownie załomotała o bramę w kolejnym golu. Było ciepłe popołudnie, a Kirsty energicznie machała mu dłońmi przed nosem.

- Dobrze się czujesz? - powtórzyła.

- Zamyśliłem się...

- Nie cierpię, kiedy się tak wyłączasz!

- Przepraszam... - Johnny wstał. - Nie wróciliśmy tu przez przypadek. Dużo myślałem o tej nocy i znaleźliśmy się tu właśnie teraz. Nie wiem dlaczego, ale wiem, że musimy coś zrobić, nawet jeśli nie możemy nic zrobić, więc zamierzam...

Raptem zza rogu wypadł dziko podskakujący i kolebiący się na boki rower. Dosiadający go młody cyklista był ledwie widoczny, prawie leżał na kierownicy, ale zdołał zatrzymać pojazd przed nimi.

- Bigmac?

- Au, au, au... - wykrztusił Bigmac.

- Ile wystawiłam palców? - zapytała Kirsty.

- Au, au, dziesięćnaście? Ssschowajcie rower!

- Dlaczego? - zdziwiła się Kirsty.

- Ja nic nie zrobiłem!

- Aha - stęknął ze zrozumieniem Yo-less i nie tracąc czasu, wepchnął rower w najbliższe krzaki.

- To takie buty...

- Jakie buty? - Kirsty wciąż nic nie rozumiała.

- Bigmac regularnie nigdy-nic-nie-robi - wyjaśnił jej Johnny.

- Właśnie - przytaknął Yo-less. - Na całym świecie nie może być nikogo, kto miałby tyle kłopotów w związku z tym, czego nie zrobił, w miejscach, w których nie był, całkowicie nie ze swojej winy.

- Oooni do mnie strzelali!

- Ooo! To tym razem musiałeś nie zrobić czegoś naprawdę poważnego! - ocenił z uznaniem Yo-less.

- Noooo, był tten samochód...

Dzwonienie, które Johnny słyszał już wcześniej, rozległo się ponownie, tyle że bliżej i gdzieś za budynkami.

- Ttto policja! - Bigmac ponownie zaczął się płoszyć. - Próbowałem ich zgubić skrętem w Harold Wilson Drive, ale... ale jej nie było! A jeden do mnie strzelał! Żołnierze nie powinni strzelać do swoich cywilów!

Wciągnęli dygoczącego Bigmaca w krzaki, które też zaczęły się lekko trząść, a Kirsty dała mu swoją kurtkę.

- Dobra, gra skończona - wymamrotał Bigmac. - Mówię, skończona! Zbierać manatki i wracamy do domu.

- Sądzę, że powinniśmy ludziom powiedzieć o bombach - odezwał się Johnny. - Ktoś może posłuchać...

- A jak cię zapytają, skąd wiesz, to powiesz, że z lekcji historii, bo jesteś z Roku Pańskiego 1996?

- Można by... spróbować coś napisać... i wrzucić komuś do skrzynki... - zaproponował niepewnie Yo-less.

- Tak? I co tam napiszesz? - zainteresowała się Kirsty. - "Idź na długi spacer" czy "Załóż wyjątkowo twardy kapelusz"? - Urwała, widząc minę Johnny'ego.

- Wobbler! - ucieszył się Yo-less. Wszyscy odwrócili się jak na komendę. Wobbler toczył się ulicą.

Sporo wysiłku kosztowało go osiągnięcie prędkości zbliżonej do biegu, ale gdy w końcu mu się to udało, sprawiał wrażenie, jakby nie miał się już w ogóle zatrzymać. Gdy ich dostrzegł, zdołał przynajmniej zmienić kierunek.

- Jak ja się cieszę, że was widzę! - wysapał. - Zmiatajmy stąd! Jakiś skretyniały dzieciak gonił mnie całą drogę od domu, wrzeszcząc, że jestem szpiegiem!

- A próbował do ciebie strzelać? - zainteresował się Bigmac.

- Nie miał z czego, ale obrzucił mnie kamieniami!

- E, tam! Do mnie strzelali. - W głosie Bigmaca zadźwięczała duma.

- Dobra - zdecydowała Kirsty. - Skoro jesteśmy w komplecie, to w drogę.

- Wiecie, że nie wiem jak? - upewnił się Johnny.

Na wózku spokojnie leżały czarne worki, a metalowa tabliczka z napisem Tesco cichutko szczykała o druty. Ciekawe, czy pan Tesco już się urodził, a jeśli tak, to czy miał już

swój sklepik... Johnny zmusił się do myślenia o czymś innym.

- To musi być twoja wyobraźnia - zdecydowała Kirsty. - Trafiasz tam, gdzie myślisz.
- No nie! - jęknął Yo-less. - Zaraz usłyszę, że to takie czary!

Johnny przyglądał się wózkowi.

- Mogę... spróbować - zaproponował. Sąsiednią ulicą przejechał wóz policyjny.
- Może spróbujesz w jakimś bardziej ustronnym miejscu? - podsunął Yo-less.
- Dobry pomysł - poparł go Bigmac.

Bez dalszej dyskusji skierowali się ku kaplicy. Od tyłu prowadziła do niej żwirowa ścieżka kończąca się w sąsiedztwie śmietnika i martwych kwiatów. Dalej były niewielkie, zielone drzwi, których jakimś cudem nikt nie zamknął na klucz.

- Wtedy... to jest teraz nie zamykali kościołów - wyjaśnił Yo-less.

- Przecież tu są srebrne lichtarze i inne, nie? - zdumiał się Bigmac. - Każdy może wejść i je rąbnąć.

- Więc tego nie rób - poradził mu Johnny. - Nie jesteś każdy!

Wspólnym wysiłkiem umieścili wózek w położonym na tyłach pokoju. Na stole stał dzbanek do herbaty, a obok leżało kilka mocno sfatygowanych śpiewników. Pachniało starymi zasłonami, pastą do podłóg i płynem do polerowania mebli, co razem z nieświeżym powietrzem stanowi mikroklimat sanktuarijny. Nigdzie nie było nawet wspomnienia po srebrnych świecznikach czy innych.

- Bigmac! - warknął Yo-less. - Zamknij tę szufladę!
- Przecież tylko patrzę...

Johnny przyglądał się workom: no dobrze, założmy, że są pełne czasu. Głupi pomysł. Poza tym nie za duże te worki... no dobrze: a ile miejsca zajmuje czas? Może daje się go ścisnąć albo złożyć...

Głupie, ale...

Nagle coś głucho zadudniło. Na szczycie worków pojawił się zadowolony z siebie Guilty.

Johnny ostrożnie ujął najbliższy worek za wiązanie. Był ciepły i nie ulegało wątpliwości, że poruszał się pod jego dłońmi.

- To się pewnie nie uda - bąknął.
- Mamy się złapać wózka? - spytał Yo-less.

- Chyba nie... nie wiem! Słuchajcie, jesteście pewni, że chcecie? Ja naprawdę nie wiem, co robię!

- Nie pierwszy raz, więc się nie przejmuj - pocieszyła go Kirsty. - Tak naprawdę to nigdy do końca nie wiesz, co robisz.

- Fakt - przyznał Yo-less. - Można przyjąć, że masz sporo praktyki.

Johnny zamknął oczy i spróbował myśleć o 1996 roku.

Skądś, nie wiedział skąd, nadleciała myśl: "To nie czas, to miejsce".

Pomyślał więc o miejscu, w którym z sufitu zwisa model promu kosmicznego na generalnie czarnych nitkach. Generalnie, bo kawałek był czerwony, jako że czarna nitka mu się skończyła. Model był też poplamiony klejem, bo zawsze człowiekowi coś nie wyjdzie, zwłaszcza gdy mu na tym szczególnie zależy.

Miejsce, w którym mama ciągle pali i wygląda przez okno.

Miejsce, w którym dziadek na okrągło ogląda telewizję.

Miejsce, w którym mimo wszystko chciał się znaleźć.

Wyobrażenia zaczęła mu się nieco mącić, ale pomyślał jeszcze o tapecie z Thomasem i lampce w misie. Przypomniawszy sobie miejsce, w którym dziadek źle przykleił tapety, przez co wyszła mu lokomotywa będąca w połowie Thomasem, w połowie zaś Jamesem.

Otworzył oczy - wciąż miał przed nimi felerną tapetę, a cała reszta wyglądała jak duchy. Pozostali, częściowo przezroczyści, spoglądali na niego wyczekująco.

Otworzył worek. Tylko trochę.

Wobbler z trudem przełknął ślinę.

- Eee... - powiedział i odwrócił się.

A potem na wszelki wypadek zajrzał pod stół.

- Eee... powtórzył. - Chłopaki? Johnny? Bigmac? Yo-less?

Ponownie przełknął ślinę, ale nic nie pomogło.

- Eee... Kirsty? Odpowiedziała mu cisza.

Głównie dlatego, że nie było nikogo, kto mógłby mu odpowiedzieć.

Przykra rzeczywistość wyglądała tak, że był sam na sam z dzbankiem do herbaty.

- Hej, przecież się trzymałem wózka! I ciągle tu jestem! Doskonały żart, ale może już z nim skończycie, co? Johnny! Zostawiliście mnie! Udało się, zgoda. No, przestańcie się wygłupiać! Proszę!

Otworzył drzwi, ale na pogrążonym w cieniu podwórku też nie było nikogo.

- Wiem, że chcecie mnie nastraszyć - jęknął - ale się wam nie udało.

Wrócił do środka i opadł na ławkę.

Po chwili wyjął z kieszeni chusteczkę higieniczną, tylko trochę zużytą, i energicznie się wysmarkał. Miał już ją wyrzucić, gdy nagle znieruchomiał - była to najprawdopodobniej jedyna chusteczka higieniczna na świecie.

- Wiem, że mnie obserwujecie- odezwał się, ale bez wiary we własne słowa. - Wiem, że lada chwila się tu zjawicie. Wystarczy tego dobrego: na dłuższą metę to głupi żart. I nietrafiony, bo się nie boję. Czas wracać i coś zjeść. Coś wam powiem: mam trochę gotówki, to wam postawię po hamburgerze... albo możemy iść do Chińczyka i wziąć coś na wynos...

Zamilkł nagle; wyglądał, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że minie naprawdę dużo czasu, zanim w tym mieście będą jakiekolwiek kiełki soi. Albo hamburgery. Teraz można było dostać tylko rybę z frytkami.

- Koniec! - oświadczył, jak mu się wydawało, stanowczo, tyle że głos zaczął mu drżeć.

- Możecie przestać!

Ciszę zakłóciło jedynie nagłe tłuczenie się muchy samobójcy próbującej wylecieć przez szybę.

- Posłuchajcie, tto nnaprawdę nie jjjest śmieszne...

Powietrze za jego plecami drgnęło, dając niedwuznacznie odczuć, że tam, gdzie przed chwilą nie było nikogo, teraz ktoś jest.

Wobbler odwrócił się z szerokim uśmiechem ulgi.

- Założę się, że myśleliście, że mnie... co?!

Sprawnościowa Grupa po Pięćdziesiątce dawno już straciła oddech i znajdowała się w pełnej zadyszeć. Instruktorka dawno przestała mieć złudzenia, że uda jej się wykonać jakikolwiek program ćwiczeń, robiła więc najprostsze w nadziei, że podopieczni coś z tego zdołają powtórzyć i nie paść przy tej okazji trupem podczas zajęć.

- I skłon, i skłon, i skłon, i... proszę nie przesadzać, pani Windex... i krok, i krok, i... co?

Przetarła oczy.

Johnny rozejrzał się.

Członkowie grupy sprawnościowej po dziesięciu minutach aerobiku nie byli już specjalnie spostrzegawczy. Kilka osób nawet się przesunęło, by zrobić miejsce nowo przybyłym, których wzięli za jedną dużą osobę.

Instruktorka ze wzrokiem kłopotów nie miała, za to z bystrością bywało różnie. Wychowano ją w przeświadczeniu, że w zdrowym ciele zdrowy duch, a ponieważ była przekonana, że ma zdrowe ciało, niemożliwe wydało jej się, że ni stąd, ni zowąd grupa podrostków z wózkiem sklepowym pojawiła się nagle w sali będącej kiedyś starą kaplicą. Musieli normalnie wejść, a ona tego po prostu nie zauważyła. Musieli. Co prawda jedyne drzwi znajdowały się z przeciwnej strony sali, ale musieli nimi wejść, bo przecież ludzie nie pojawiają się z powietrza.

- Gdzie jesteśmy? - syknęła Kirsty.

- W tym samym miejscu, ale w innym czasie - odsyknął Yo-less.

Nawet najbardziej zziązani zaczęli zauważać dziwne milczenie instruktorki, co spowodowało, że stopniowo cała grupa przestała się męczyć, za to z zainteresowaniem przyglądała się nowo przybyłym.

- Powiedz coś! - rozkazała zduszonym szeptem Kirsty. - Wszyscy się na nas gapią!

- Uhm... czy to garncarstwo?- spytał Johnny.

- Czy co? - zdumiała się instruktorka.

- Szukamy Grupy Początkujących Garncarzy - odparł nieco pewniej Johnny.

Strzelał w ciemno, ale ostatnimi czasy każda sala, szopa czy piwnica w mieście pełna była grup w różnym wieku, praktykujących najdziwniejsze zajęcia albo z zaparciem godnym lepszej sprawy uczących się wszystkiego.

Instruktorka ucieszyła się, jakby ją poinformowano o podwyżce, i złapała się znajomych słów niczym piosenkarka mikrofonu.

- Zajęcia są w czwartki w sali Czerwonego Krzyża - powiedziała radośnie.
- Naprawdę? Zawsze nam się musi pomylić - jęknął teatralnie Johnny.
- To po co targaliśmy tę całą glinę? - zdziwił się Yo-less. - Pytam się, Bigmac, po co?
- To naprawdę nie moja wina! - oburzył się Bigmac. - Strzelali do mnie!

Instruktorka przyglądała im się kolejno i widać było, że jej radość gaśnie.

- Hmm... Tak... no, na zajęciach początkowych bywa faktycznie nieprzyjemnie - odezwał się Johnny. - Nie będziemy przeszkadzać... To my sobie pójdziemy...

Wszyscy złapali za wózek i ruszyli w stronę drzwi przejściem, które czym prędzej robiły im spocone postacie w dresach.

- No dobrze... skłon i wyprost, i oddech... i skłon i... - dobiegło z wnętrza, nim Johnny zatrzasnął drzwi.

Wyprostował się z ulgą.

Zadziwiające, co człowiekowi może ująć na sucho. Dziesięcionodzy, fioletowi obcy zostaliby natychmiast uznani za długoletnich mieszkańców Blackbury, gdyby byli na tyle mądrzy, żeby na przykład pytać, gdzie jest poczta, i narzekać na pogodę. Ludzie mieli jakąś klapkę w mózgu, uniemożliwiającą widzenie tego, z czym się nie chciał pogodzić ich tak zwany zdrowy rozsądek.

- Założę się, że coś się nie udało - odezwał się Bigmac.

- Eee... - odezwał się Yo-less.

- To muszą być lata dziewięćdziesiąte - sprzeciwiła się Kirsty. - To jedyny okres w historii, w którym nie palono na stosach za noszenie trawiasto-purpurowych dresów!

Naprzeciwko widać było budynek hali sportowej, a pięć minut temu, subiektywnie rzecz biorąc, naturalnie, była tam ulica. Johnny stwierdził, że adaptacja do normy może być kłopotliwa, jakby tak częściej podróżować w czasie.

- Eee... - odezwał się ponownie Yo-less.

- Strzelali do mnie! - zagłuszył go Bigmac, - I to prawdziwą kulą! Słyszałem, jak trafiła w prawdziwą ścianę!

- Eee... - powiedział Yo-less po raz kolejny.

- Co ci się stało? - zainteresowała się Kirsty.

- Eee... a gdzie jest Wobbler? Wszyscy rozejrzeli się spłoszeni.

- No nie! - jęknął Johnny. Wobblera nie było.

- Nie wracam! - zastrzegł się Bigmac. - Nie będę robił za ruchomy cel!

- Możesz robić za nieruchomy - poinformowała go machinalnie Kirsty. - Nie miał okazji gdzieś poleżeć?

- Nie miał. - Johnny był pewien swego. - Musiał tam zostać!

- Zastanówmy się spokojnie! - zaproponowała. - Mówiłeś, że kaplica nie została

trafiona... w takim razie nic mu się nie stało.

- Może... ale to było w 1941 roku.

- A jak coś pójdzie nie tak? - spytał Bigmac. - Teraz to on nie wrócił, a jak wrócimy po niego i wszyscy tam utkniemy? Zastrzelą mnie!

- To niniejszy problem - pocieszył go Yo-less. - Ja się będę musiał nauczyć grać na bandžo!

- Może choć na chwilę przestalibyście panikować i zaczęli myśleć? - zasugerowała Kirsty. - To przecież podróż w czasie. Problem polega na tym, żeby trafić we właściwy moment, a nie na tym, kiedy się to robi. On będzie tam zawsze, niezależnie czy udamy się po niego natychmiast, za godzinę czy za rok. Naturalnie, że trzeba go stamtąd wyciągnąć, ale nie musimy tego robić na gwałt i na wariata!

Johnny wiedział, że to prawda. Wobbler w tym konkretnym dniu 1941 roku o tej konkretnej godzinie musiał być w kaplicy, zupełnie jak nagranie na taśmie - można ją było przewijać w tę i z powrotem, a ono zawsze tam było. Podobnie jak noc, w którą bomby spadną na Paradise Street. Ona też tam była na zawsze. Zupełnie jak skamieniałości.

Kirsty tymczasem zagoniła pozostałych do pomocy, dzięki czemu wózek pokonał stopnie dzielące wejście od ulicy i stanął na chodniku.

- Jego starzy będą się niepokoić - bąknął Yo-less.

- Nie będą, bo sprowadzimy go tu i teraz - uspokoiła go Kirsty.

- Tak? To dlaczego nie widzę, że się to robi? - spytał podejrzenie zgodnie Yo-less. - Chcesz powiedzieć, że lada moment wyskoczymy jak diabeł z pudełka, zostawimy Wobblera i znikniemy? To już nie są podróże w czasie: to jest miotanie się w czasie!

- Nie wiem... - przyznała. - O podróżach w czasie nie da się myśleć logicznie.

Yo-less spojrzał na Johnny'ego i jęknął:

- No nie: ten się znowu wyłączył...

Wszystko poczeka - to naturalna zasada czasu, uświadomił sobie Johnny. Nieważne, jak długo potrwa skonstruowanie wehikułu czasu. Ludzie mogą wymrzeć do ostatniego, a ewolucja może się zacząć - dajmy na to -z kretami, ale nawet jeśli za miliony lat, to w końcu ktoś odkryje, jak to zrobić. To zresztą wcale nie musi być maszyna; może to być po prostu właściwy sposób rozumienia, co to jest czas. To tak jak z błyskawicą: najpierw wszyscy się bali, a w końcu ktoś złapał ją do butelki i od tej pory była już tylko elektrycznością. To zresztą było mniej istotne - od chwili, gdy ktoś rozpracował, jak ją wykorzystać, wszystko było proste. Z czasem będzie to samo, tylko łatwiej: gdy ktoś w końcu znajdzie sposób, aby w nim podróżować, to i tak cała historia wszechświata, która dotąd czekała, stanie otworem.

A potem przypomniały mu się bombowce i chmury nad wyszorowanymi progami...

- Że jak? - wykrztusił.

- Już się włączyłeś? - upewnił się Yo-less.

- Najpierw chodźmy się czegoś napić! - zdecydowała Kirsty, popychając wózek w kierunku centrum.

A potem stanęła jak wryta.

Johnny rzadko widywał ją zszokowaną, jako że Kirsty miała wypróbowany sposób na rzeczy straszne i niespodziewane - dostawała ataku złości albo furii, w zależności od stopnia straszności i rozmiarów niespodzianki. Tym razem jednak ją замуrowało i odbarwiło na blado.

- Och, nie...- jęknęła.

Ulica od kaplicy biegła w dół prosto ku skrzyżowaniu z sygnalizacją. Skrzyżowaniu z obwodnicą. Z przeciwka, od tego samego skrzyżowania, błyskawicznie zbliżał się przeładowany workami wózek, którego kurczowo trzymała się ona sama i Johnny. Wózek zakołysał się niczym jacht idący na wiatr, wykonał skręt o prawie dziewięćdziesiąt stopni i wpadł na parking przy Centrum Handlowym imienia Neila Armstronga.

A za wózkiem jechał długi, naprawdę czarny samochód...

Prawdę mówiąc, Johnny zupełnie o nim zapomniał. Może istniały jakieś tajne stowarzyszenia, może faktycznie po świecie jeździli Mężczyźni w Czerni, używający naprawdę czarnych samochodów i wygłaszający teksty w rodzaju: "Gdzieś tam kryje się prawda". Tutaj jednak prawdę wymiotło, a on nie miał czasu na głupstwa. A to dlatego, że oczami wyobraźni zobaczył mapę.

Tyle że była to mapa czasu.

Pierwszy raz wędrowali w czasie w jego domu, ale Yo-less miał rację - w czasie można się poruszać jak po szynach i na zwrótnicach można je zmieniać. Tak naprawdę to wędrowali w czasie i w przestrzeni.

Drugi raz zrobili to, gdy był pewien, że zginą na skrzyżowaniu. Wtedy zniknął prześladowający ich samochód... Dlatego że nie istniał w tym czasie. Sprawdził to, oglądając się za siebie, gdy minęli skrzyżowanie.

A skoro teraz i tutaj znowu jest, to znaczy, że wrócili do swojego czasu.

Samochód zatrzymał się na parkingu.

Johnny miał już pewność. Znał odpowiedź. Potem, przy odrobinie szczęścia znajdzie też pytanie, ale prawidłową odpowiedź już znał.

Można spokojnie zapomnieć o tajnych stowarzyszeniach czy czasowej policji. Policjanci używają logiki i zdrowego rozsądku, a do tego, by skutecznie zajmować się czasem, niezbędny jest umysł taki, jakim dysponuje pani Tachyon.

Ale był ktoś jeszcze, kto wiedział dokładnie, gdzie dziś będą... No bo gdyby nie wrócili? Albo wrócili, ale coś poszło nie tak?

Johnny zaczął biec.

Przez drogę, na skos, goniony rozżłoszczonymi klaksonami, potem przez parking...

Z samochodu wysiadł ktoś w czarnym uniformie, czarnej czapce i czarnych

okularach i pobiegł do centrum handlowego.

Johnny wykonał slalom między samochodami, klientami i wózkami, i zdyszany stanął przed naprawdę czarnym samochodem, który zaparkował na wprost służbowego wejścia, gdzie obowiązywał całkowity zakaz postoj.

W blasku słońca wyglądał jeszcze czarniej niż poprzednio. Stygający silnik odzywał się od czasu do czasu metalicznie; na masce znajdował się chromowany emblemat.

Wyglądał zupełnie jak hamburger.

Za przyciemnionymi szybami można było zauważyć postać siedzącą nieruchomo na tylnym siedzeniu. Johnny obiegnął samochód, szarpnięciem otworzył drzwi i oznajmił:

- Dobra, wiem, że tam jesteś! Ktoś ty, tak naprawdę?

Siedzącego skrywał cień, wyraźnie widoczne były jedynie dłonie wsparte na srebrnej główce czarnej laski. Postać drgnęła i powoli zmieniła się w dużego mężczyznę ni to w płaszczu, ni to w pelerynie. Ostrożnie wynurzał się z samochodu: najpierw upewnił się, że obiema nogami stoi na ziemi, nim wysiadł.

Był na tyle wysoki, że ogólnie zaliczał się do wielkich, a nie do grubych. Twarz osłaniał mu kapelusz z szerokim rondem, tak że wyraźnie widać było jedynie krótką szpakowatą brodę. Kapelusz, ma się rozumieć, był czarny.

Mężczyzna uśmiechnął się wpierw do Johnny'ego, potem do pozostałych, gdy nadbiegli.

- Kim jestem?- odezwał się. - Cóż... może zgadniesz? Zawsze byłeś w tym dobry.

Johnny przyjrzał mu się, potem obejrzał samochód, a na koniec spojrzał w kierunku kaplicy.

- Myślę... - zaczął.

- Tak?

- Myślę, że... chodzi o to, że nie wiem... ale wiem, że będę wiedział... no, myślę, że wiem, dlaczego nas pan szukał...

- Tak?

- Ale byliśmy... - Johnny przełknął ślinę. Mężczyzna poklepał go po ramieniu.

- Mów mi: Sir John - zaproponował.

Spodnie Czasu

W centrum handlowym dało się zauważyć sporo drobnych różnic i jedną dużą. Zmienił się bar hamburgerowy - tekturowe czapki miały inny kształt, a dominującymi barwami były nie czerwona i żółta, tylko błękitna i biała.

Czarno ubrany mężczyzna wszedł tam jak do siebie.

- Kto to jest? - spytała szeptem Kirsty.

- Wyśmiałaśbyś mnie, jakbym ci powiedział! Ta podróż w czasie! Sam mam problemy, żeby w to uwierzyć.

Sir John siadł przy najbliższym stoliku i gestem zaprosił pozostałych, a gdy usiedli, uczynił drugą z najgorszych rzeczy, jaką klient może zrobić w punkcie szybkiego żywienia.

Pstryknął na kelnerkę.

Natychmiast podbiegła, obserwowana uważnie przez wszystkich pracowników.

- Młoda damo - oznajmił Sir John na lekkim zadechu. - Ci młodzi ludzie mogą zamówić, na co tylko mają ochotę. Ja poproszę szklankę wody. Dziękuję.

- Tak, Sir John. - Kelnerka prawie się ukloniła i wymiotło ją po wodę.

- Się nie powinno tego robić - powiedział chrapliwie Bigmac. - Powinno się ustawić w kolejce.

- Nie, to wy powinniście się ustawić w kolejce - poprawił go Sir John. - Ja nie muszę.

- Zawsze nazywano pana: Sir John? - spytał podejrzliwie Johnny.

Mężczyzna mrugnął porozumiewawczo.

- Wiesz, prawda? Domyśliłeś się i masz rację. Nazwisko łatwo zmienić, zwłaszcza podczas wojny. Wydawało mi się, że tak będzie lepiej. A tytułu szlacheckiego dorobiłem się w 1964 za zasługi w zarabianiu naprawdę dużych pieniędzy.

Kelnerka wróciła z wodą, postawiła ją przed Sir Johnem i zamarła z notesem w ręku. Spoglądała na resztę siedzących przy stoliku z uśmiechem kogoś, kto spodziewa się lada moment czegoś mało przyjemnego.

- Poproszę... a, co mi tam: poproszę wszystko - zaryzykował Yo-less.

- Ja też - zawtórował mu Bigmac.

- Cheeseburgera? - Johnny nie był aż takim ryzykantem.

- Chillibeanburgera - dodała Kirsty. - I chcę się wreszcie dowiedzieć, co się dzieje, zgoda?

Sir John spojrzał na nią dziwnie i skinął na kelnerkę.

- A ja poproszę ze wszystkim- powiedział wolno i uważnie, jakby cytując coś, co słyszał dawno temu - bo chcę zostać muzułmaninem.

- Buddystą! - jęknął odruchowo Yo-less. - Zawsze palisz ten do w... - A potem szczęka mu opadła.

- Zawsze? - spytał uprzejmie Wobbler.

- Cóż... czekałem trochę, ale nie wróciliście- zaczął wyjaśniać Wobbler, gdy zamieszanie przy stoliku nieco się uspokoiło. - A więc...

- Ależ wróciliśmy! To jest: wrócimy! - przerwała mu Kirsty.

- Atu się właśnie zaczynają problemy, o których wie Johnny. Założmy, że nie wróciliście? Bo się baliście albo się okazało, że nie możecie. Istnieje taka możliwość, a to oznacza, że przyszłość przebiega dwutorowo. W jednej wróciliście, w drugiej nie. Teraz jesteście w przyszłości, w której nie wróciliście. Jestem w niej od 1941 roku. Nad tą dwutorowością nie radzę się za bardzo zastanawiać, bo szkodzi. Wiem, bo próbowałem. Wracając do tematu... z początku mieszkalem u Seeleyów, tych, których spotkałem pierwszego dnia. Ich syn służył w Royal Navy, więc wszyscy sądzili, że jestem nieco tępawym ewakuowanym. I tak po trochu... podczas wojny ludzie nie zadają zbyt wielu pytań, zwłaszcza gdy chodzi o jednego grubego chłopaka. Seeleyowie byli naprawdę mili. W pewnym sensie... zaadoptowali mnie po tym, jak ich syn został storpedowany. Po paru latach musiałem się jednak wyprowadzić.

- Dlaczego? - spytała Kirsty.

- Bo wolałem nie spotkać własnych rodziców albo czegoś podobnego. - Wobbler wciąż miał problemy z oddechem. - Historia i tak pełna jest plam, łat, szwów i innych fastryg, po co je zwiększać? Zmiana nazwiska nie była problemem. W czasie wojny giną archiwa, podobnie jak ludzie; można zniknąć i pojawić się gdzieś indziej jako ktoś zupełnie inny. Zwłaszcza w wojsku zaraz po wojnie.

- Byłeś w wojsku? - Bigmac omal nie spadł z krzeselka.

- Wszyscy byli. To się nazywało National Service. Ja trafiłem do Berlina. A potem wróciłem i trzeba było zacząć zarabiać na życie. Chcesz następnego milkshake'a, Bigmac? Prywatnie odradzam, wiem, z czego są robione.

- Mogłeś wynaleźć komputer- zarzucił mu Bigmac.

- Tak? A jak ci się wydaje, kto by słuchał w takich sprawach młokosa, który nawet nie był na uniwersytecie? A poza tym... popatrz no na to... - Wobbler ujął plastikowy widelec jednorazowego użytku i popukał nim w blat. - Wyrzucamy ich codziennie miliony. Po pięciu minutach użytkowania lądują w śmieciach, tak?

- Tak - odparła Kirsty, obserwująca nieco nerwowo personel, który z kolei w nabożnym skupieniu obserwował Wobblera.

Wyglądało to mniej więcej tak, jak w uczciwym klasztorze, do którego wpadł na herbatkę Święty Piotr.

- Sto lat temu uznano by je za cudowny owoc ludzkiego geniuszu, a teraz wyrzuca się je, nawet o tym nie myśląc. Dobra, kto wie, jak się je robi?

- No... potrzebna jest ropa i... chyba coś o tym pisze w książce do fizyki albo chemii...

- Nikt nie wie - stwierdził z satysfakcją Wobbler. - Ja zresztą też.

- Nie martwiłabym się tym - odezwała się niespodziewanie Kirsty. - Wzięłabym się za pisanie s.f.: lądowanie na Księżycu, obcy i takie tam.

- Ty byś się wzięła i może by cię nawet zaczęli wydawać. - Wobbler ze zmęczoną miną zaczął się macać po kieszeniach płaszcza. - Ja nigdy nie miałem smykałki do słów... No, więc otworzyłem bar hamburgerowy.

Johnny rozejrzał się i zaczął się uśmiechać ze zrozumieniem.

- Właśnie - przytaknął Wobbler. - W 1952 roku. O barach hamburgerowych wiedziałem wszystko, od tekturowych czapek dla obsługi po skład potraw. Po pierwszym roku miałem trzy, po drugim dziesięć. Teraz parę tysięcy. Konkurencja po prostu nie miała szans, bo ja wiedziałem, co się sprawdzi, a nawet kiedy. Ketchup w odpowiednich naczyniach, urodzinowe przyjęcia dla dzieci, kłown Willie Wobbler...

- Willie Wobbler? - spytała najwyraźniej będąca pod silnym wrażeniem Kirsty.

- To były bardziej niewinne czasy... - Wobbler uśmiechnął się. - A potem zacząłem wprowadzać inne rzeczy: miękki papier toaletowy na początek. To, czego oni tu używali, mogło zastąpić w razie potrzeby papier ścierny, i to nie drobnouziarnisty. A potem miałem już tyle pieniędzy i czasu, że mogłem zacząć słuchać ludzi. Ludzi z pomysłami, ale bez gotówki. Na przykład ktoś ma pomysł, jak zrobić naprawdę mały magnetofon, który można nosić przy sobie, albo urządzenie do nagrywania na taśmę sygnału telewizyjnego, żeby go można było później obejrzeć. Daję takiemu pieniądze i zakładam z nim firmę, żeby to produkować. Przy okazji podsunę jakiś pomysł, na przykład nagrywanie na taką taśmę filmów.

- To nieuczciwe! - obruszyła się Kirsty. - To jak... oszustwo.

- Dlaczego? - zdziwił się szczerze Wobbler. - Każdy z tych facetów był szczęśliwy jak nie wiem co i jeszcze bardziej zaskoczony, że chciałem ich wysłuchać, bo dotąd wszyscy traktowali ich jak wariatów. Przyszynę, że na tym zarobiłem, ale oni też.

- To jesteś milionerem? - olśniło Bigmaca.

- Nie, milionerem to byłem w pięćdziesiątym piątym, teraz jestem miliarderem. - Wobbler pstryknął ponownie i do stolika podszedł kierowca w czarnym uniformie, który tymczasem zjawił się w lokalu.

- Hickson, czy ja jestem miliarderem?

- Wielokrotnym, Sir.

- Tak sądziłem. I chyba mam jakąś wyspę... zaraz, jak ona się nazywa... Tasmania... tak, na pewno Tasmania.

Wobbler ponownie obmacał kieszenie i z jednej wyjął cienkie srebrne etui, z którego wysypały dwie białe pigułki. Połknął je, popił wodą i skrzywił się, jakby go zęby rozboleły.

- Nie ruszyłeś swojego hamburgera ze wszystkim - zauważył bacznie go obserwujący Johnny.

- A nie, zamówiłem go, żeby szybciej wytłumaczyć, kim jestem. Nie wolno mi jeść takich rzeczy, bo jestem na ścisłej diecie: żadnego sodu, cholesterolu, cukru czy skrobi. Ta woda nie jest destylowana, więc pewnie też szkodliwa.

Kierownik lokalu wreszcie zebrał się na odwagę i nieśmiało podszedł do stolika.

- Sir John! To prawdziwy zaszczyt...

- Tak, wiem. Dziękuję. Wystarczy, proszę dać mi spokój, rozmawiam z przyjaciółmi...

- Wobbler urwał i uśmiechnął się złośliwie. - Frytki są w porządku, Bigmac? A milkshake, Yo-less? Ma właściwą konsystencję?

Zapytani spojrzeli odruchowo na kierownika z plaketką "Nazywam się KEITH". Minę miał niezwykle nabożną.

- Eee... dobre - ocenił Bigmac.

- Świetne - zawtórował mu Yo-less. Keith omal nie zemdłał.

- Zawsze są dobre - dobił go Yo-less.

- I mam nadzieję, że zostaną dobre - pomógł mu z entuzjazmem Bigmac.

Keith pospiesznie przytaknął.

- Generalnie jesteśmy w soboty - poinformował go Bigmac. - Jakby trzeba było jeszcze coś sprawdzić...

- Dziękuję, Keith, możesz odejść - pożegnał kierownika Wobbler i mrugnął do Bigmaca, gdy tamten się upłynnił. - Wiem, że nie powinienem, ale to praktycznie jedyna rozrywka, jaka mi została.

- Dlaczego przyjechałeś tu akurat dziś? - spytał cicho Johnny.

- Nie mogłem się powstrzymać przed małym sprawdzeniem... - Wobbler go zignorował. - Pomyślałem sobie, że ciekawie byłoby obserwować samego siebie. Bez wtrącania się, naturalnie. No i wtedy dowiedziałem się, że się w ogóle nie urodziłem. Mój tata zresztą też nie. Mama mieszkała w Londynie i wyszła za kogoś innego. To jedna z zalet posiadania pieniędzy: prywatnych detektywów kupuje się na pęczki.

- Przecież żyjesz - stwierdziła Kirsty. - Toż to nonsens! Musiałeś się urodzić!

- Pewnie, że się urodziłem, tylko w innym czasie. W tej nogawce Spodni Czasu, w której wszyscy się urodziliśmy. Potem wróciłem w czasie z wami i coś się spieprzyło. Nie jestem pewien co... więc muszę wracać dłuższą drogą. Można powiedzieć, że zamiast podróży w czasie mam spacer w czasie.

- Jestem pewna, że to nie jest logiczne - stwierdziła Kirsty.

- Czas w ogóle nie jest logiczny. - Wobbler wzruszył ramionami. - On się zawija wokół ludzi i pewnie ma masę luźnych końców. Czasami takie końce są niezbędne, inaczej spaghetti byłoby po prostu wstydliwym doświadczeniem. Rozmawiałem o tym z wieloma naukowcami... banda utytułowanych durni! Im który ma wyższy tytuł, tym głupszy! Czas jest w naszych umysłach, każdy głupi może to zobaczyć...

- Jesteś chory, prawda? - przerwał mu cicho Johnny.

- Aż tak widać?

- Pigułki zamiast hamburgera i kłopoty z oddychaniem są raczej widoczne. Wobbler uśmiechnął się, ale tym razem bez cienia radości.

- Cierpię na życie - odparł - ale jestem już prawie uleczony.

- Posłuchaj, przecież cię tu nie zostawimy. - Kirsty najwyraźniej wbrew sobie próbowała mówić spokojnie i rozsądnie. - Wrócimy po ciebie!

- Dobrze - odparł spokojnie Wobbler.

- Nie masz nic przeciwko temu? No, bo jak wrócimy, to przestaniesz istnieć... a przestaniesz?

- Gdzieś na pewno będę istniał.

- Zgadza się - wtrącił Johnny. - Wszystko, co się wydarzyło... gdzieś zostaje! Tych czasów równoległych jest cała masa.

- Zawsze miałeś wyobrażnię większą od głowy, to potem przechodziło na innych - przyznał Wobbler. - Co to ja jeszcze chciałem... aha. Myślę, że powinienem dać to...

W tym momencie szofer wykazał samodzielność.

- Eee... Sir, wie pan, że Zarząd chciał... - zaczął, podchodząc doń.

Przerwała mu nagle aktywność Wobblera, który błyskawicznym ruchem trzasnął laską w blat, aż nie dojedzone frytki Bigmaca podskoczyły.

- Naucz się wreszcie, do cholery, że to ja ci płacę! Zarządowi też, więc niech czeka! Jeszcze nie do końca jestem martwy, a tego, kim jestem, nie zawdzięczam słuchaniu prawników! Teraz masz wolne! Sio! - Po czym spokojnie sięgnął do kieszeni, wyjął z niej kopertę i podał ją Johnny'emu. - Nie mam prawa żądać od was, abyście wrócili. Miałem tu całkiem niezłe życie, w sumie rzecz biorąc...

- Ale... - dodał Johnny, widząc przez szklane drzwi czterech motocyklistów i samochód wjeżdżający na parking.

- Przepraszam? - zdziwił się Wobbler.

- Następnie miałeś powiedzieć "ale" - wyjaśnił Johnny, obserwując mężczyzn pośpiesznie zbliżających się ku drzwiom.

- Faktycznie. Ale jeśli wrócicie, to napisałem ten list... wiesz, komu go oddać. Wiem, że nie powinienem tego robić, ale kto zrezygnowałby z takiej okazji?! - Wobbler wstał.

A raczej próbował, bo za oparcie jego krzesła złapał Hickson, ale cofnął się, widząc wymowny gest laską.

- Nigdy się nie ożeniłem ani nie miałem dzieci - dodał Wobbler, wspierając się na lasce. - W sumie nawet nie wiem dlaczego. Jakoś tak... nie wydawało mi się to właściwe. Chcę być znowu młody... gdziekolwiek.

- Wrócimy- powiedział Johnny cicho, ale dobitnie. - Uczciwie.

- To dobrze, ale widzisz... to nie tylko kwestia powrotu. Trzeba jeszcze zrobić to, co należy.

A potem odszedł ku grzecznie czekającym mężczyznom w ciemnych garniturach, którzy natychmiast go otoczyli. Bigmac tak się na to zapatrzył, że nawet nie zwrócił uwagi na mieszaninę musztardy, keczupu, chili i czegoś wściekle zielonego, która wypłynęła z hamburgera wprost do jego rękawa.

- No... - mruknął Yo-less. - Też tak będziemy kiedyś wyglądać?

- Starzy? Pewnie będziemy... - pocieszył go Johnny.

- Przecież Wobbler nie może być taki stary! - Bigmac zainteresował się zawartością swojego rękawa. - O rety!

- Musimy po niego wrócić! - zdecydował Johnny. - Nie możemy pozwolić mu zostać...

- Bogatym? - spytał uprzejmie Yo-less. - Bo na starość to raczej nic nie poradzimy: każdy tak ma.

- Jeśli go sprowadzimy, to ten stary... tutaj przestanie istnieć - zauważyła Kirsty.

- Nie przestanie - uspokoił ją Johnny - ale będzie istniał tylko tutaj, nigdzie więcej. Zresztą myślę, że on w ogóle nie będzie długo istniał... gdziekolwiek.

- Co jest w tej kopercie? - spytała Kirsty, gdy wyszli.

Johnny musiał przyznać, że go zaskoczyła - zwykle wyglądało to tak, że stwierdzała: "Zobaczmy, co tam jest", wyjmując mu to z ręki.

- To dla Wobblera - wyjaśnił.

- Napisał list do samego siebie?! O czym?

- A skąd mam wiedzieć?! Nie czytuję cudzej korespondencji, zwłaszcza zaklejonej! - zirytował się Johnny i żeby uciąć dalszą dyskusję, wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni kurtki. - Ci kulturyści z zadyszka powinni już skończyć. Chodźcie.

- Zarazi - Kirsty najwyraźniej wróciła już do normy. - Skoro wracamy do 1941 roku, to może tym razem udalibyśmy się tam odpowiednio przygotowani, co?

- Ano - przytaknął Bigmac. - Trzeba się uzbroić!

- Raczej właściwie ubrać! - poprawiła go energicznie.

"Młoda damo..."

Godzinę później spotkali się za kaplicą na niewielkim, ponurym podwórku, gdzie zostawili wózek.

- W porządku, gdzie znalazłeś to wdzianko, Johnny? - powitała go Kirsty.

- Dziadek ma na strychu masę różnych rzeczy. To są jego stare spodenki piłkarskie, a pulowery nosi, odkąd go pamiętam. A ten pojemnik jest z 1940 roku, mam w nim wszystkie papiery dotyczące projektu, na wszelki wypadek. Pojemnik jest oryginalny, wtedy noszono w nich maski przeciwgazowe.

- Tak? - zdziwił się Bigmac. - Myślałem, że pierwowzór walkmana.

- Jak wyrzucisz czapkę, może być- oceniła Kirsty. - Bo w niej dopiero zaczynasz się od nosa. Yo-less, co ty, na litość boską, masz na sobie?

- Obaj z Bigmakiem poszliśmy do tego sklepu na Wallace Street, gdzie sprzedają kostiumy teatralne. -Yo-less nieco nerwowo przestąpił z nogi na nogę. - No i to żeśmy wybrali...

Yo-less miał szerokoskrzydły kapelusz, buty, na których zmieściłaby się opona samochodowa, i ciasne spodnie. Przynajmniej to, co z nich było widoczne, było ciasne.

- A to na wierzchu, to co? - spytał Johnny, nie ukrywając niesmaku.

- Płaszcz, a co ma być?! - zaniepokoił się Yo-less.

- Może i płaszcz, ale dlaczego czerwony? - spytała ze zgrozą Kirsty. - Jako kolor maskujący jest wręcz idealny: na pewno nikt cię nie zauważy. A te spodnie wkładałeś na mokro czy na tłuszcz?

- Sprzedawca twierdził, że to strój z tego okresu - zaprotestował Yo-less.

- Dla saksofonisty albo innego handlarza żywym towarem - mruknął Johnny. - Fakt, że nigdy cię w czymś podobnym nie widziałem.

- Dlatego to jest przebranie - poinformował go radośnie Yo-less.

Kirsty przyjrzała się dokładniej ostatniemu uczestnikowi wycieczki i słowa uwięzły jej w gardle.

- Bigmac, możesz mi powiedzieć, dlaczego mam wrażenie, że czegoś nie zrozumiałeś? - spytał niezwykle spokojnie Johnny.

- Mówiłem mu! - jęknął Yo-less. - Ale nie słuchał.

- Ten w sklepie zaklinał się, że nosili to w czasie całej wojny - oburzył się Bigmac. - No to w czterdziestym pierwszym też, nie?

- Owszem. - Kirsty odzyskała zdolność mowy. - Ale nie sądzisz, że ludzie mogą zauważyć, że to niemiecki mundur?

- Naprawdę? - Bigmac był wstrząśnięty. - Myślałem, że Yo-less sobie jaja robi... Przecież oni mieli swastyki i inne takie.

- To gestapo. A ty sobie wybrałaś najpopularniejszy uniform szeregowego Wehrmachtu. To była ich armia i co jak co, ale ten mundur wszyscy znają!

- To co miałem zrobić? Poza tym były tylko kolczugi!

- Zostaw kurtkę i hełm, reszta wygląda jak w każdym innym mundurze, może nie zauważą.

- A tak w ogóle dlaczego założyłaś futro? - zdziwił się Johnny. - Jeszcze jest całkiem ciepło, a poza tym zawsze twierdziłaś, że noszenie skór martwych zwierząt to odmiana morderstwa.

- No, ale ona zawsze to mówi tylko starym babom w kosztownych futrach - mruknął Bigmac. - Żadnemu motocykliście jeszcze uwagi nie zwróciła, a łażą w skórach, no nie?

- Dokładnie sprawdziłam. - Kirsty zignorowała go, poprawiając torebkę i kapelusz. - To strój z epoki.

- A te wypchane bary jak u zapaśnika?

- Tak wypchane ramiona były wtedy szczytem mody.

- W drzwiach się mieścisz czy musisz przechodzić bokiem? - zainteresował się Yo-less.

- Może skończylibyśmy już z tymi złośliwościami?

- Spokoju mi nie daje to, co powiedział stary Wobbler o tym, że żeby go zabrać z powrotem, musimy coś właściwie zrobić - powiedział Yo-less. - Co zrobić?! I co to jest "właściwie"?

- Będziemy musieli się dowiedzieć - stwierdził rozsądnie Johnny. - Nie mówił, że to będzie łatwe.

- Dobra, może byśmy się już wzięli do roboty? - zaproponował Bigmac, otwierając drzwi. - Brakuje mi Wobblera.

- Dlaczego? - zainteresowała się Kirsty.

- Bo nie umiem pluć prosto - warknął zły nagle Bigmac.

Zziamam amatorzy kondycji w wieku emerytalnym dawno już wytoczyli się do domów, toteż bez problemów ustawili wózek na środku podłogi. Śpiący na workach Guilty nawet nie otworzył oka.

- Hmm... to nie są czary? - upewnił się Yo-less.

- Wątpię. To pewnie tylko bardzo, bardzo dziwna nauka - odparł Johnny.

- To dobrze... eee, a jaka jest różnica?

- Yo-less, kogo to obchodzi? - jęknęła Kirsty. - Do roboty!

Guilty zaczął mruczeć.

Johnny ujął worek, który zdawał się drgać w jego uchwycie, i ostrożnie go rozwiązał. Skoncentrował się.

Tym razem było łatwiej - poprzednio został po prostu wciągnięty niczym korek płynący z prądem w rurę kanalizacyjną. Teraz wiedział, dokąd się udaje, i czuł czas. Umysł

bowiem przesuwwały się w czasie, worki zaś były niezbędne, by umożliwić ten ruch ciałom. Właśnie tak, jak mówiła pani Tachyon.

Lata wpadły do worka niczym woda po wyjęciu zatyczki ze zlewu. Z pomieszczenia - można by rzec - wyszło czas... a potem były w nim ławki i zapach wypastowanej świętości.

I Wobbler obracający się z otwartą gębą.

- ...co?!

- W porządku, to my - uspokoił go Johnny.

- Dobrze się czujesz? - spytał równocześnie Yo-less. Wobbler może nie był najbystrzejszy w okolicy, ale przyglądając im się, natychmiast nabrał dziwnych podejrzeń, co było wyraźnie widać po jego minie.

- Co jest? - spytał równie podejrzliwym tonem. - Co mi się przyglądacie, jakby mi róg na czole wyrósł? I po coście się tak poprzebierali? Dlaczego Bigmac się wystawił w niemiecki mundur?

- Widzisz? - ucieszył się Yo-less. - Mówiłem ci, to nie chciałeś słuchać!

- Wróciliśmy po ciebie - odezwał się Johnny. - Poza tym wszystko w porządku.

- Jasne, że w porządku - zawtórował mu Bigmac. - Słuchaj: nie czujesz się przypadkiem... stary?

- Po pięciu minutach? - zdziwił się Wobbler.

- Coś ci przyniosłem. - Bigmac wyjął z kieszeni coś prostokątnego, w miarę płaskiego i zdecydowanie sfatygowanego. Niemniej było to jedyne aktualnie istniejące na ziemi pudełko ze styropianu. Wewnątrz zaś był big Wob... ze wszystkim.

- Rąbnąłeś go? - zainteresował się Yo-less.

- Nie, zaoszczędziłem. Ten stary mówił, że nie będzie go jadł, to by się zmarnowało, nie? A poza tym to w końcu jego, nie? Czyli można powiedzieć, że...

- Chyba nie zamierzasz tego zjeść? - spytała pospiesznie Kirsty. - Jest zimny, tłusty i był u Bigmaca w kieszeni kurtki, diabli wiedzą jak długo i w jakim towarzystwie.

Wobbler uniósł wieko.

- Zjadłbym go, nawet gdyby go żyrafa oblizała-oznajmił stanowczo. I ugryzł. - Niezłe! Skąd to? - Obejrzał pudełko i sprecyzował: - Co to za stary pryk z brodą?

- A, jakiś tam pryk - zbagatelizował Johnny.

- Taak, nic o nim nie wiemy. Zupełnie - zawtórował mu Bigmac.

Wobbler przyjrzał się im podejrzliwie.

- O co tu chodzi? - spytał równie podejrzliwie.

- Nie mogę ci teraz wytłumaczyć - westchnął Johnny. - Chwilowo zablokowało cię tutaj... hmm, no, coś poszło nie tak... no... jest jakiś hak.

- Jaki hak?

- Hmm... duży.

Wobbler przestał jeść: sprawa była poważna.

- Jak duży?

- Hmm... nie zamierzasz się urodzić... Wobbler spojrzał na Johnny'ego, a potem na nie dojedzonego hamburgera i znowu na Johnny'ego.

- Jem tego hamburgera? - spytał raczej kategorycznie. - To są ślady moich zębów?

- Słuchaj, to naprawdę jest proste! - włączyła się Kirsty. - Tu jesteś jak najbardziej żywy, ale kiedy tu przybyliśmy pierwszy raz, musiało się wydarzyć coś, co zmieniło przyszłość. Każdy swoim postępowaniem ją zmienia, wszystkim, co robi. I przez to powstały dwie przyszłości albo dwie historie, zależy, z której strony się na to patrzy. W jednej rodzisz się, ale następują zmiany, i gdy wróciliśmy, znaleźliśmy się w innej: w tej, w której się nie urodziłeś. Teraz musimy przywrócić pierwotny stan rzeczy i wtedy wszystko będzie w porządku.

- Przypadkiem ty też nie masz półki kaset ze Star Trekiem? - spytał Wobbler, któremu podejrzliwość zaczynała wchodzić w krew. - Albo trzech?

Kirsty wyglądała, jakby coś jej nagle spadło na głowę.

- Cóż... no... hmm... jedną albo dwie... no, kilka... niewiele... no i co z tego? Prawie ich już nie oglądam!

- Hej! - Yo-less wyraźnie się ucieszył. - A masz ten odcinek, w którym tajemnicza siła...

- Zamknij się! I to zarazi To, że serial jest odzwierciedleniem problemów społecznych końca dwudziestego wieku, wcale nie znaczy, że można się nabijać z ludzi, którzy oglądają go z czysto akademickim zainteresowaniem!

- A mundur floty też masz? - spytał nie zrażony Yo-less.

Kirsty rozkwitła jak piwonia.

- Jeżeli którykolwiek z was komukolwiek o tym powie, będzie miał naprawdę poważne problemy - ostrzegła. - Mówię serio!

Johnny otworzył drzwi kaplicy. Na zewnątrz środowe popołudnie zmieniało się w środowy wieczór. Padał drobny deszczyk, a powietrze pachniało węglem, octem i drewnem z lekką domieszką ciepłej gumy.

W 1941 roku w Blackbury robiono rozmaite rzeczy. Kominy dymiły...

W 1996 roku w Blackbury nie robiono niczego. Były co prawda magazyny, był zakład składający komputery i siedziba regionalna Departamentu Znaków Drogowych, ale w praktyce ludzie jedynie przekładali rzeczy z miejsca na miejsce albo dodawali numerki.

- Więc dobrze, oglądam niektóre filmy fantastycznonaukowe - rozległ się z tyłu wyjątkowo miły głos Kirsty. - Przynajmniej wybieram, co oglądam, i podchodzę do tego krytycznie, a nie gapię się na wszystko, w czym tylko strzelają z laserów.

- Przecież nikt nie mówi, że to robisz - powiedział rozwścieczające rozsądnie Yo-less.

- Nie pozwolicie mi tego zapomnieć, co?

- Nie mam zamiaru do tego wracać - poinformował ją z godnością Yo-less. - Nigdy.

- A jak wróci, to niech nas rozszarpią dzicy weganie - dodał Bigmac.

- Bigmac, weganie to tacy, co nie jedzą zwierzęcych produktów - jęknął Yo-less. - Chodziło o Wulkanów. Tych, co mają zieloną krew...

- Może byście się łaskawie zamknęli! - zaproponował nieoczekiwanie Wobbler. - Ja tu się jeszcze nie urodziłem, a wy się kłócie o głupich obcych.

- Może się zastanowimy, co zrobiliśmy, że zmieniliśmy przyszłość? - zaproponował Johnny.

- Praktycznie wszystko. - Kirsty była wyraźnie zniechęcona. - A Bigmac jeszcze zostawił mnóstwo rzeczy na posterunku.

- Strzelali do mnie...

- Brutalna prawda jest taka, że cokolwiek z tego, co zrobiliśmy, mogło zmienić przyszłość. - Yo-less też nie tryskał optymizmem. - Mogliśmy wpaść na kogoś, kto się spóźnił przez to o pięć sekund z przejściem przez ulicę i samochód go rozjechał. To tak jak z tym rozdeptaniem dinozaura. Najmniejszy drobiazg może zmienić całą naszą historię.

- Bzdura! - oburzył się Bigmac. - Rzeka zawsze płynie w tę samą stronę, niezależnie, w którą stronę płyną ryby.

- Eee... - odezwał się Wobbler. - Był tam smarkacz...

Powiedział to w specyficzny, powolny sposób, tonem kogoś, kto się boi, że właśnie odkrył coś naprawdę ważnego.

- Jaki smarkacz? - zainteresował się Johnny.

- Jakiś smarkacz. Uciekał z domu czy coś... nie: uciekał do domu. Taki w portkach do kolan i z muchami w nosie...

- Co znaczy "uciekał do domu"?

- No bo narzekał, że go tu ewakuowali i że ma tego wszystkiego dość i ucieka do Londynu, czyli do domu - wyjaśnił niechętnie Wobbler. - Tyle że potem zaczął za mną leźć, rzucać kamieniami i wyzywać od szpiegów. Pewnie dalej się tam kręci. Pobiegł tą ulicą, tam.

- Paradise Street? - upewnił się Johnny.

- Chyba... a co z nią? - zaniepokoił się Wobbler.

- Będzie w nocy zbombardowana - oświeciła go Kirsty. - Johnny ma na tym punkcie hopla.

- Że też Niemcom chce się marnować bomby na takiego - zdziwił się Wobbler. - On był praktycznie po ich stronie...

- Jesteś pewien, że to była Paradise Street? - spytał Johnny. - Masz tam jakichś krewnych? Dziadków albo pradiadków?

- Skąd mam wiedzieć? Przecież oni żyli wieki temu!

- No dobrze. - Johnny spróbował się uspokoić, co po paru głębszych oddechach mu się udało.

- Nnnie wiem! - Wobbler poczuł się w obowiązku rozwinąć temat. - Jeden z moich

dziadków żyje w Hiszpanii, a drugi zginął, zanim się urodziłem!

- Jak? - Kirsty przejęła rolę inkwizytora.

- Spadł z motoru w 1971 roku. - Wobbler nagle się uspokoił. - Widzicie, wszystko w porządku.

- Wobbler, nic nie jest w porządku - westchnął Johnny. - Gdzie on mieszkał?

Wobblerem zaczęło trząść, co było normalną reakcją na nadmiar wrażeń.

- Nie wiem! Pewnie w Londynie... tata mówi, że dziadek był tu w czasie wojny, a potem przyjechał z wizytą i spotkał babcię... ek... ek!

- Nie przerywaj sobie - zachęcił go Johnny.

- Ek!... Ek!... - Wobbler wyraźnie się zaciął.

- Ile on miał lat, kiedy zginął? - Yo-less uznał za stosowne włączyć się w przesłuchanie.

- Ek! Czterdzieści, tak mówił tata. Motor kupił sobie na urodziny.

- To w 1941 roku miałby z dziesięć lat... - mruknął Johnny.

- Ek!... Ek!

- Myślisz, że to ten smarkacz? - sprecyzował Yo-less jako szybszy z matematyki.

- No! Jeszcze może miałem go zapytać, czy nie zamierza być moim dziadkiem? - rozżłościł się nagle Wobbler. - I poradzić, żeby trzymał się z dala od motorów?

Johnny z pojemnika na maskę przeciwigazową wyjął mocno zużytą stertę papierów i zaczął je przeglądać.

- On podał może jakieś nazwisko? Ten smarkacz, znaczy się?

- Ek!... Jakaś panią Density! - Wobbler wymusił na swojej pamięci niebywały wysiłek.

- Numer jedenasty. - Johnny wyjął fotokopię jakiegoś artykułu. - Mieszkała z córką Gladys.

- Moja babka miała na imię Gladys! - bąknął Wobbler. - Chcesz powiedzieć, że ponieważ on nie uciekł do Londynu, to zginie tej nocy i przez to się nie urodzę?

- Całkiem możliwe - stwierdził Yo-less.

- To co się ze mną stanie?

- Będziesz musiał tu zostać - odparł Johnny.

- Ani mowy! Tu jest okropnie! W kinie grają same starocie i to czarno-białe. W knajpie na tablicy pisze, że podają "Mięso i dwa warzywa"; co to ma być za jedzenie? Nawet Hongkong Henry pisze, jakie mięso! A wszyscy się tu ubierają, jakby przyjechali z Rosji albo innej Polski! Tu można oszaleć!

- Mój dziadek zawsze mówił, że jak był mały, to dopiero mieli fajnie, choć nic nie mieli - zaoponował Bigmac.

- Każdy dziadek tak mówi - zgasiła go Kirsty. -To odruchowe, tak samo jak stwierdzenie: "Co? Pięćdziesiąt pensów za batonik?! Jak ja byłem w twoim wieku, to

kupowałem takie za sześciopensówkę i jeszcze dostawałem resztę!”

- Oni mieli fajnie, bo nie wiedzieli, czego nie mają -zauważył Johnny.

- A ja wiem - westchnął Wobbler. - Wiem o jedzeniu, które ma więcej niż dwa kolory, o stereo, o uczciwej muzyce, o... no, o wszystkim. I chcę do domu!

Wszyscy odruchowo spojrzeli na Johnnny'ego.

- Ty nas tu ściągnąłeś... - zauważył Yo-less.

- Ja?!

- A kto? - spytała uprzejmie Kirsty. - A konkretnie to twoja wyobraźnia. Jest dla ciebie za duża, tak jak powiedział Sir J..., jak zawsze uważałam, i ciągnie za sobą wszystkich wokół. Nie wiem dokładnie jak, ale wciąż. Cały czas myślałeś o tym nalocie, o Paradise Street, i proszę, gdzie wylądowaliśmy.

- Powiedziałaś, że to bez znaczenia, czy ją zbombardują, czy nie - oburzył się Johnny.

- Powiedziałaś, że to i tak historia!

- Ja nie chcę być historia! - miauknął Wobbler.

- Dobra, pomyliłam się, twoje na wierzchu - przyznała Kirsty. - To co mamy robić? Johnny ponownie zajął się papierami.

- Cóż... dowiedziałem się, że tej nocy była burza. Naprawdę solidna... piloci dostrzegli Blackbury i skorzystali z okazji, by pozbyć się bomb i jak najprędzej zawrócić. To się zdarza... zdarzało dość często. W mieście była... jest syrena alarmowa, która powinna uprzedzać o nalocie. Tylko że nie uprzedziła.

- Dlaczego?

- Proponuję sprawdzić - odparł Johnny, chowając papiery.

Syrena umieszczona była na słupie na jednym z dachów przy High Street. Nie wyglądała imponująco.

- To? - zdziwił się Yo-less. - Wygląda jak nadmuchane jo-jo.

- To faktycznie syrena przeciwlotnicza - potwierdziła Kirsty. - Widziałam zdjęcie w jakiejś książce.

- A jak to działa? Uruchamiane radarem czy jak?

- Radaru to oni chyba jeszcze nie wymyślili... - bąknął Johnny niepewnie.

- No to jak?

- Pewnie gdzieś jest włącznik...

- To musi być tam, gdzie się go nie da włączyć dla jaj - ocenił Yo-less. - Gdzieś, gdzie jest poważnie...

Odruchowo ich spojrzenia zjechały po słupie, dachu, ścianie, niebieskiej lampie i zatrzymały się na tabliczce z napisem:

POSTERUNEK POLICJI

- No, proszę! - ucieszył się Yo-less.

Siedli na ławce przy klombie po drugiej stronie ulicy, obserwując posterunek. Z

budynku wyszedł policjant, stanął w słońcu i przyglądał się im.

- Dobrze, że zostawiliśmy Bigmaca na straży wózka - odezwał się Yo-less.

- Zawsze miał alergię na policjantów - dodał Johnny.

- Znowu nie macie pojęcia, co zrobić! - westchnęła Kirsty. Wstała, podeszła do policjanta i odbyła z nim następującą rozmowę, doskonale zresztą słyszalną na ławce: - Przepraszam, panie policjancie...

- Słucham, młoda damo?- Policjant uśmiechnął się szeroko. - Wybrałaś się przewietrzyć mamy futro?

Oczy Kirsty zwęziły się.

- O rany! - westchnął Johnny.

- Co jest? - zainteresował się Yo-less.

- Twoja reakcja na "Sambo" to małe miki w porównaniu z tym, jak ona reaguje na "młodą damę".

- Właśnie się zastanawiałam - powiedziała przez zaciśnięte zęby młoda dama - jak działa ta duża syrena alarmowa?

- Nie łam sobie nad tym głowy, kochanie. To skomplikowane urządzenie: nie zrozumiałabyś.

Johnny zaczął się rozglądać za czymś do ukrycia. Najlepiej czymś dużym i solidnym. A potem przestał, gdyż siedział z opadniętą szczęką, słuchając, jak Kirsty przechodzi samą siebie.

- No bo ja się tak boję - pisnęła z głupawym uśmieszkiem. - Jestem pewna, że którejś nocy nadlecą bombowce pana Hitlera i ona nie zadziała. Spać ze strachu nie mogę!

Policjant położył jej dłoń na ramieniu i Johnny odruchowo zamknął oczy - Kirsty zmuszona była opuścić Blackbury Karate Club, ponieważ żaden z zawodników nie chciał do niej podejść bliżej niż na dwa metry.

- No nie, tak nie może być - obruszył się policjant. - Popatrz no na Blackdown: tam co noc dyżuruje pan Hodder i jego odważni pomocnicy. Jeśli pojawią się w pobliżu jakieś samoloty, oni wtedy zadzwonią natychmiast na posterunek, a my włączymy syrenę. Widzisz, nie ma się czego bać!

- A jak telefon się zepsuje?

- A to też nie problem. Wtedy któryś tu zaraz zjedzie na rowerze.

- Na rowerze?! To wszystko?

- To motorower. - Policjant spojrzał na nią nerwowo: w końcu wszyscy tak na nią spoglądali.

Kirsty spoglądała na niego bynajmniej nie nerwowo, ale uporczywie, toteż dodał:

- To Blackbury Phantom! - Ton sugerował, że powinno to wywrzeć wrażenie nawet na młodej damie.

- Tak? A to ulga! - Kirsty zaczynały puszczać nerwy. - To mnie pan uspokoił.

- I tak powinno być. - Policjant też wyglądał na zadowolonego, że rozmowa się kończy. - Nie masz się czego bać, kwiatuszku.

- No, to idę się pobawić lalkami - parsknęła Kirsty.

- Doskonały pomysł! - ucieszył się policjant, najwyraźniej nie rejestrując żrącej ironii nawet z bezpośredniej odległości. - Zaproś je na herbatkę.

Kirsty energicznie przemaszerowała przez ulicę i ciężko siadła na ławce.

- Pewnie, powinnam chyba faktycznie pobawić się lalkami, szlag by to! - warknęła, wpatrując się tępo w kwietnik.

Yo-less spojrzał pytająco nad jej głową.

Johnny odpowiedział mu identycznym spojrzeniem.

Żaden wolał się nie odzywać pierwszy.

- Nie słyszeliście, co on mi powiedział? - Kirsty nie wytrzymała przeciągającego się milczenia. - Ten cymbał był przekonany, że skoro jestem płci żeńskiej, to muszę być idiotką! Przecież to ludzkie pojęcie przechodzi! Wyobraźnia się kończy, jak się pomyśli, że można żyć w takich czasach, gdzie to nie jest karalne!

- Mnie wystarczy wyobrażanie sobie życia w czasach, w których bomba może wpaść przez sufit - stwierdził Johnny. - Ale jak tamto bardziej do ciebie przemawia...

- Przyzwyczajenie: tata zawsze mówi, że przez całe lata sześćdziesiąte żył w cieniu bomby atomowej. Pewnie dlatego do dziś nosi wściekle jaskrawe ciuchy. Laleczki! Może jeszcze w różowych sukieneczkach i różowych wstążeczkach... Przecież to ciemnota i zabobon!

Yo-less poklepał ją po ramieniu.

- Nie przejmuj się; on nie chciał cię obrazić. Tak został wychowany. W tych czasach tak to wyglądało. Przecież nie możecie się spodziewać, że zmienimy swoją własną historię.

Kirsty przyjrzała mu się z namysłem.

- To ma być złośliwość? - spytała podejrzliwie.

- Skądże! - oburzył się Yo-less. - Raczej przypomnienie...

- Dobrze, postaram się zapamiętać. A w ogóle co takiego specjalnego jest w tym całym motorowerze, co się tak kretyńsko nazywa: Blackbury Phantom?

- Produkowano je tutaj i w swoim czasie były całkiem sławne - wyjaśnił Johnny. - Mój dziadek miał taki.

- I to ma być wszystko? - spytała Kirsty z niedowierzaniem. - Paru facetów siedzących na wzgórzu i nasłuchujących?

Spojrzeli na Blackdown - w 1996 także górowało nad miastem, tyle że miało maszt telewizyjny.

- Blackbury nie było ważne i nikt nie sądził tak na poważnie, że zostanie zbombardowane - odpowiedział Johnny. - Robiono tu tylko dżemy, marynaty i kalosze...

- Zastanawiam się, co dziś w nocy pójdzie nie tak... - odezwał się Yo-less.

- Możemy się tam wspiąć i będziemy wiedzieć; to nie jest takie wysokie, jak się z dołu wydaje. To nawet niezły pomysł; chodźmy po pozostałych i...

- Zaraz! Może przestaniesz się miotać, a zaczniesz myśleć? - zaproponowała Kirsty.

- Skąd wiesz, że to nie my właśnie spowodujemy, że tej nocy coś pójdzie nie tak?

Johnny przez krótką chwilę wyglądał jak posąg. A potem przemówił:

- Jeśli zaczniemy w ten sposób myśleć, to nigdy niczego nie zdołamy zrobić.

- Już raz namieszaliśmy w przyszłości! Wszystko, cokolwiek zrobimy, może ją zmienić!

- Zawsze zmieniało i zawsze będzie zmieniać: i co z tego? Idziemy po pozostałych!

Biegnać w czasie

O korzystaniu z dróg mowy nie było, jako że policji wciąż szukała Bigmaca, choć nie tak energicznie jak kilka godzin temu. To, że Bigmac zdecydował się wrócić w mundurze niemieckiego żołnierza, mogło mieć wpływ na nawrót policyjnego entuzjazmu. Pozostały więc albo boczne drogi, albo skróty przez pole, a to niosło ze sobą kolejną niedogodność.

- Musimy zostawić wózek - sapnął Yo-less. - Możemy go wcisnąć w te krzaki...
- Pewnie! A jak go ktoś rąbnie, to utkniemy tu na zawsze! - oburzył się Bigmac.
- Kto ma ukraść? Wolisz go targać przez błoto i zarośla? Bo ja nie.
- A Guilty jest skuteczniejszy od dobermana - dodała Kirsty.

Kot, pod którego adresem padł ów komplement, otworzył jedno oko i ziewnął, ukazując przy tym coś, co można zobaczyć w koszmarach sennych. Na pewno nikt nie chciałby zostać ugryziony przez to coś, co Guilty miał w pysku - byłoby to równoznaczne z ugryzieniem przez laboratorium bakteriologiczne. A potem zwinął się w kłębek.

- Jest - zgodził się Johnny - ale on należy do pani Tachyon...
- No to co? Nie ubędzie go od spania w krzakach - zauważyła Kirsty i nagle ją olśniło.
- Przecież znów myślimy bez sensu: wystarczy wrócić do 1996, wjechać na górę autobusem i wrócić do 1941 roku. Nie musimy tam wędrować...

- Nie! - wrzasnął tyle przeraźliwie, ile zdecydowanie Wobbler. Twarz jego wyrażała jedno wielkie przerażenie. - Nie zostanę tu sam! A mnie z wami nie przeniesie, zapomniałaś? A jak nie wrócicie?

- Oczywiście, że wrócimy. Przecież wróciliśmy, no nie? - Johnny spróbował go uspokoić, ale była to próba z góry skazana na niepowodzenie.

- A jak wam się drugi raz nie uda? Rower was przejedzie albo inna ciężarówka? To co ze mną będzie?

Johnny pomyślał o kopercie. Yo-less i Bigmac spoglądali na własne buty, a Kirsty dziwnie milczała.

- No... - W Wobblerze zaczęły narastać podejrzenia. - Wy coś wiecie... coś strasznego.

- Nic nie wiemy - zaprzeczył odruchowo Bigmac.
- Absolutnie nic - poparła go Kirsty.
- My? - zdziwił się Johnny. - Nawet nie wiemy, która godzina.
- A w ogóle nic nie wiemy o hamburgerach - dodał Bigmac.
- Bigmac! - warknął Yo-less tonem ostatniego ostrzeżenia.

Wobbler przyglądał im się podejrzliwie.

- Aha - mruknął. - Znowu próbujecie mnie nastraszyć? To ja sobie poczekam przy wózku. Jego nikt nie ukradnie, a mnie nic nie będzie. Zgoda? - Spojrzenie towarzyszące

pytaniu mówiło jednoznacznie, że lepiej byłoby, gdyby nie nastąpił żaden sprzeciw.

- Dobra, zostanę z tobą - zaproponował Bigmac. - Jak gdzieś pójde, to pewnie i tak skończy się na tym, że będą do mnie strzelać.

- Zresztą, po co wy chcecie drapać się na Blackdown? - spytał uspokojony Wobbler.
- Poszukacie tego Hoddera i powiecie mu, żeby dokładnie nasłuchiwał? Czy żeby umył uszy? Albo zjadł kilo marchwi?

- Marchew jest na oczy, nie na uszy - przerwał mu Yo-less. - Przynajmniej moja mamusia tak twierdzi.

- Nie wiem, co zrobimy - odezwał się Johnny. - Ale coś musiało się stać albo raczej musi się stać, bo nie będzie alarmu. Może wiadomość nie dotarła na posterunek... Musimy się dowiedzieć i to naprawić...

- Popatrz! - przerwała mu Kirsty.

Słońce prawie zaszło, a nad Blackdown zbierały się chmury. Czarne chmury.

- Burza - dodała. - Zawsze się tam zbierają. W oddali rozległ się pomruk grzmotu.
Gdy znaleźli się na pewnej wysokości, mogli stwierdzić, że Blackbury jest mniejsze, niż byli przyzwyczajeni, a to dlatego, że znacznej części miasta jeszcze nie było.

- Byłoby dobrze, jakbyśmy mogli wszystkim powiedzieć, co będą robili źle - wysapał Johnny, gdy zrobili przerwę na złapanie oddechu.

- Nikt by nie słuchał - sprzeciwił się Yo-less. - Jakby się tacy pojawili w 1996, twierdząc, że są z 2040 roku, i zaczęli się we wszystko wtrącać, to uważasz, że co by było? Aresztowali by ich jak nic.

Johnny bez słowa przyjrzał się zachodzącemu za czarne chmury słońcu.

- Będą na Tumps - oceniła Kirsty. - Tam jest stary wiatrak. W czasie wojny było tam stanowisko nasłuchu przeciwlotniczego. To znaczy jest.

- Dlaczego wcześniej tego nie powiedziałaś? - skrzywił się Johnny.

- Bo jak to, co było, jest teraz, to mi się wszystko myli.

Tumps stanowiło pięć kopców usytuowanych na kredowym wzgórzu. Porastały je wrzosa i trudne do zidentyfikowania jagody. Wieść niesła, że pod każdym spoczywa król, z czasów gdy wroga miało się na długość ręki, a nie trzy kilometry nad głową.

Chmury szły coraz niżej, powoli zmieniając się w złośliwą mgłę otulającą wzgórze, typową dla silnych burz nawiedzających Blackbury.

- Wiesz, co myślę? - spytała Kirsty, gdy ruszyli w dalszą drogę.

- Linia telefoniczna - odparł Johnny. - Jak będzie solidna burza, przestaną działać.

- Właśnie.

- A motorower? - spytał Yo-less.

- Pamiętam, co mój dziadek mawiał o Blackbury Phantom: zanim zaczęło się nim jeździć, trzeba było nabrać kondycji w pchaniu go co najmniej pięćdziesiąt metrów, klnąc bez przerwy. Jak już zapaliły, były ponoć naprawdę doskonałe.

- Ile zostało... no, wiesz... do bomb?

- Około godziny.

To znaczy, że są już w drodze, pomyślał Johnny. Mechanicy załadowali bomby do bombowców, piloci usiedli i wystartowali po odprawie przed dużą mapą Anglii, tyle że po niemiecku, na której kredkami narysowano strzałki w okolicach Siatę. Bo celem tej nocy były magazyny w Siatę. Piloci też mieli mapy, tylko mniejsze, i na nich też Siatę było zaznaczone kolorowymi kredkami.

A potem uszy Johnny'ego wypełnił ryk silników. Czuł w nogach ich wibracje, a w nosie wierciło go od zapachu benzyny, potu i gumy, z której zrobiono maskę tlenową. Ciało dygotało w nierówny rytm eksplozji; od najbliższej rzuciło całym samolotem. I zrozumiał, jaki jest prawdziwy cel tego nalotu: wrócić cało do domu. To cel każdego nalotu.

Kolejny wybuch wstrząsnął samolotem i ktoś go szarpnął za ramię...

- Co?!

- Szału można dostać, jak się wyłączasz! - Kirsty przekrzykiwała znacznie silniejszy grzmot. - Rusz się wreszcie! Nie masz nawet na tyle zdrowego rozsądku, by nie tkwić na deszczu?!

- To się zaczęło dziać - szepnął, ignorując burzę.

- Co się zaczęło?

- Przyszłość.

Ulewa zaczęła się nagle, ale nie zwracał uwagi na mokre włosy przylepiające się do skóry. Czuł rozciągający się wokół czas, czuł jego wolny ruch niosący szare bomby ku wyczyszczonym progom i skupiający je w czymś, co przypominało wir. Wszyscy byli częścią tego ruchu i nic nie mogli na to poradzić. Nie da się kierować pociągiem, siedząc w wagonie.

- Lepiej poszukajmy jakiegoś schronienia. - Głos Yo-lessa prawie zagłuszyła błyskawica, która trafiła w coś nieopodal. - Nie wygląda to najlepiej!

Zataczając się, dotarli pod osłonę drzew przyginanych przez wicher, ale przynajmniej osłaniających na tyle, by można było spokojnie oddychać. Na jednym z kopców faktycznie stał wiatrak, choć od dawna już pozbawiony skrzydeł; cała trójka objęła się mocno i ruszyli biegiem przez ulewę do wejścia.

Prowadziło do niego kilka stopni, które pokonali błyskawicznie. Drzwi jednak okazały się zamknięte i Yo-less zaczął się do nich dobijać, nadrabiając brak sił entuzjazmem.

Po chwili drzwi uchyliły się odrobinę.

- Dobry Boże! - rozległo się z wewnątrz. - Coście za jedni? Z cyrku?

- Proszę nas wpuścić, on jest chory! - poleciła Kirsty.

- Nie mogę. - Głos był młody, ale uparty. - Tu nie wolno.

- Wyglądamy jak szpiedzy? - zdenerwował się Yo-less.

- Proszę! - dodała Kirsty, choć ton nie miał wiele wspólnego z prośbą.

Drzwi zaczęły się przymykać, znieruchomiały i w końcu się otwały.

- Dobrze, już dobrze... ale pan Hodder mówi, żebyście stanęli tak, żeby was było widać. Wchodźcie.

- Telefon nie zadziała - oznajmił Johnny, wciąż mający zamknięte oczy.

- O czym on mówi?

- Możecie sprawdzić, czy telefon działa? - spytała Kirsty.

- A dlaczego ma nie działać? - zdziwił się nastoletni właściciel głosu. - Sprawdzaliśmy go na początku dyżuru... Ktoś majstrował przy drutach?!

Przy stole, na którym stał telefon, siedział starszy mężczyzna, który powitał ich podejrzliwym spojrzeniem. Podejrzliwość i spojrzenie skoncentrowały się na Yo-lessie.

- Lepiej sprawdź telefon - polecił. - Nie podoba mi się to wszystko. Coś jakby podejrzane.

Młodszy sięgnął po słuchawkę.

Na zewnątrz huknęło i błysnęło, gdy piorun uderzył gdzieś naprawdę blisko, a potem rozległ się prawie jedwabisty syk, gdy niebo zostało rozcięte na dwoje.

W następnej sekundzie telefon eksplodował, siejąc po ścianach fragmentami bakelitu i miedzi.

- Włosy mi stają dęba! - jęknęła Kirsty, macając się po głowie.

- Mi też - poinformował ją Yo-less. - A możesz mi wierzyć, że to się naprawdę rzadko zdarza.

- Piorun uderzył w druty - odezwał się Johnny. - Nie działają telefony z innych posterunków na wzgórzach, nie tylko ten. A teraz będzie miał kłopoty z motorowerem.

- O czym on gada?

- Macie motorower, prawda? - spytała Kirsty.

- No to co?

- Jak to: co? Właśnie straciliście łączność! Nie powinniście czegoś z tym zrobić?

Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie w lekkim popłochu - dziewczyny nie powinny rządzić, a już w żadnym wypadku nie powinny krzyczeć.

- Tom, skocz no na dół do doktora Atkinsona i zadzwoń od niego na posterunek, że nasz telefon się rozleciał - polecił po chwili pan Hodder, nie przestając się przyglądać intruzom. - I powiedz im o tych dzieciakach.

- Nie zapali - oznajmił Johnny. - To karburator czy jakoś. To, co zawsze sprawia kłopoty.

Młodszy, Tom, spojrzał na niego z ukosa. W powietrzu wyczuwało się zmiany: dotąd obaj byli tylko podejrzliwi, teraz zaczęli czuć się niepewnie. - Skąd wiesz? - spytał Tom. Johnny otworzył usta i zamknął je z powrotem. Przecież nie mógł im powiedzieć, że czuje czas, że wie, iż gdyby zdołał właściwie zogniskować wzrok, zobaczyłby to, co chce, gdyż przeszłość i przyszłość były tuż, za rogiem, powiązane z teraźniejszością miliardem połączeń. Czuł, że prawie może wskazać, gdzie to jest: nie w górze czy w dole, ale pod

właściwym kątem w stosunku do wszystkiego innego.

- Oni są już w drodze - powiedział. - Będą tu za pół godziny.

- Jacy oni? Co będzie za pół godziny?

- Blackbury zostanie zbombardowane - oznajmiła Kirsty.

Zagrzmiało.

- Tak sądzimy - dodał Yo-less.

- Pięć samolotów- powiedział Johnny i otworzył oczy. Wszystko wskoczyło na swoje miejsce i wszyscy mu się przypatrywali, ale każde z nich otaczała jakby mgła, a gdy się ktoś poruszył, w ślad za nim poruszały się obrazy, zupełnie jak średnio widowiskowe efekty specjalne. - To przez burzę i chmury - wyjaśnił - będą myśleli, że są nad Siatę, a zrzucą bomby na Blackbury.

- Tak? A skąd wiesz? Powiedzieli ci?

- Posłuchaj, durniu! - Kirsty naprawdę się wściekła. - Gdybyśmy byli szpiegami, to po co byśmy ci to wszystko opowiadali?

Pan Hodder w odpowiedzi otworzył drzwi.

- Idę do doktora zatelefonować - oznajmił. - A potem może zdołamy stwierdzić, co tu się dzieje.

- A co z bombowcami? - nie ustępowała Kirsty.

Z północnego wschodu zagrzmiało, ale poza tym słychać było tylko deszcz.

- Z jakimi bombowcami? - spytał pan Hodder i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Johnny siadł, opierając głowę na dłoniach i mrugając rozpaczliwie, by pozbyć się migających obrazów.

- Lepiej, żebyście sobie poszli - odezwał się Tom. - To niezgodne z regulaminem, żeby tu siedzieli cywile...

Johnny zrezygnował z mrugania - bombowce, które widział, za nic nie chciały zniknąć. Sięgnął po leżące na stole karty do gry.

- Dlaczego są na nich bombowce? - spytał. - Do czego one są?

- Co? No... do gry, a bombowce po to, żeby łatwiej nauczyć się rozpoznawać samoloty. - Tom uważał, by cały czas od Johnny'ego oddzielał go stół. - Jak się nimi gra, jakoś tak samo się zapamiętuje...

- Uczysz się podświadomie - uzupełniła Kirsty.

- Nie, uczysz się, grając tymi tu kartami - poprawił ją desperacko Tom.

Na zewnątrz ktoś próbował uruchomić motorower. Johnny wstał.

- Dobrze, udowodnię ci. Następną kartą, którą podniesiesz, będzie... - Przed oczyma pojawiło mu się tyle obrazów, iż stwierdził, że skoro pani Tachyon widzi w ten sposób przez cały czas, to nie dość, że jest wszędzie, ale w dodatku i tak zachowuje się naprawdę sensownie.

Na zewnątrz ktoś jeszcze usilniej próbował uruchomić motorower.

- ...następną kartą będzie piątka karo.

- Nie rozumiem, po co mam ci w ogóle pokazywać karty. - Tom spojrzał nerwowo na Kirsty, która tak już działała na ludzi.

- Boisz się? - spytała słodko.

Bez słowa złapał pierwszą z brzegu kartę i uniósł ją.

- Piątka karo - potwierdził poważnie Yo-less. Johnny skinął głową.

- Następny będzie... walet kier. Był.

Na zewnątrz do odgłosów nieskutecznego odpalania motoroweru dołączyły soczyste przekleństwa.

- To sztuczka - oburzył się Tom. - Któreś z was poustawiało karty.

- To je przetasuj, jak chcesz... - odparł Johnny. - A i tak następną będzie dziesiątka trefl.

- Jak ty to robisz? - zainteresował się Yo-less, przyglądając się dziesiątce trefl.

- Hm... To tak jak... pamiętam, że ją widziałem.

- Pamiętasz, zanim ją naprawdę zobaczysz? - zdziwiła się Kirsty.

Na zewnątrz odgłosy uruchamiania motoroweru zostały zagłuszone przez wyszukane przekleństwa.

- Uhm... no, można tak powiedzieć.

- Prekognicja - ucieszyła się nie wiedząc dlaczego Kirsty. - Jesteś pewnie urodzonym medium... takim od seansów spirytystycznych...

- Nie lubię alkoholu - bąknął Johnny, ale nikt go nie słuchał.

Kirsty bowiem skupiła się na Tomie, a Yo-less na Kirsty.

- Widzisz?! - spytała jadowicie. - Teraz nam wierzysz?

- To mi się nie podoba! To nie jest normalne... A poza tym i tak nie ma telefonu...

Drzwi otwarły się z hukiem, wpuszczając wściekłego pana Hoddera.

- Dobra! Coście, gówniarze, pomajstrowali przy moim motorowerze?!

- To karburator, przecież mówiłem - zdziwił się Johnny - albo jakoś tak...

- Arthur, powinieneś posłuchać, ten chłopak wie, co mówi...

Kirsty spojrzała na zegarek.

- Dwadzieścia minut - oznajmiła rzeczowo. - Do miasta jest więcej niż trzy kilometry. Nawet biegiem wątpię, byśmy zdążyli.

- O czym ty gadasz? - zdziwił się pan Hodder.

- Musi być jakiś kod... - mruknęła Kirsty. - Jak chcecie, żeby uruchomili syrenę, to dzwonicie i co mówicie?

- Nic im nie mów! - warknął pan Hodder.

- "Tu stacja BD3" - odezwał się Johnny, wpatrując się tępo w ścianę.

- Skąd wiesz? Powiedział ci?... Powiedziałaś im?!

- Nic nie powiedziałem, Arthur!

- Idziemy! - Kirsty ruszyła ku drzwiom. - Wygrałam kiedyś bieg na przełaj!

I energicznym ruchem łokcia odsunęła stojącego na drodze pana Hoddera.

Na wschodzie grzmiało coraz bardziej, a burza zmieniła się w stały, dokuczliwy deszcz.

- Nie zdążymy - stwierdził Yo-less. - Za nic na świecie...

- Myślałam, że jesteście dobrzy w bieganiu...

- Nas jest jeden - poprawił ją z godnością Yo-less. - Chyba że masz na myśli ludzi mojego wzrostu...

- Miałeś rację. - Tom wyszedł w ślad za Johnnym. - Tu stacja BD3!

- Wiem. Przypomniałem sobie, że mi to powiesz. Johnny nagle zatoczył się i złapał Yo-lessa, by utrzymać pion. Świat wokół niego wirował, tak jak dotąd tylko raz, gdy przed którąś gwiazdką miał bliskie spotkanie z jabłecznikiem. Głosy zdawały się stłumione, toteż nie miał pewności, czy faktycznie je słyszy, czy tylko sobie przypomina, czy też jest to echo jeszcze nie wypowiedzianych słów. Poczuł, że umysł został wytrząśnięty przez czas i pozostaje na miejscu tylko dlatego, że całe ciało stanowi solidną kotwicę.

- Cały czas jest z górki - dobiegł go głos Kirsty. A potem Kirsty wystartowała. Yo-less ruszył za nią.

W oddali, w dole zegar kościelny zaczął wybijać jedenastą.

Johnny próbował biec, ale grunt ciągle zmieniał mu się pod stopami.

Zastanawiał się, po co się męczy, skoro miał w kieszeni gazetę z opisem bombardowania i jego ofiar, ponieważ nie ogłoszono alarmu... "To ci się tylko tak wydaje", przypomniał sobie znajome zawołanie pani Tachyon.

Chciałby być lepszy w tych podróżach w czasie... Chciałby być bohaterem...

Dolatujący z przodu rozpaczliwy wrzask Yo-lessa wyrwał go z wielopłaszczyznowości czasu:

- Potknąłem się o owcę!

W dole widać było światła Blackbury, a raczej ich pozostałości - tu zamalowane reflektory jakiegoś samochodu, tam cienką smugę światła przedostającego się przez dziurę po molach w zasłonie. Po burzy nadszedł wiatr, przeganiając miejscami chmury. Tu i ówdzie na niebie rozbłysły gwiazdy.

Pobiegli dalej.

Yo-less wpadł na następną owcę.

Z tyłu rozległ się znacznie głośniejszy, choć pojedynczy tupot, i dołączył do nich Tom.

- Jak się mylicie, to będą kłopoty! - wysapał.

- A jak mamy rację? - spytała bynajmniej nie zasapana Kirsty.

- Mam nadzieję, że się mylicie!

Ponownie zagrzmiało, ale cztery biegnące sylwetki otaczał bąbel desperackiej ciszy.

Wbiegli na obrośniętą krzewami drogę, gdy Tom zahamował z piskiem obcasów.

- Posłuchajcie!

Posłusznie znieruchomieli i zaczęli nasłuchiwać.

W oddali mruczała burza, w bezpośrednim sąsiedztwie szumiał deszcz... a spoza odgłosów przyrody słyszeć było odległe i ciche brzęczenie.

Tom ruszył z taką prędkością, że jeśli dotychczas biegł, to teraz musiał lecieć.

W mroku przed nimi zamajaczył jakiś dom. Tom przeskoczył przez płot, przegalopował przez trawnik i zaczął dobijać się do drzwi.

- Otwierać! Niebezpieczeństwo! Otwierać! Johnny i pozostali dobiegli do furtki. Brzęczenie stało się głośniejsze.

Powinniśmy być w stanie coś zrobić, tłukło się niczym zacięta płyta po głowie Johnny'ego... coś musi się dać zrobić... Sądziło, że to będzie łatwe, bo są z przyszłości, a tu figa. Nic nie zostało zrobione, a bombowce są prawie na miejscu...

- Otworzyć, do cholery!

Yo-less otworzył furtkę i wbiegł do środka. Coś w mroku plusnęło.

- Chyba wlałem w sadzawkę - rozległ się mokry głos. - Bo na basen za płytkie.

Tom przestał się dobijać, a zaczął czegoś szukać na ziemi.

- Jak rozbiję szybę... - mruknął.

- Na środku jest głębiej - zameldował mokro Yo-less. - I złapała mnie fontanna albo coś.

Brzęknęło szkło. Tom wsadził rękę przez wybitą przy drzwiach szybę, coś szczęknięło i drzwi stanęły otworem. Wpadł w nie natychmiast, potknął się o coś, coś załomotało i pojawiło się słabe światło. Potem coś trzasnęło i...

- Ten telefon też nie działa! Piorun musiał załatwić centralę!

- Gdzie jest następny dom? - spytała Kirsty, gdy Tom wybiegł na zewnątrz.

- Dopiero na Roberts Road! - I pognął w mrok. Pognali za nim, przy czym Yo-less nieco chłopotliwie.

Brzęczenie było już całkiem głośne, głośniejsze niż odgłosy ich własnego sapania.

Ktoś powinien je w mieście usłyszeć - wypełniało całe niebo!

Nic nie mówiąc, wszyscy ruszyli szybciej...

Wreszcie odezwała się syrena, ale chmury zdążyły odsłonić księżyc. W jego blasku można było dostrzec przesuające się po niebie cienie, a Johnny czuł niewidoczne kształty obracające się coraz wolniej i wolniej, im niżej się znajdowały.

Najpierw eksplodowały ogródki działkowe. Potem fabryka przetworów, a w końcu Paradise Street. Z daleka wyglądało to niczym rząd róż rozkwitających w przyspieszonym tempie i na pomarańczowo-czarno.

A potem zjawił się dźwięk - łomoty, huki i ogólnie wielkie porcje hałasu dobijające się nachalnie do uszu.

W końcu ucichło. Słyszać było jedynie odległe potrzaskiwanie i coraz głośniejsze dzwonienie straży pożarnej.

- No nie! - jęknęła Kirsty.

Tom przestał biec, stanął i wpatrywał się w odległe płomienie.

- Telefon nie działa - szepnął. - Próbowałem zdążyć, ale telefon nie działał...

- Jesteśmy podróżnikami w czasie! - wykrztusił Yo-less. - To się nie powinno wydarzyć!

Johnnym lekko wstrząsnęło: uczucie było podobne do grypy, tylko znacznie, znacznie gorsze. Czuł się, jakby się znalazł na zewnątrz własnego ciała i obserwował je z klinicznym zainteresowaniem.

To było tu miejsca i teraz czasu...

Ludzie przeżywają dzięki niezwracaniu uwagi na tego rodzaju uczucia, ponieważ jeśliby ktoś zatrzymał się i zwrócił na nie uwagę, próbując zrozumieć, to świat przetoczyłby się po nim jak walec...

Paradise Street zawsze miała być zbombardowana i była zbombardowana. Gdziekolwiek bądź, to się będzie zawsze działo...

"Tak ci się tylko wydaje"...

Gdzieś...

Nad dachami pojawiły się płomienie, a do dzwonu strażackiego dołączyły inne.

- Motorower nie chciał zapalić! - mamrotał Tom. - Telefon nie działał! Burza była! Próbowałem zdążyć na piechotę! To jak to może być moja wina?!

Gdziekolwiek bądź...

Johnny znów miał wrażenie, że może się udać w kierunku, którego nie ma na kompasie czy na mapie, ale który jest na zegarze. Wrażenie wylewało się z niego z taką siłą, że czuł, jak przecieka mu między palcami. Nie miał wózka i worków... ale może zdoła sobie zapamiętać, jak to ma zrobić...

- Mamy czas! - powiedział nagle.

- Zidiociałeś? Czy to tylko szok? - zainteresowała się Kirsty.

- Idziesz czy nie?

- Gdzie?

Johnny ujął jej dłoń i sięgnął drugą ręką po Yo-lessa, a potem wskazał mu brodą wpatzonego w płomienie Toma.

- Złap go - polecił. - Będziemy go potrzebować, gdy tam dotrzemy.

- Gdzie?

Johnny spróbował się uśmiechnąć.

- Zaufajcie mi. Ktoś musi. - I ruszył. Pozostała dwójka za nim, ciągnąc za sobą Toma, który wyglądał jak lunatyk.

- Szybciej - polecił Johnny. - Inaczej nigdy tam nie dotrzemy.

- Posłuchaj, bomby już spadły - rzekła zniżonym głosem Kirsty. - To już się stało.

- Wiem. Musiało się stać. Inaczej nie moglibyśmy się tam dostać, zanim się stanie.

Szybciej! Biegiem! - Johnny wykonał własne polecenie, ciągnąc ich za sobą.

- Chyba możemy pomóc... - wysapał Yo-less. - Wiem... jak udzielić... pierwszej pomocy...

- Czego?! Widziałeś, jak tam wybuchało? - zdziwiła się Kirsty.

Poruszający się dotąd niejako obok nich Tom ocknął się nagle, spojrzał na płomienie i zgubił krok, zwiększając tempo. A potem oni przyspieszyli i tak na zmianę prowadząc, narzucili sobie nawzajem zwariowaną szybkość.

W kierunku, w którym biegli, była droga.

Johnny skręcił w nią natychmiast.

Ciemny krajobraz rozjaśniły odcienie szarości jak na bardzo starym filmie. Niebo z czarnego przeszło w atramentową purpurę. Wszystko wokół wyglądało zimno niczym kryształ, a liście i krzewy lśniły, jakby były pokryte szronem.

A mimo to Johnny nie czuł zimna. Nie czuł niczego. Biegł, czując pod stopami lepką nawierzchnię, jakby próbował sprintu w melasie.

Powietrze wypełniał dziwny dźwięk, który ostatnio słyszał po otwarciu worka, tyle że znacznie głośniejszy - niczym milion nie dostrojonych radioodbiorników.

Yo-less próbował coś powiedzieć, ale nie zdołał wydobyć z siebie głosu, wskazał więc, o co mu chodzi, wolną ręką.

Przed nimi leżało Blackbury. Nie było ani z 1996 roku, ani z 1941 roku, i błyszczało.

Johnny nigdy nie widział zorzy polarnej, ale dużo

O niej czytał. Z opisów sądząc, było to światło czasami w zimne noce pojawiające się od Bieguna Północnego

I przypominające kurtyny zamrażniętego, błękitnego ognia. Tak właśnie wyglądało miasto, ku któremu biegli.

Zaryzykował spojrzenie w tył.

Niebo było głęboko karmazynowe, rozjaśnione w centrum do rubinowego blasku.

Zdał sobie sprawę, że gdyby przestał biec, wszystko by się skończyło: droga byłaby znów drogą, niebo - niebem, ale jeśli nadal będzie biegł w tym kierunku...

Zmusił nogi do dalszego wysiłku przez gęste, zimne i ciche powietrze. Blask był coraz jaśniejszy, a miasto bliższe. Czuł, jak pozostali ciągną go za ręce. Kirsty próbowała coś krzyknąć, ale poza rykiem cienkich głosów nie było nic słychać.

Błękit runął nagle ku nim, spotykając się z czerwienią nadlatującą z tyłu, i wszyscy wylądowali na drodze na brzuchach.

- Cała jestem pokryta lodem! - rozległ się pełen pretensji głos Kirsty.

Johnny pozbierał się do pionu i przyjrzał sobie. Z rękawów przy najmniejszym poruszeniu odpadały płatki lodu. Spojrzał na pozostałych: Yo-less pierwszy raz w życiu był

biały. Tylko dziwnie parowało mu z włosów, gdzie lód najszybciej topniał.

- Co myśmy zrobili? - Kirsty była najwyraźniej pod wrażeniem. - Co to było?

- Posłuchaj! - przerwał jej Yo-less. - Wszyscy słuchajcie!

Gdzieś w mroku zegar zaczął wybijać godzinę.

Znajdowali się na skraju pogrążonego w mroku miasta. Nie było ruchu na ulicach, ale nie było też i pożarów. Z pobliskiego pubu dochodziło pobrzękiwanie szkła i stłumione śmiechy.

Zegar ucichł, za to rozległo się namiętne miauknięcie kota.

- Jedenasta? - zdziwiła się Kirsty. - Przecież jedenasta była, gdy zbiegaliśmy... ze wzgórz... Wróciłeś w czasie?

- Chyba nie wróciłem... Chyba poszedłem na skróty... albo obszedłem... Nie wiem!

Tom przyklęknął. Z jego twarzy, ledwo widocznej w mroku, mogli wyczytać, że mają przed sobą człowieka, któremu przytrafiło się zbyt wiele i którego mózg swobodnie dryfuje.

- Mamy siedem minut - odezwał się Johnny.

- Że co? - odezwał się Tom.

- Żeby zmusić ich do włączenia syreny! - ocknęła się Kirsty.

- Jak to? Bomby spadły... widziałem pożary... to naprawdę nie była moja wina, telefon...

- Jeszcze nie spadły! Ale spadną, jak nic nie zrobisz! I to natychmiast! Wstawaj, i to już! - To bez cienia wątpliwości była Kirsty.

Nikt nie był w stanie zignorować takiego głosu - przelatował przez mózg i wydawał rozkazy bezpośrednio mięśniom. Tom uniósł się niczym winda.

- Grzeczny chłopiec! Teraz marsz! Posterunek policji znajdował się na końcu ulicy. Do drzwi dotarli jednocześnie, toteż nic dziwnego, że chwilę trwało, nim znaleźli się wewnątrz. Dalej był korytarz i pokój przedzielony barierką albo raczej ladą, która oddzielała publikę od sił prawa i porządku, aktualnie reprezentowanych przez sierżanta. Oprócz niego za barierką znajdował się jeszcze mężczyzna w oficerskim mundurze siedzący za biurkiem.

Sierżant stał za ladą i pisał coś w wielkiej księdze, ale na ich widok zamarł z otwartymi ustami.

- Witaj, Tom - wykrztusił w końcu. - Co się dzieje?

- Musicie włączyć syrenę! - zażądał Johnny.

- I to zaraz! - dodała Kirsty.

Sierżant przyjrzał się najpierw jemu, potem jej, a potem znacznie dłużej Yo-lessowi. W końcu spojrzał na wojskowego. Sierżant należał do osób preferujących widownię, jeśli sądził, że będzie zabawny.

- Tak? - spytał uprzejmie. - A dlaczego miałbym to zrobić?

- Oni mają rację, sierżancie - odezwał się Tom. - Trzeba uruchomić syrenę! Biegliśmy całą drogę!

- Z góry? Toż to ponad trzy kilometry, a nie wyglądacie na zaspanych? Nie trafiłeś przypadkiem po drodze do pubu, młody człowieku? Coś jak z tym dornierem z zeszłego tygodnia, który okazał się ciężarówką na drodze do Slate, co?

Cierpliwość Kirsty, która w najbardziej sprzyjających okolicznościach widoczna była wyłącznie za pomocą specjalnej aparatury, dobiegła końca.

- Przestań się wyśmiewać z czegoś, czego nie rozumiesz, patetyczny bufonie! - wrzasnęła, skutecznie odbierając sierżantowi mowę.

Sierżant poczerwieniał, wziął głęboki oddech, ale powiedział zupełnie coś innego, niż planował, bowiem Tom przełaził przez barierkę.

- A ty gdzie?!

Tom dotarł tymczasem do biurka, odepchnął oficera i ignorując policjanta, przestawił przełącznik.

Chciałbyś frytki z czymś takim?

Wobbler i Bigmac czaili się za kaplicą.

- Długo ich nie ma - zauważył Bigmac.

- Tam jest daleko. I wysoko.

- Się założę, że coś się stało. Strzelali do nich albo coś.

- A myślałem, że lubisz broń.

- Pewnie, że lubię. Nie lubię kuł - wyjaśnił z godnością Bigmac. - I nie chcę tu utknąć z tobą!

- Mamy wózek. - Wobbler nie wydawał się zmartwiony. - Wiesz, jak się go obsługuje? Trzeba pewnie być na pół psychicznym, jak Johnny, żeby to działało. Nie chcę skończyć, walcząc z Rzymianami czy innymi w pancerzach.

- Nie skończysz - uspokoił go Bigmac. I zamarł, gdy dotarło doń, co właśnie powiedział.

- Coś ty chciał powiedzieć o utknięciu ze mną? - zainteresował się Wobbler. - I co się stanie, jak nie wrócę do domu? Byłeś w 1996, tak? Mnie tam nie było, tak?

- Naprawdę nie chciałbyś tego wiedzieć.

- Tak? Naprawdę?

- Co wy sobie myślicie, wpadając tu i... - Sierżant wreszcie zaczął mówić to, co zamierzał chwilę wcześniej.

- Cisza! - warknął kapitan Harris, wstając. - Dlaczego syrena nie działa?

- Sprawdzamy ją regularnie co wtorek i piątek... -Sierżant nie miał tego wieczoru szczęścia do kończenia zdań.

- W suficie jest dziura! - przerwał mu tym razem Yo-less.

Tom jak urzeczony przyglądał się przełącznikom. Był pewien, że zrobił, co do niego należało. Nie był co prawda pewien jak, ale zrobił. A teraz powinny zacząć się dziać rzeczy, które nie chciały się dziać.

- To nie moja wina - wymamrotał.

- Pański człowiek tu dziś strzelał. - Sierżant zaczął odzyskiwać pewność siebie. - Nie mogliśmy dojść do tego, w co trafił.

- Teraz wiemy - warknął ponuro kapitan. - Przestrzelił drut...

- Musi być jakiś inny sposób! - uparł się Johnny. -To się nie może tak skończyć! Nie po tym wszystkim! Proszę spojrzeć! - I wyjął z kieszeni nieco sfatygowany kawał gazety.

- Co to jest? - zdziwił się mało inteligentnie kapitan.

- Gazeta - wyjaśnił cierpliwie Johnny. - Jutrzejsza gazeta, jeśli syrena się nie odezwie.

Oficer przyglądał się gazetce w milczeniu.

- To raczej głupi dowcip - ocenił nieco nerwowo sierżant.

Oficer nagle przestał się interesować gazetą, a zaczął nadgarstkiem Johnny'ego i złapał zań.

- Skąd masz ten zegarek? Widziałem już taki! Skąd jesteś, chłopcze?

- Stąd. W pewnym sensie... ale nie z... teraz. Przez moment w pomieszczeniu panowała cisza. Przerwał ją kapitan, polecając sierżantowi:

- Proszę zadzwonić do tutejszej redakcji, to poranne wydanie, więc ktoś tam powinien być o tej porze.

- Chyba nie traktuje pan poważnie...

- Proszę zadzwonić!

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. W końcu sierżant, po krótkiej wymianie mamrotań ze słuchawką, wyprostował się znad dużego, czarnego aparatu i powiedział:

- Mam pana Stickersa, głównego zecera, na linii. Mówi, że właśnie skończyli pierwszą stronę, i pyta, czego chcemy?

Kapitan przyjrzał się ponownie gazecie, powąchał ją i nieco zde gustowany powiedział:

- Ryby? Nieważne... jest reklama kakao Johnsona w dolnym lewym rogu strony? Nie patrz na mnie, człowieku: zapytaj go!

Sierżant zajął się mamrotaniem w słuchawkę.

- Mówi, że jest, ale... Kapitan odwrócił kartkę.

- Na stronie drugiej jest jednokolumnowy artykuł pod tytułem "Dwa szylingi kary za przestępstwo rowerowe", a w krzyżówce pierwsze pionowo: "Ptak z kamienia. Słyszymy" na trzy litery. Obok jest reklama kremów do golenia Planta? Proszę go spytać!

Sierżant zaczął mu się przyglądać zgoła nieżyczliwie, ale pomamrotał z odległym Stickersem.

- Roc - powiedziała odruchowo Kirsty. Kapitan uniósł brwi.

- Mityczny ptak - wyjaśnił Yo-less podobnie zahipnotyzowanym głosem. - Wymawia się jak "skała"³, stąd to "Słyszymy".

- On mówi, że tak - zameldował sierżant. - On mówi...

- Dziękuję. Proszę mu powiedzieć, żeby był gotowy na wypadek... nie, nie podejmujemy pochopnych decyzji... proszę mu podziękować.

Sierżant odłożył słuchawkę i zapadła cisza. Przerwał ją dopiero kapitan:

- Wiecie, ile mamy czasu?

- Trzy minuty - odparł Johnny.

- Jak można się dostać na dach, sierżancie? - spytał kapitan.

- Nie wiem, od zewnątrz drabiną...

- Jest w mieście inna syrena?

³ Rock (ang.) - skała.

- Stara, ręczna, której dawniej używaliśmy, ale...

- Gdzie ona jest?

- Na dnie szafki rzeczy znalezionych, ale... Przerwał mu skórzany dźwięk i nagle kapitan trzymał w dłoni rewolwer.

- Sierżancie, może się pan ze mną sprzeczać później albo zameldować, komu tylko uzna pan za stosowne - oznajmił - ale teraz otworzy pan tę przeklętą szafkę albo odda mi klucz, bo w przeciwnym razie odstrzelę zamek. Żeby nie było niejasności: zawsze chciałem to zrobić!

- Chyba nie wierzy pan tym dzieciom...

- Sierżancie!

Do podoficera coś musiało nagle dotrzeć, gdyż z nagłą energią przetrząsnął kieszenie i z kluczem w garści ruszył pośpiesznie przez pokój.

- Pan nam wierzy? - spytała niespodziewanie Kirsty.

- Nie jestem pewien - odparł kapitan, obserwując, jak sierżant szarpie się z czymś dużym i ciężkim. - Doskonale, sierżancie: na zewnątrz z tym urządzeniem. Nie, nie jestem pewien, młoda damo, czy wam wierzę. Prędzej wierzę temu zegarkowi... Poza tym jeśli się mylę, w najgorszym wypadku wyjdę na durnia, a sierżant się na nas wyżyje. A jeśli się nie mylę i wy macie rację, wówczas to, co tu opisano, się nie stanie?

- Na pewno nie tak samo - odezwał się Johnny. - Nie jestem pewien, ale to się może w ogóle nie zdarzyć...

Bigmac leżał na plecach, a na nim leżał Wobbler. Fakt - Wobbler nie wiedział, jak walczyć, za to doskonale wiedział, jak ciężać.

- Złaź! - stęknął Bigmac, machając rozpaczliwie, ale ciosy, skuteczne na ulicy, tonęły w Wobblerze jak w poduszce.

- Wciąż żyję w 1996, bo się urodziłem, tak? - Wobbler poprawił się nieco, by skuteczniej zaciążyć. - Więc jakbym nie wybrał się w tę przeklętą podróż w czasie, to powinienem być żywy, tak? Założę się, że coś

O mnie wiesz!

- Nic nie wiem! Nikogo nie znam! Nie wiem, która godzina! Nigdy cię nie spotkaliśmy!

- Aha, a więc żyję! Gadaj, co wiesz!

- Złaź, nie mogę tchu złapać!

- Mów, to będziesz mógł!

- Ty nie możesz wiedzieć, co się ma wydarzyć!

- A kto tak twierdzi?! No, kto?

Z tyłu coś zawyło, toteż obaj zamilkli i ostrożnie spojrzeli w kierunku źródła hałasu.

Guilty przeciągnął się, przestał wyć, za to ziewnął

1 ni to zeskoczył, ni to spadł na ziemię, po czym przespacerował się w swój

pokręcony sposób mniej więcej wzdłuż ściany obrosniętej mchem i zniknął za rogiem.

- Gdzie on poszedł? - zdziwił się Wobbler.

- Skąd mam wiedzieć? Złaź!

Wobbler zlął i obaj podążyli w ślad za kotem, który zignorował to całkowicie - dotarł do drzwi kaplicy i położył się z wyciągniętymi przednimi łapami.

- Pierwszy raz widzę, żeby się byczył z dala od wózka - skomentował Bigmac.

A potem usłyszeli.

Nic.

Odgłosy miasta nie umilkły całkowicie, ale były bardzo ciche i dochodziły jakby z wielkiej odległości, jakby oddzielone niewidzialną ścianą. Dźwięki pianina z pubu, skrzyp drzwi czy warkot przejeżdżającego niedaleko samochodu słyszalne były w postaci śladowej, jakby im obu do uszu nakładzono waty.

- Wiesz... - odezwał się Wobbler, nie spuszczając wzroku z kota - te bomby...

- Jakie bomby?

- Te, co Johnny o nich mówił.

- No?

- Pamiętasz, co on mówił? Kiedy to ma być? Bo wydaje mi się, że szybko...

- Doskonale! - ucieszył się Bigmac. - Nigdy nie widziałem niczego bombardowanego.

Guilty zaczął mruczeć.

- Wiesz... moja siostra mieszka w Kanadzie. - Sądząc po głosie, Wobbler znowu zaczął się martwić.

Mruczenie Guilty'ego stało się głośniejsze.

- No i co? Co ona ma wspólnego z czymkolwiek?

- No... przysłała mi raz widokówkę z taką skałą, na którą Indianie zapędzali stada bizonów, żeby spadły w przepaść...

- To geografia bywa ciekawa.

- Pewnie... tylko był taki jeden Indianin, zaczął się zastanawiać, jak takie polowanie wyglądałoby z dołu... potem go nazwali Ten, Który Rozbił Łeb, Skacząc. Naprawdę!

Obaj krytycznie przyrzekli się kaplicy.

- W 1996 dalej stoi - zauważył Bigmac. - To pewnie jej nie zbombardowali...

- Pewnie... a nie wydaje ci się, że lepiej by było być za nią...

Syrena przeciwlotnicza zawyła i umilkła.

Na Paradise Street coś drgnęło - ktoś odsunął zasłonę, ktoś inny krzyknął gdzieś w ogrodzie za domem...

- Fajno! - ucieszył się Bigmac. - Brakuje tylko popcornu.

- To ma się przytrafić prawdziwym ludziom. - Do Wobblera dotarło, że on też może się znaleźć wśród tych prawdziwych ludzi.

- Się nie przytrafi, bo syrena wyła. Pochowają się do schronów, a o to chodziło, nie?

Bombardowanie będzie, tylko bez nich, a będzie, bo to historia, nie? To tak, jakby wrócić do 1066, żeby pooglądać tę bitwę pod... no, pod czymś tam. Nieczęsto ma się okazję obejrzeć, jak cała fabryka marynowanej cebuli wylatuje w powietrze.

Wata ustąpiła i odgłosy wróciły do normalnego poziomu słyszalności. Mieszkańcy Paradise Street z pewnością byli w ruchu, o czym świadczyły dobiegające z mroku dźwięki. Najbliższy oznajmiał, że ktoś nadepnął na wiadro. Z komentarzem.

- Posłuchaj no... - Bigmac wyraźnie stracił pewność siebie.

Guilty siadł i rozejrzał się czujnie.

Ze wschodu dało się słyszeć niegłośnie buczenie.

- Bomba! - ucieszył się Bigmac. Wobbler ruszył bokiem w stronę kaplicy.

- I to nie jedna... - mruknął. - To nie telewizja, Bigmac!

Buczenie zbliżyło się, przybierając na sile.

- Że też nie wziąłem aparatu! - jęknął Bigmac. Otworzyły się drzwi któregoś z domów, wypuszczając smugę jasnego światła i niewysoką postać w spodenkach do kolan. Postać dobiegła do środka ulicy, stanęła i wrzasnęła:

- Nasz Roń wam pokaże!

Huk silników wypełnił niebo.

Bigmac i Wobbler wystartowali równocześnie. Stopnie pokonali jednym susem i runęli ku podrygującej na środku ulicy postaci, która wygrażała niebu z zapalem godnym lepszej sprawy. Bigmac dopadł chłopaka pierwszy, złapał go wpół, zahamował z lekkim poślizgiem na bruku i ze zdobyczą pod pachą runął z powrotem ku kaplicy.

Byli w połowie drogi do drzwi, gdy usłyszeli w górze świsty.

Byli na szczycie stopni, gdy pierwsza bomba przeorała ogródki działkowe.

Wskakiwali za ścianę, gdy druga i trzecia trafiły w fabrykę.

Nurkowali w trawę, gdy następne przemaszerowały ulicą, wypełniając powietrze dźwiękiem zbyt głośnym, by dało się go słyszeć do końca, i blaskiem tak jaskrawym, że raził przez zaciśnięte powieki. A potem ryk złapał ziemię i wstrząsnął nią jak kocem.

I to właśnie była według Wobblera najgorsza część, choć wszystkie pozostałe też były okropne, toteż wybór nie był wcale łatwy. Ziemia powinna być solidna i godna zaufania - można by rzec: stateczna, a nie uskakiwać, a potem wracać i walić człowieka w brzuch.

A potem rozległy się dźwięki przypominające rój rozzłoszczonych pszczoł.

Jeszcze później jedynie klekot osuwających się cegieł i potrzaskiwanie ognia.

Wobbler bardzo powoli uniósł głowę.

- O rany... - stęknął z podziwem.

Na drzewach za nimi nie było liści. Za to pnie migotały.

Jeszcze wolniej, niż się uniósł, wstał i ostrożnie dotknął najbliższego.

Odłamki szkła wbiły się w cały pień i w gałęzie.

Obok niego wstał Bigmac, zachowując się niczym ktoś, kto śni, i to nie

najsympatyczniejszy sen.

W drzwiach kaplicy tkwiła wbita do połowy patelnia; wyglądała niczym średnio udany eksperyment domorosłego entuzjasty sztuk walki. Kamienny próg odłupał kawałek muru i wraz z odłamkami cegieł leżał w pobliżu ściany.

No i wszędzie pełno było szkła trzeszczącego pod nogami i migoczącego blaskiem pożarów rozpalających się w zbombardowanych ruinach. Jak na kilka okien z kilku domów, było go nieprzyzwoicie dużo. Nim skończyli się rozglądać, zaczęło padać.

Najpierw octem.

A potem marynatami.

Bigmac zrobił się nagle mokry i czerwony. Ostrożnie polizał palec i oświadczył zaskoczony:

- Sos pomidorowy.

Od głowy Wobblera odbił się korniszon.

Bigmac zaczął się śmiać.

Ludzie śmieją się z rozmaitych powodów. Czasami dlatego, że wbrew oczekiwaniom wciąż żyją i mają czym się śmiać. Tak właśnie było i tym razem.

- Chciałbyś... chciałbyś frytki z... czymś takim? Był to najzabawniejszy żart, jaki Wobbler od dawna słyszał. Ba, teraz było to najzabawniejsze, co w ogóle w życiu słyszał, więc też zaczął się śmiać. Zarykiwali się obaj, aż im łzy ciekły po policzkach, mieszając się z sosem pomidorowym (Bigmac) i musztardowym (Wobbler).

- Eee... ma ktoś może jakiegoś szrapnela? - spytał z mroku nieśmiały głos.

Bigmac dostał takiego napadu, że przypominał

konwulsje, a burczał zupełnie jak próbujący wybuchnąć bojler.

- Co... co... co... to jest... "szrapnel"? - wykrztusił po chwili.

- To... to kawałki bomb! Bigmaca prawie położyło ze śmiechu. Ponownie zawyła syrena, ale tym razem nie był to falujący jak poprzednio dźwięk, lecz jeden długi, stały ton, który w końcu ucichł.

- Wracają! - zaniepokoił się Wobbler. Natychmiast przeszła mu ochota do śmiechu.

- Gdzie tam. To odwołanie alarmu - poinformował go zdegustowany głos spod ściany.

- Wy tam nic nie wiecie. - Dziadek Wobblera wstał i rozejrzał się po tym, co jeszcze niedawno było Paradise Street.

- O rany! - Wobblerowi zaparło dech.

Ani jeden dom nie pozostał cały. W najlepszym razie zniknęły dachy, okna i drzwi, ale po połowie budynków zostały jedynie kupy gruzów ze sterczącymi tu i ówdzie kawałkami ruin. Gruz i inne resztki zaścielały także ulicę.

W oddali rozległ się dźwięk dzwonów i dzwonek. Zbliżał się szybko i po chwili przed kaplicą zatrzymały się dwa wozy strażackie i ambulans.

- Chciałbyś... - zaczął Bigmac.

- Cicho bądź, co? - zaproponował mu Wobbler. Wzdłuż całej ulicy płonęły pożary: małe, duże i średnie. Największy trawił fabrykę marynat. Cuchnę przy tym obrzydliwie.

We wszystkich kierunkach biegali ludzie. Część próbowała gasić, część przeszukiwać ruiny, i wszyscy krzyczeli.

- Sądzę... że wszyscy się schowali, nie? - zapytał niepewnie Wobbler. - Musieli, nie?

Syrena przestała wyć, powarczała chwilę, cyknęła parę razy i zamilkła, nieruchomiejąc.

Johnny miał wrażenie, że gdyby stał się jeszcze odrobinę lżejszy, to by odleciał.

- Mieli prawie minutę - powiedział. - Musieli się ukryć...

Sierżant maszerował już rażno ku Paradise Street, tak że przy syrenie zostali w pięcioro: ich trójka, Tom i kapitan przyglądający się Johnny'emu z namysłem.

Coś zabębniło o dach posterunku i sturlało się po nim. Yo-less podniósł kulkę.

- Marynowaną cebulę? - zaproponował bezosobowo. Ponad dachami widać było łunę pożaru.

- Tak więc... - odezwał się kapitan - mieliście rację. Taka mała przygoda, tak? Teraz powinienem powiedzieć: "dobra robota" albo coś w tym stylu... - Podeszedł do furtki wychodzącej na ulicę i zamknął ją starannie. - Nie mogę pozwolić wam odejść, musicie zdawać sobie z tego sprawę. Jest was więcej i na pewno jest z wami taki chudy chłopak z dziwnymi urządzeniami.

Nie było sensu zaprzeczać, toteż Johnny przytaknął.

- Myślę, że wiecie naprawdę dużo o różnych rzeczach, których potrzebujemy. Nie podoba mi się to, zwłaszcza że dziś uratowaliście życie kilku osobom, ale istnieje realna możliwość, że możecie uratować znacznie więcej istnień. Rozumiecie, o co mi chodzi?

- Niczego nie powiemy ani panu, ani innym - ostrzegła Kirsty.

- Tylko nazwisko, stopień i numer, co? - uśmiechnął się kapitan. - Chodźcie do środka.

Ciąg dalszy konwersacji odbył się w znanym pomieszczeniu z barierką-ladą.

- Przypuśćmy, że... wiemy różne rzeczy - odezwał się Johnny. - Na nic się to panu nie przyda. A te urządzenia też nie pomogą w wojnie, po prostu ją zmieniają. Wszystko się gdzieś zdarza.

- Myślę, że chwilowo całkowicie nam wystarczy zmiana. Mamy sporo naprawdę bystrych chłopaków.

- Panie kapitanie... - odezwał się niespodziewanie Tom.

- Tak?

- Przecież oni nie musieli tego wszystkiego robić. Nie musieli nas ostrzec o bombardowaniu ani sprowadzić mnie z góry... nie wiem jak, ale to nieważne. Zrobili to i nie powinniśmy w podzięcie wsadzać ich do więzienia.

- Nikt nie mówi o więzieniu. Raczej o wiejskiej posiadłości z trzema uczciwymi

posiłkami dziennie i wieloma chętnymi do rozmów.

W tym momencie Kirsty się rozplakała.

- No, przecież nikt nie zamierza zrobić ci krzywdy, panienko. - Kapitan podszedł i położył dłoń na jej wstrząsanych spazmami plecach.

Johnny i Yo-less wymienili spojrzenia i równocześnie się cofnęli.

- Po prostu musimy wiedzieć pewne rzeczy - uspokajał ją oficer. - Musimy dowiedzieć się, co może się wydarzyć.

- No... jedno co... może się wydarzyć... - chlipnęła Kirsty - to...

- Tak?

Ujęła jego dłoń i wysuwając nogę, obróciła się na drugiej, podcinając mu nogi i przerzucając przez ramię. Kapitan z hukiem wylądował na posadzce. Zdołał usiąść, gdy Kirsty okręciła się ponownie i trafiła go stopą w klatkę piersiową. Z siedzącego uszło powietrze razem z przytomnością i zwałił się pod ścianę.

Kirsty wyprostowała się, poprawiła kapelusz i przyjrzała się własnemu rękoczynowi.

- Szowinista - oceniła. - Już wolalabym mieć do czynienia z dinozaurami. Idziemy?

Tom cofnął się dalej niż Johnny i Yo-less razem wzięci.

- Gdzie dziewczyny uczą się takich rzeczy? - wykrztusił.

- W szkole - odparł Johnny. - Samego mnie to dziwi. Kirsty tymczasem wzięła rewolwer kapitana.

- Tylko nie to! - zaprotestował Yo-less. - Mając broń, możemy dopiero mieć kłopoty!

- Jestem mistrzynią hrabstwa w strzelaniu dla małoletnich - poinformowała go, rozładowując broń. - Ale tym razem nie zamierzam do nikogo strzelać. Po prostu nie mam ochoty, żeby się niepotrzebnie ekscytował, jak się obudzi. - Cisnęła rozładowany rewolwer w kąt pokoju, naboje w drugi i spojrzała z lekka niecierpliwie: - To idziemy czy nie?

- Przepraszamy za zamieszanie. - Johnny przyjrzał się Tomowi. - Wy tłumaczysz mu, jak się obudzi?

- Nie wiem jak. Sam sobie muszę wytłumaczyć, co się stało!

- Próbuj - zachęciła go Kirsty.

- No bo tak: zbiegłem tu czy nie? Myślałem, że widzę bombardowanie... ale musiałem to sobie wyobrazić, bo nalot był dopiero po naszym przybyciu tutaj...

- To pewnie przez zdenerwowanie - podpowiedział mu Yo-less.

- Nerwy to straszna rzecz - zawtórowała mu Kirsty. - Różne rzeczy się człowiekowi zwidują...

Oboje wpatrzyli się wyczekująco w Johnny'ego.

- Co się tak na mnie gapicie? - zdenerwował się. - Ja tam nic o niczym nie wiem.

W drugiej nogawce

Bigmac twierdził potem, że nigdy nie miał najmniejszego zamiaru pomagać. Dopóki nie zobaczył ludzi próbujących rozgrzebywać ruiny, było to zupełnie jak film, a potem przeszedł przez ekran...

Strażacy piorunem wzięli się do gaszenia, a cywile albo wyciągali z rumowisk co większe kawały, albo ostrożnie przeszukiwali je, nawołując w nienormalnie uprzejmy, biorąc pod uwagę okoliczności, sposób.

- Hej, panie Johnson?
- Przepraszam, pani Density: jest pani tam?
- Pani Williams, słyszy mnie pani?
- Jest tam kto?

Wobbler twierdził potem, że zapamiętał trzy rzeczy: dziwny, metaliczny odgłos, jaki wydają z siebie cegły zsuwające się w większych ilościach, zapach spalonego drewna i łóżko. Wybuch zmiotł dach i połowę ściany jednego z domów, a z pokoju na piętrze zwiślało nad ulicę podwójne, nienaruszone łóżko małżeńskie, wciąż z powleczoneą pościelą. Łóżko poskrzypywało, poruszane przez wiatr, ale nie zsuwało się dalej.

Obaj przeleźli przez ruchome sterty cegieł, docierając do położonych za domami ogródków. Tu także wszechobecne były cegły i szkło. Zobaczyli tam starszego mężczyznę w nocnej koszuli wpuszczonej w spodnie, który przyglądał się pobojuwisku, w jakie zmienił się ogródek.

- No, to po ziemniakach - ocenił trafnie. - Najpierw późny przymrozek, teraz to...
- Ale za to zapowiada się niezły zbiór marynowanych ogórków - pocieszył go Bigmac.
- Na nic. Po occie mam wiatry.

Płoty oddzielające posesje zostały powalone jak jeden, a szopki, komórki i inne drewniane przybudówki były porozkładane i potasowane niczym karty. I zewsząd z ziemi wychodzili ludzie, zupełnie jakby odwołanie alarmu było początkiem Sądu Ostatecznego.

- Mam nadzieję, że oni jeszcze tam są! - powiedziała Kirsty, gdy biegli przez ożywione ulice.

- Chcesz się założyć? - zaproponował Yo-less.
- Co?!
- Są dwie możliwości: albo spokojnie na nas czekają, albo wpakowali się w jakieś kłopoty. Co wybierasz?

Kirsty zwolniła.

- Momencik, jest coś, co muszę wiedzieć - stwierdziła z namysłem. - Johnny?
- Co? - spytał, od dłuższego czasu spodziewając się podobnego pytania: w końcu pewne prawdy docierały nawet do Kirsty.

- Co my zrobiliśmy? Widziałam bombardowanie i nie opowiadaj mi, że to było złudzenie! A na posterunek dobiegliśmy, zanim zaczął się nalot. No to albo zwariowałam, a jestem pewna, że nie, albo... albo...

- Przebiegliśmy przez czas - dokończył Yo-less. - To był tylko kierunek - spróbował wyjaśnić Johnny. - Po prostu znalazłem sposób, jak to zrobić...

- Możesz to powtórzyć? - spytała, nie wiadomo dlaczego patrząc wymownie w niebo.

- Wątpię... nie bardzo pamiętam, jak to wtedy zrobiłem...

- Pewnie znajdował się w stanie wyłączonej świadomości - dodał Yo-less. - Czytałem o czymś takim.

- Co?! Prochy?

- Kto? Ja?! - oburzył się Johnny. - Przecież piję tylko kawę rozpuszczalną! - Świat zawsze był dziwny, toteż wołał nie próbować niczego, co mogłoby sprawić, że stałby się dziwniejszy.

- Przecież to zadziwiający talent! Pomyśl, czego mógłbyś dokonać...

Johnny potrząsnął głową - dobrze pamiętał, co widział i czuł, ale nie pamiętał jak. Przypominało to oglądanie wspomnień przez grubą, bursztynową szybę.

- Chodźmy już - zaproponował i natychmiast wprowadził tę propozycję w życie.

- Ale... - Kirsty nigdy łatwo nie ustępowała.

- Nie potrafię tego zrobić jeszcze raz - przerwał jej. - A poza tym nigdy już nie będzie właściwego momentu.

Bigmac z Wobblerelem nie byli w kłopotach głównie dlatego, iż niedawno narobiło się wokół tyle kłopotów, że chwilowo przynajmniej nie można się było znaleźć w żadnym nowym. A stare przypadkowo zupełnie ich nie dotyczyły.

- To ma być schron przeciwlotniczy? - Bigmac nie mógł wyjść z szoku. - Przecież schrony są betonowe i solidne, mają syczące, pancerne drzwi, migające światła i inne te, co wiesz... A to jest zwykła blacha falista przysypana ziemią, na której rośnie sałata!

Obiektem, który dość trafnie opisał, był schron znajdujący się w ogródku posesji pod numerem dziewięcym.

Obaj próbowali otworzyć wiodące doń drzwi: Bigmac oburącz, a Wobbler za pomocą uratowanej ze wspomnień po szklarni łopaty. Wspólnym wysiłkiem udało im się odsunąć blokujące wejście cegły, dzięki czemu drzwi otworzyły się i wytoczyła się z nich nieco oszołomiona kobieta w średnim wieku, ubrana w nocną koszulę i szlafrok w różowe kwiatki. W objęciach ścisnęła okrągłe akwarium z dwiema złotymi rybkami, a do szlafroka tuliła się mała dziewczynka.

- Gdzie Michael?! - krzyknęła, ledwie znalazła się na świeżym powietrzu. - Widział go ktoś? Odwróciłam się, żeby złapać Adolfa i Stalina, a on już był za drzwiami, jak...

- Chodzi o takiego małego w zielonych portkach? - przerwał jej Wobbler. - Nosi okulary i ma uszy jak kociół? I namiętnie szuka szrapneli?

- Żyje? - Kobiecie najwyraźniej ulżyło. - Pojęcia nie mam, co bym powiedziała jego matce!

- Nic pani nie jest? - spytał ostrożnie Bigmac. - Bo obawiam się, że pani dom jest nieco... bardziej spłaszczony, niż był.

Pani Density przyjrzała się pozostałościom numeru dziewiątego.

- Cóż, gorsze rzeczy zdarzają się na morzu - stwierdziła spokojnie.

- Naprawdę? - Bigmac był pod wrażeniem.

- Całe szczęście, że nas tam nie było - dodała pani Density.

Cegły osunęły się z łoskotem i zjechał po nich strażak.

- Pani Density? - upewnił się. - Wychodzi, że była pani ostatnia. Wypije pani filiżankę herbaty?

- O, witaj, Bili.

- Te chłopaki to kto? - zainteresował się strażak.

- Z okolicy. - Wobbler wykazał się rzadką przytomnością umysłu. - Pomagamy...

- A, to dobrze. Chodźcie stąd, bo wyszło nam, że pod dwunastym został niewypał. - Strażak przyjrzał się strojowi Bigmaca, wzruszył ramionami i odebrał pani Density akwarium, otaczając je równocześnie drugą ręką. - Filiżanka ciepłej herbaty i koc. Tego pani potrzeba. Tędy proszę. - I poprowadził ją przez gruzowisko trasą wymagającą trochę wdrapywania się i zjeżdżania.

- Człowieka zbombardują i zamiast pomocy proponują herbatę? - wykrztusił Bigmac, obserwując postępy pani Density i strażaka w pokonywaniu przeszkód terenowych.

- Lepsze niż zbombardowanie i permanentna niemożność wypicia herbaty, nie? Zresztą...

Eeeeyyyooooowwwmmmm! - zawyło coś za nimi.

Odwrócili się naprawdę szybko.

Dziadek Wobblera stał na stercie gruzu i w blasku płomieni wyglądał niczym nieletni diabeł w kusych portkach. Sadza pokrywała go raczej dokładnie, a w dodatku wymachiwał czymś w powietrzu i próbował naśladować samolot. Na szczęście jedynie akustycznie.

- To wygląda jak... - Bigmac nie do końca odzyskał głos.

- To kawałek bomby! - oznajmił dumnie dziadek Wobblera. - Prawie cały statecznik! Nie znam nikogo, kto miałby prawie cały statecznik! - I znowu zaczął wymachiwać pogiętym metalem.

- Słuchaj no... ty! - zaczął Wobbler. Machanie ustało.

- Wiesz... o motorach...?

- No nie! - jęknął Bigmac. - Nie możesz mu nic powiedzieć o...

- Zamknij się! - warknął Wobbler. - Masz dziadka, nie?

- No, mam. Tylko jak go odwiedzam, to zawsze klawisz się nam przygląda.

Wobbler skoncentrował się na usmoleńcu.

- Motocykle są bardzo niebezpieczne! - oświadczył z naciskiem.

- Jak podrosnę, to będę miał duży motor - oświadczył stanowczo jego dziadek. - Z rakietami, karabinami maszynowymi i wszystkim. Eeeeeowwmmmm!

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu! - powiedział Wobbler specjalnym tonem, jakiego używał w rozmowach z wyjątkowo męczącymi dziećmi. - Rozbijanie motorów nie jest przyjemne. Możesz mi wierzyć.

- Nie rozbiję go. - Pewność siebie jego dziadka pozostała niezachwiana. - Możesz mi wierzyć.

- Cóрка pani Density to całkiem miła dziewczyna, prawda? - Wobbler spróbował desperackiego manewru.

- Nieprawda. Jest beksa i w ogóle straszna. Eeeeeowwmmmm! A pan i tak jest gruby. - Po tym oświadczeniu jego dziadek zbiegł z kupy gruzu i zniknął między strażakami. O jego obecności w okolicy świadczyło jedynie sporadyczne, przenikliwe wycie.

- Chodź, wracamy do kaplicy- odezwał się Bigmac. - Strażak coś mówił o jakimś niewypale w pobliżu...

- Dlaczego on mnie w ogóle nie słuchał?! Ja bym posłuchał.

- No, już to widzę!

- Pewnie, że bym posłuchał!

- No! Nie filozofuj, tylko chodź!

- Mogłem mu pomóc, gdyby tylko chciał słuchać! Wiem przecież różne rzeczy, które mogłyby mu ułatwić życie. Dlaczego nie chciał słuchać?

- Bo to widać u was rodzinne. Przestań zrzedzić i rusz się wreszcie!

Bigmac i Wobbler dotarli do kaplicy w chwili, w której Johnny i pozostali nadbiegli ulicą.

- Wszyscy cali? - spytała lekko zadyszana Kirsty. -Dlaczego obaj jesteście wypaprani w sadzy?

- Bo ratowaliśmy ludzi - odparł dumnie Wobbler. -No, nie sami.

Odruchowo wszyscy spojrzeli na pozostałości po Paradise Street. Ludzie stali lub siedzieli na rumowisku w małych grupach. Kilka kobiet w oficjalnie wyglądających kapeluszach kończyło ustawianie stolika z dzbankiem do herbaty i filiżankami. Płonęło jeszcze kilka niewielkich pożarów, strażacy więc mieli co robić, a scenę urozmaicał od czasu do czasu słyszalny łomot, gdy jakaś cebula pokryta lodem wracała na dół.

- Wszyscy przeżyli - powiedział Wobbler, uważnie przyglądając się Johnny'emu.

- Wiem.

- Bo syrena zawyła na czas.

- Wiem.

- Mam nadzieję, że będą mieli porządne doradztwo - rozległ się głos Kirsty.

- A tak, dostaną po filiżance herbaty i usłyszą, że uszy do góry, bo mogło być gorzej
- odparł Bigmac.

- I to wszystko?!

- No, może jeszcze po biszkopcie.

Johnny ciągle przyglądał się ruinie, której ogień nadawał prawie radosny wygląd. Na ten obraz nakładał mu się inny - paliło się w tych samych miejscach, te same zwały gruzu zajmowały te same miejsca i ci sami strażacy kręcili się wokół pożarów. Ale ludzi nie było - jeśli nie liczyć tych, którzy zajęci byli noszami.

Byli w nowym czasie.

Bowiem wszystko, co człowiek robi, zmienia wszystko, co go otacza, a za każdym razem gdy podróżuje się w czasie, trafia się do czasu troszeczkę innego niż ten, który się opuściło. Nie zmienia się bowiem Przyszłości, tylko przyszłość.

Są miliony miejsc, w których bomby zabiły wszystkich mieszkańców Paradise Street.

I jedno, w którym tego nie zrobiły.

Obraz nałożony na to, co widział, wyblakł i zniknął, gdy drugi czas znalazł się w swej własnej przyszłości.

- Johnny? - spytał niezbyt pewnie Yo-less. - Lepiej się stąd wynieśmy.

- No - przytaknął Bigmac. - Nie ma co tu dłużej być.

Johnny powoli odwrócił się.

- Jasne - zgodził się potulnie.

- Używamy wózka czy... spaceru? - spytała Kirsty.

- Wózka.

Wózek grzecznie czekał tam, gdzie go zostawili. Tyle że nigdzie nie było śladu Guilty'ego.

- Poszedł podziwiać bombardowanie - przypomniał sobie Wobbler. - Pojęcia nie mam, co się z nim stało.

- Nie! - oznajmiła Kirsty. - Nie będę szukać tej kociej karykatury!

Johnny ujął rączkę wózka, a worki poruszyły się jakby wyczekująco.

- Kotem się nie ma co przejmować - powiedział. - Koty zawsze znajdą drogę do domu.

Klub Złotej Jesieni okupował kaplicę w piątkowe popołudnia. Czasami przy wtórce ludowego muzyka, czasami lokalnego zespołu szkolnego, jeśli nie dało się tego uniknąć, natomiast zawsze przy herbatce i pogaduszkach.

Zazwyczaj tematem było to, o ile teraz jest gorzej, niż było, zwłaszcza wtedy gdy można było praktycznie wszystko kupić za sześciopensówkę i jeszcze dostać resztę.

Tym razem pogaduszki przerwało migotanie powietrza i pojawienie się pięciu postaci i wózka sklepowego.

Klubowicze obserwowali to podejrzliwie, na wypadek gdyby nowo przybyli zaczęli

niespodziewanie śpiewać The Streets of London czy coś podobnego. Poza tym cała piątka miała poniżej trzydziestu lat, a więc prawie na pewno byli przestępcami. Podejrzenia umacniało po pierwsze to, że ukradli wózek sklepowy. Po drugie to, że jeden z nich był czarny.

- Hmm... - powiedział Johnny i zamilkł.

- To kółko teatralne? - spytała Kirsty, wzbudzając podziw pozostałych refleksem. - Och, zły kościół. Przepraszamy.

I pchnęła wózek w kierunku wyjścia.

Złota Jesień obserwowała ich wciąż podejrzliwie, na wszelki wypadek nie wypuszczając z rąk filiżanek z herbatą.

Wobbler otworzył drzwi i pomógł wypchnąć wózek na zewnątrz.

- I pamiętajcie, że jeden był czarny! - oznajmił na pożegnanie Yo-less, dziko przewracając oczami. - Idziemy na karnawał! - I zamknął za sobą drzwi.

Jakieś inne teraz...

Powietrze pachniało rokiem 1996. Kirsty spojrzała na zegarek.

- Dziesiąta trzydzieści w piątek. Nieźle.

- Hmm... twój zegarek mówi, że jest dziesiąta trzydzieści w piątek - poprawił ją Johnny. - To nie musi być to samo.

- Racja.

- Ale wygląda, że jest. I wygląda normalnie.

- Mnie też wygląda normalnie - zgodził się Wobbler.

- Całą noc mnie nie było - podsumował Yo-less. - Moja mamuśka dostała szału!

- Powiedz jej, że nocowałeś u mnie i telefon się zepsuł - zaproponował Wobbler.

- Nie lubię kłamać.

- Ciekawe, jak powiesz jej prawdę?

Yo-less rozważał kwestię kilka ciągnących się niczym agonii sekund.

- Telefon ci się zepsuł? - spytał w końcu.

- Zepsuł - przytaknął Wobbler. - A ja swojej powiem, że nocowałem u ciebie.

- Wątpię, żeby dziadek zauważył, że mnie nie było - zastanowił się Johnny. - Zwykle zasypia przed telewizorem, a matka pojechała w delegację.

- Moi rodzice mają zdecydowanie nowocześniejsze podejście - parsknęła z godnością Kirsty.

- A mojego brata nic nie obchodzi, gdzie jestem, jak długo policja go o to nie pyta - zakończył przygotowywanie alibi Bigmac.

Przygotowanie alibi powinno nastąpić, zanim ktoś się wybierze w przeszłość czy przyszłość, ale to przyszło Johnny'emu do głowy dopiero teraz.

Tam, gdzie była Paradise Street, wciąż była hala sportowa, czyli nic się nie zmieniło. Paradise Street znajdowała się niejako pod halą sportową, stanowiąc coś w rodzaju skamieliny.

- Zmieniliśmy coś? - zainteresowała się Kirsty.

- Wróciłem! - oznajmił Wobbler. - Mnie to wystarczy.

- Ale przeżyli ludzie, którzy powinni byli zginąć... - Kirsty urwała, widząc minę Johnny'ego. - No dobrze, może "powinni" nie jest najszcześniejszym określeniem, ale wiecie, o co mi chodzi. Jeden z nich mógł wynaleźć bombę Z albo coś innego.

- Co to jest bomba Z? - zainteresował się Bigmac.

- Skąd mam wiedzieć?! Jak wyruszaliśmy, nie była wynaleziona.

- Ktoś z Paradise Street wynalazł bombę? - zdziwił się Johnny.

- No to nie bombę, tylko coś innego, coś, co zmieniło historię. Jakiś drobiazg. A poza tym zostawiliśmy rzeczy Bigmaca na posterunku...

- Uhm... - Yo-less zdjął nakrycie głowy i wyjął z niego zegarek i walkmana. - Sierżanta tak podnieciło, że zapomniał zamknąć tę szafkę po wyjęciu syreny, więc skorzystałem z okazji.

- A kurtka?

- Wyrzuciłem do śmieci.

- To była moja kurtka!

- A moje ryzyko! Gdzie ją miałem schować?!

- No, to z tym mamy spokój - przyznała z ociąganiem Kirsty. - Ale mogą być jakieś inne zmiany i lepiej by było, jakbyśmy je szybko znaleźli.

- Lepiej by było, jakbyśmy się szybko wykąpali - dodał Wobbler.

- Masz zakrwawione ręce - zauważył Johnny.

- Tak? - Wobbler przyjrzał się swoim dłoniom. - Odgarnialiśmy cegły i inne ruiny... jakby kogoś przygniotło...

- Powinniście zobaczyć, jak załatwił swojego dziadka - wtrącił Bigmac.

Wobbler rozejrzał się dumnie.

Godzinę później spotkali się w centrum handlowym. Bar hamburgerowy był z powrotem żółto-czerwony i nikt tego nie skomentował, ale sądząc po westchnieniach, Bigmac myślał o darmowych hamburgerach raz na tydzień.

Te westchnienia uruchomiły pamięć Johnny'ego.

- Tego... - bąknął. - Mamy dla ciebie list... - I wyjął z kieszeni zmiętą kopertę o zdecydowanym zapachu octu i ze śladami tłustych paluchów. - Tego... to dla ciebie, Wobbler. Ktoś... prosił nas, żeby ci to dać.

- No, ktoś - przytaknął Yo-less.

- I pojęcia nie mamy kto - dodał Bigmac. - Taka całkiem tajemnicza postać, więc nie ma sensu, żebyś o nią wypytywał.

Wobbler przyjrzał się podejrzliwie najpierw im, potem listowi, w końcu widząc, że nic więcej nie powiedzą, rozerwał kopertę i wyjął z niej pojedynczą kartkę.

- No i? Co ci napisał? - Bigmac nie wytrzymał pierwszy.

- Kto? - spytał na wszelki wypadek Wobbler.

- T... ten tajemniczy nieznajomy. - Bigmac stanął na wysokości zadania.

- Jakieś bzdury. Sam przeczytaj.

Johnny wziął kartkę, na której odręcznie wypisano listę zawierającą dziesięć punktów, i zaczął czytać:

1. Jedz zdrowe rzeczy i nie w nadmiarze.

2. Podstawą jest godzina ćwiczeń raz dziennie.

3. Inwestuj rozsądnie pieniądze w mieszanię...

- Co to za brednie?! - przerwał mu Wobbler. - Rady dobrego dziadka! Po co ktoś chciał mi powiedzieć takie banały? Albo wariat, albo religijnie nawiedzony, trzeciej

możliwości nie ma! To pewnie któryś z tych religijnych świrów kręcących się przy sklepach, nie?... Szkoda, myślałem, że to może być coś ważnego...

Bigmac spojrzał tęsknie na hamburgerownię i westchnął ciężko.

- Są zmiany! - oświadczyła tryumfalnie Kirsty. - Clark Street już się nie nazywa Clark Street, tylko Evershott Street. Zauważyłam, przechodząc.

- Przerazające! - jęknął Bigmac. - Łłaaa... tajemnicza zmiana nazwy ulicy...

- Myślałem, że zawsze była Evershott Street - powiedział niepewnie Yo-less.

- Ja też.

- A ten sklep tam... no, ten, w którym sprzedawano karty i inne rzeczy, teraz jest jubilerem - dodała Kirsty z naciskiem.

Wszyscy spojrzeli w kierunku wskazanym przez jej wyciągniętą rękę.

- To przecież zawsze był jubiler, nie? - ziewnął Wobbler.

- Ależ wy jesteście pozbawieni zmysłu obserwacji! - zaczęła Kirsty. - Ja...

- Czekaj - przerwał jej Johnny. - Wobbler, skąd masz te strupy i siniaki na dłoniach? Ty też, Bigmac?

- Cóż... no, ja... no... -Wobbler jakoś nie był w stanie wydusić z siebie niczego konkretnego.

- Pewnie żeśmy czegoś szukali - powiedział Bigmac. - By pasowało, nie?

- Tak. Szukaliśmy. Gdzieś czegoś.

- Nie pamiętacie... - zaczęła ponownie Kirsty.

- Zapomnij - przerwał jej ponownie Johnny.- Chodź, czas na nas.

- Jaki znowu czas? Gdzie mamy iść?

- Pora odwiedzin: musimy iść do pani Tachyon.

- Ależ oni nie pamiętają...

- To bez znaczenia. Chodź!

- Przecież nie mogą tak po prostu zapomnieć! - Ledwie znaleźli się w autobusie, Kirsty wróciła do tematu. - Nie mogą myśleć, że im się tylko śniło!

- Wydaje mi się, że to proces leczniczy. Nie zauważyłaś tego po nalocie? Tom tak naprawdę nie wierzył w to, co widział, i założył się, że teraz... to jest parę godzin później pamięta coś zupełnie innego. Wszyscy pamiętają. Pewnie to, że biegł cały czas i zdążył w ostatniej chwili. Wszyscy byli w lekkim szoku przez te bomby i dlatego trochę im się mieszało... Coś w tym guście. Ludzie zapominają często to, co się faktycznie wydarzyło, bo... no bo to się nie wydarzyło. Nie tu.

- My pamiętamy, co się naprawdę wydarzyło - zauważyła Kirsty.

- Może dlatego, że ty jesteś hiperinteligentna, a ja megadurny.

- Tak bym tego nie ujęła. To nieco niesprawiedliwe.

- Tak? A co konkretnie?

- Nie powiedziałabym: hiper; po prostu: bardzo. A dlaczego musimy odwiedzić panią

Tachyon?

- Bo ktoś musi. Ona zbiera czas, ale przyznam, że jej nie zazdroszczę. Za rogiem, czy 1933 rok, to dla niej takie same kierunki: pójdzie, gdzie będzie chciała. - Ona jest szalona.

Ponieważ właśnie dotarli do szpitalnych drzwi, Johnny zostawił tę uwagę bez komentarza.

W gruncie rzeczy przyznawał Kirsty rację: pani Tachyon była szalona. Albo przynajmniej ekscentryczna. Jakby, dajmy na to, poszła do psychiatry, a ten by jej zaczął pokazywać te wszystkie karty i plamy po atramencie, to alboby je ukradła, alboby go opluła. "Ekscentryczna" to właściwe słowo.

Tylko że ona nie robiła takich rzeczy, jak zrzucanie bomb na Paradise Street. Żeby robić takie rzeczy, trzeba być przytomnym i normalnym. Przynajmniej inni tak uważali. Może faktycznie miała fioła, ale to był jej własny fioł i może we dwójkę przyjemniej im się patrzyło na świat.

W tych warunkach była to całkiem radosna myśl. Pani Tachyon zniknęła.

Co z trudnych do wyjaśnienia przyczyn strasznie zirytowało siostrę oddziałową.

- Wiecie coś o tym? - brzmiało pierwsze pytanie, ledwie zobaczyła ich na korytarzu.

- My? - zdziwiła się Kirsty. - Co mamy wiedzieć i o czym? Dopiero przyszliśmy.

Okazało się, że pani Tachyon poszła do łazienki i zamknęła się od środka. Skończyło się na rozebraniu zamka przez wezwanego po jakimś czasie fachowca na okoliczność zemdlenia pani Tachyon. Nie znaleziono tam jednak nikogo. Łazienka znajdowała się na trzecim piętrze, a okienko miała takie, że Guilty miałyby pewne problemy, by przez nie przeleźć. Pani Tachyon nie miała prawa.

- A papier toaletowy został? - spytał w pewnym momencie Johnny.

Siostra oddziałowa przyjrzała mu się z głęboką podejrzliwością.

- Był - zeznała w końcu. - Cała rolka zniknęła. Johnny z zadowoleniem skinął głową: to cała pani

Tachyon.

- I słuchawki też zniknęły - przypomniała sobie siostra oddziałowa. - Wiecie coś o tym? Odwiedziliście ją.

- Tylko dlatego, że to coś w rodzaju projektu - odparła z godnością Kirsty.

Z tyłu rozległy się kroki sugerujące, że idący ma naprawdę solidne buty. Okazało się, że faktycznie: zbliżała się pani Partridge.

- Zadzwońłam na policję - obwieściła.

- Dlaczego? - zdziwił się Johnny.

- No bo... a, to wy. Cóż, ona... potrzebuje pomocy. Zresztą oni wcale nie są pomocni: powiedzieli, że zawsze się sama znajduje.

Johnny westchnął - z tego, co podejrzewał, pani Tachyon nigdy nie potrzebowała

pomocy. Jeżeli jej potrzebowała, to po prostu sobie brała. Jeśli chciała znaleźć się w szpitalu, to po prostu udawała się tam, gdzie taki się znajdował. Teraz mogła być gdziekolwiek.

- Musiała się wymknąć, gdy nikt nie patrzył - oceniła pani Partridge.

- Nie mogła - zaprzeczyła całkiem rozsądnie siostra oddziałowa. - Stąd widać drzwi.

W takich sprawach jesteśmy wyczulone.

- No, to zniknęła! Rozpłynęła się w powietrzu! - zirytowała się pani Partridge.

Kirsty przysunęła się do Johnny'ego i spytała szeptem:

- Gdzie zostawiłeś wózek?

- Za garażem.

- Myślisz, że go zabrała?

- Tak - odparł naprawdę zadowolony.

W autobusie Johnny był dziwnie milczący. Po drodze zahaczyli o bibliotekę, gdzie udało im się uzyskać fotokopię gazety z dnia po nalicie. Na pierwszej stronie było zdjęcie radosnych mieszkańców na tle ruin Paradise Street. Rzecz jasna, wyblakłe, ale dało się rozróżnić panią Density z akwariem w objęciach i dziadka Wobblera ze statecznikiem bomby, a za nimi z uniesionym kciukiem samego Wobblera. Fotografia nie należała do doskonałych od samego początku, a z czasem jeszcze się pogorszyła, zaś Wobbler wyglądał, jakby wyczyścił sobą komin, ale jeśli się wiedziało, że to on, można go było rozpoznać bez problemów.

Johnny nie miał złudzeń - gdyby pokazał fotografię albo i całą gazetę pozostałym, usłyszałyby coś w stylu: "Ten tam z tyłu jest podobny do Wobblera. I co z tego?" Tak już było z ludźmi, zwłaszcza mieszkającymi w okolicy, jeśli to coś dotyczyło właśnie okolicy. Widocznie z podróżami w czasie tak jest - nikt po nich nie pamięta tego, co było przed nimi, a to, co się pozmieniało, po powrocie i tak już jest historią.

- Coś się taki cichy zrobił? - spytała w pewnym momencie Kirsty.

- Myślę, a to wymaga skupienia. Właśnie tak sobie myślałem, że jakbym pokazał pozostałym to zdjęcie, to i tak jedyną reakcją byłoby, że to ktoś podobny do Wobblera.

Kirsty zajrzała mu przez ramię. - Faktycznie, jest podobny do Wobblera. I co z tego? Johnny przez chwilę koncentrował się na wyglądaniu przez okno.

- Chodzi mi o to, że Wobbler jest na zdjęciu - powiedział w końcu. - Pamiętasz?

- Pamiętam co?

- No... wczoraj. Zmarszczyła czoło.

- Byliśmy na jakiejś imprezie? Przebieranej? Johnny westchnął równie ciężko, jak ostatnio Bigmac.

Wszystko się normowało i to właśnie było najgorsze w podróżach w czasie. Wracało się do innego miejsca, gdzieś, gdzie się nigdy przedtem nie było. Konkretnie rzecz biorąc - teraz był w czasie, w którym nikt nie zginął na Paradise Street, i wcale nie chciało mu się

tam wracać i niczego zmieniać. A więc się nie wybierze, w związku z czym pozostali też tego nie robią. Gdy robiono to zdjęcie, byli w przeszłości, a teraz wychodziło, że nigdy tam się nie wybrali, toteż nie pamiętają, bo nie mają czego pamiętać. Tu wczoraj robili co innego: włóczyli się. Albo tkwili gdzieś.

- Twój przystanek - głos Kirsty przywoływał go do teraźniejszości. - Dobrze się czujesz?

- Nie - odparł i wysiadł.

Padał deszcz, ale i tak poszedł sprawdzić, czy wózek jest tam, gdzie go zostawił. Wózka nie było. Choć z drugiej strony mogło go tam w ogóle nigdy nie być.

Kiedy dotarł do swego pokoju, resztki nadziei prysnęły - miał jedną, nieśmiałą nadzieję, że może w tym czasie będzie nieco inną osobą. Ten sam pokój, ten sam bałagan, ten sam prom na dwukolorowej nitce i te same tapety skutecznie pozbawiły go złudzeń.

Siadł na łóżku i tępo wpatrzył się w padający za oknem deszcz.

Stracił gazetę pani Tachyon, która mogłaby być dowodem. Bez tego nikt mu nie uwierzy, choć doskonale wszystko pamiętał. A tymczasem wyglądało na to, że nic takiego się nie wydarzyło. No, przynajmniej niedokładnie. Zwykła, szara codzienność wypełniała wszystko, nachalna niczym deszcz. Gdyby miał jakiś dowód, cokolwiek...

Sięgnął odruchowo do kieszeni i wymacał prostokątny kartonik kart do gry...

Głosy dochodzące z dołu dowodziły, że dziadek wrócił albo się obudził, w każdym razie telewizor gaworzył radośnie z australijskim akcentem. Johnny zebrał się w sobie i zszedł do salonu.

- Dziadku?

- Tak? - Starym zwyczajem dziadek nie odrywał wzroku od ekranu.

- Chciałem porozmawiać o wojnie...

- Tak?

- Kiedyś opowiadałeś, że zanim trafiłeś do wojska, wypatrywałeś samolotów...

- A, tak - ożywił się dziadek, przestając wpatrywać się w ekran. - Dostałem za to medal.

A potem zdarzyło się coś, czego Johnny nigdy dotąd nie był świadkiem, a gdyby ktoś mu powiedział, że podobny fenomen nastąpi, nie uwierzyłby. Dziadek bowiem wziął pilota i wyłączył telewizor.

- Pokazywałem ci go - dodał. - Musiałem.

- Nie... nie sędzę... - wykrztusił Johnny, próbując wyjść z podwójnego szoku: dotąd pytania o wojnę spotykały się ze zdecydowaną odmową współpracy ze strony dziadka.

Tym razem jednak dziadek sięgnął do stojącego obok fotela wiklinowego koszyka na nici i inne krawieckie przybory, który stanowił własność babci. Od dawna zmienił jednak przeznaczenie: zawierał wycinki starych gazet, klucze nie pasujące do niczego, znaczki za pół pensa i inne przydasie różnego kalibru, jakie znajdują się w każdym zamieszkanym domu.

Po dłuższym grzebaniu w koszyku dziadek wyjął niewielkie, drewniane pudełko i podał Johnny'emu, mówiąc:

- Powiedzieli, że nigdy się chyba nie dowiedzą, jak tego dokonałem, ale pan Hodder i kapitan Harris byli za mną. Twierdzili, że to musiało być możliwe, no bo inaczej bym tego nie zrobił. Piorun zniszczył telefon, motorower nie chciał odpalić, pomimo soczystych przekleństw pana Hoddera, no to zostało tylko jedno: zbiec do miasta i ostrzec. No to pobiegłem. To dali mi to. W pudełku znajdował się srebrny medal i pożółkła kartka pisana na maszynie, w której taśma od lat nie była zmieniana.

- "Za odwagę zapewniającą bezpieczeństwo mieszkańcom Blackbury..." - przeczytał Johnny.

- Po wojnie to nawet przyszło paru takich od olimpiady - dodał dziadek. - Ale im powiedziałem, że się już dość w życiu nabiegałem.

- A jak ci się wtedy udało?

- Mówili, że czyjś zegarek musiał wtedy źle chodzić. Nie wiem, ja tam po prostu biegłem... teraz to, prawdę mówiąc, mało z tego pamiętam, a to, co pamiętam, mi się zlewa...

Oprócz medalu w pudełku była też talia kart spiętych gumką. Johnny wyjął je i zdjął gumkę. Karty były z wizerunkami samolotów.

Johnny wyjął z kieszeni piątkę trefl. Była mniej zużyta, ale nie ulegało wątpliwości, że jest z tej samej lub identycznej talii. Dodał ją do pozostałych i założył gumkę, po czym odłożył do pudełka obok medalu.

Spojrzeli na siebie z dziadkiem bez słowa. Poza szumem deszczu i tykaniem zegara stojącego na kominku żaden dźwięk nie mącił ciszy.

Johnny czuł czas skapujący wokół nich. Czas o konsystencji bursztynu...

A potem dziadek mrugnął, złapał pilota i wycelował w telewizor.

- Od tamtych czasów wiele wody upłynęło dla każdego z nas - powiedział, i to było wszystko.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Johnny poszedł otworzyć.

Dzwonek rozległ się ponownie, tyle że bardziej nachalnie.

Johnny otworzył drzwi.

- O! - powiedział ponuro. - Cześć, Kirsty. Wyglądała, jakby ktoś wylał na nią wiadro wody.

Albo dwa.

- Biegłam od następnego przystanku.

- Dlaczego?

Na wyciągniętej dłoni podała mu marynowaną cebulę.

- Znalazłam ją w kieszeni - wyjaśniła. - I przypomniałam sobie wszystko. Byliśmy w przeszłości.

- Nie w przeszłości, raczej gdziekolwiek bądź - poprawił ją, czując dumę wzbierającą niczym różowy balon. - Wejdz.

- Wszystko pamiętam. Nawet korniszony.

- To dobrze.

- Pomyślałam, że powinnam ci powiedzieć.

- I słusznie.

- Myślisz, że ona znajdzie kiedyś tego kota?

- Pewnie już znalazła, gdziekolwiek by była.

Sierżant i saper niepewnie wstali i jeszcze mniej pewnie, choć za to ostrożnie podeszli do miejsca, w którym jeszcze niedawno stał prawie cały dom.

- Bidactwo! - jęknął sierżant. - Bidactwo!

- Może zdążyła uciec? - zasugerował saper bez wiary we własne słowa. - Albo się schować?

- Bidactwo!

- Była blisko ściany...

- Ale ściany też nie ma!

W milczeniu zagłębili się w wilgotne ruiny Paradise Street.

- Ale będzie awantura! - jęknął nagle saper. - I nawet wiem, komu się za to dobiorą do tyłka.

- A wie pan, sierżancie, ile spaliśmy przez cały zeszły tydzień? Wie pan?! Przez to w Siatę straciliśmy kaprała Williamsa... Poza tym to była tylko przerwa na herbatę w środku nocy!

Dotarli do krateru, na którego dnie coś bulgotało.

- Miała jakichś krewnych?- spytał żołnierz.

- Nikogo, a była tu od dawna. Mój tata mówił, że ją pamięta, jak tu chodziła, kiedy był chłopakiem. - Sierżant zdjął hełm i powtórzył: - Bidactwo!

- To ci się tylko tak wydaje! Obiad-obiad-obiad... Obaj podskoczyli i odwrócili się.

Chuda postać w starym płaszczu narzuconym na nocną koszulę i wełnianej narciarce biegła ulicą, po mistrzowsku sterując wózkiem między kupami gruzu.

- ...obiad-obiad...

Sierżant spojrzał na sapera, przyglądającego się temu slalomowi z wytrzeszczonymi oczyma. - Jak ona to zrobiła?

- Pojęcia nie mam!

- ...obiad-obiad-Batman!

Guilty na swój pokraczny sposób wędrował jakąś boczną zaciemnioną uliczką.

Spędził interesujący poranek, polując w pozostałościach Paradise Street i wielce przyjemne popołudnie w ruinach wytwórni marynat. Znalazł sporo myszy, głównie pieczonych. To był dobry dzień. Black-bury poszło spać, co mu w niczym nie przeszkadzało.

Co prawda wszędzie śmierdziało octem, ale można się było przyzwyczaić.

Jakimś cudem z gatunku zachowawczych wielki słój przeleciał przez pół miasta i wylądował nienaruszony i nie zauważony w klombie, skąd łagodnie stoczył się do rynsztoka.

Guilty postanowił przy nim poczekać i przy okazji się umyć.

Nie musiał czekać długo; po chwili za rogiem rozległo się znajome popiskiwanie. Popiskiwanie zbliżyło się i ustało, a potem w jego polu widzenia pojawiła się chuda dłoń w wełnianej rękawiczce z obciętymi palcami i złapała słój. Słój zniknął, za to rozległy się rozmaite odgłosy: wpierw skomplikowane, towarzyszące otwieraniu, potem... cóż, potem było słycać to, co zawsze, gdy ktoś je ćwikłę, mlaskając, a sok cieknie mu po brodzie.

- Aha - rozległ się zadowolony głos. A potem rozległo się beknięcie.

- To należy dawać wojsku! - dodał głos. - Śmieszne? To ci się tylko tak wydaje! Prawie sprowadziłam traktor!

Guilty wskoczył na wózek.

Pani Tachyon poprawiła słuchawki i podrapała się po szpitalnej koszuli, która zaczynała ją poważnie irytować. Najwyższa pora znaleźć kogoś, kto by to z niej zdjął... znała taką jedną, uczciwą pielęgniarkę w 1917 roku.

Coś sobie przypomniała. Przetrzęsnęła kieszenie i w końcu znalazła sześciopensówkę, którą dał jej sierżant. Dobrze, że sobie o niej przypomniała. Generalnie pamiętała wszystko, tylko już dawno przestała się zastanawiać, czy to, co pamięta, już się wydarzyło, czy jeszcze nie.

Kierowała się zasadą: Brać życie takim, jakie ma zamiar być, a jak nie będzie dobrowolnie, to je zmusić.

Przeszłość i przyszłość były w gruncie rzeczy podobne, ale nie należało być rozrzutnym: za sześć pensów też można się było uczciwie najeść, jeśli wiedziało się jak.

Przymrużyła oczy i wpatrzyła się w powoli ustępujący mrok.

Trochę zamazana, ale na pewno w tym kierunku pojawiła się data: 1903.

- Herbatę i kanapkę? To ci się tylko tak wydaje!

I udała się w rok 1903, gdzie za też sześciopensówkę dostała solidną porcję ryby z frytkami.

I jeszcze dostała resztę.